

# Antologia SF

Piekara Jacek

Książka XXXIII z Stało się jutro



calibre 0.9.43

## **Jacek Piekara - Zaklęte miasto**

**- Zaklęte miasto II**

**- Vergor z Białego Zakonu**

**- Syn szatana**

**- Miasto Dwunastu Wież**

**- Powrót Białych Jeźdźców - Rzeka Czasu**

**- Oczy Południa**

**- Wszystkie twarze Szatana**

Zaklęte miasto

Droga ciągnęła się wzdłuż wysokiej skalnej ściany.

Roger bał się spojrzeć w dół, gdzie na dnie

kilkunastometrowej przepaści rozbijały się pienistymi

bryzgami krople wody.

Nie wiedział, jaka siła pcha go ku tym pustkowiom,

gdzie nie stanęła noga człowieka. Na mapach miejsce to

wyznaczała biała ogromna plama.

Szedł wciąż naprzód i naprzód, pchany nieznanym

nakazem.

Nagle ścieżka urwała się i Roger stanął nad skrajem

urwiska. Usiadł bezradnie na kamieniu, gdy poczuł, jak

silny powiew wiatru szarpie jego ciałem spychając je ku

przepaści. Palce zwarty się na skale zostawiając krwawe

pasma.

Lecąc w dół krzyczał do utraty tchu, jakby w nadziei, że

może mu to pomóc.

— Szlachetny panie — rzekł. — Cieszę się, iż mogłem poznać krainę tak piękną jak wasza, cieszę się, iż zobaczyłem ludzi tak dobrych i uczciwych jak mieszkańcy tego miasta. Głos serca wzywa mnie jednak w rodzinne strony. Czas, abym pożegnał wasz cudny gród.

Aarkvi, paladyn Lorii, zamyślił się.

— Poznaliśmy cię — powiedział — jako prawego człowieka. Chcemy, abyś wraz z nami dzielił nasze kłopoty i radości, abyś został tu na zawsze. Roger skłonił się.

— Twa łaskawość, szlachetny panie, nie zna granic. Pozwól mi jednak odjechać, a przyrzekam ci, iż wrócę, gdyż nigdzie nie znalazłem tyle szczęścia co tu. Paladyn ze smutkiem skinął głową.

— Nie mogę cię zatrzymywać. Jesteś mym gościem, nie więźniem. Decyzja jednak nie należy do mnie. Tylko

Namiestnik może wydać odpowiednie rozkazy. Żałuję, że odjeżdżasz, gdyż pokochałem cię jak syna, ale rozumiem twój ból z powodu rozstania z ojczyzną. Aarkvi wyciągnął dłoń. Roger z szacunkiem ją ucałował, po czym udał się do swej komnaty. Rozpoczął tam przygotowania do wizyty u Namiestnika. Wychodząc założył, zgodnie z lorieńskim zwyczajem, obszerny zapinany pod szyję płaszcz. Zgodnie z panującym prawem nie przytroczył broni do pasa, a tylko w dłoni ścisnął hebanową laskę.

Namiestnik przyjął cudzoziemca w olbrzymiej ciemnej komnacie, w której mrok rozpraszało słabe światło płonących przy ścianach pochodni. Władca zasiadł na potężnym szafirowym tronie, u stóp którego Roger złożył pokłon.

— Chwała Verlowi, Namiestnikowi Lorii, od Rogera, egha Partonu — wypowiedział powitalną formułę.

— Chwała i tobie — odrzekł Namiestnik. — Słyszałem, że zamierzasz nas opuścić.

— Tak, panie. Tęsknię za moim krajem.

— Cóż, twój tytuł egha Partonu jest dożywotni. Kiedy tylko będziesz chciał wrócić — wracaj. Spotkasz tu zawsze życzliwe przyjęcie i honory właściwe twemu tytułowi. Roger ukląkł.

— Wrócę, panie — obiecał. — Pokochałem twój kraj i twych poddanych, ale co noc dręczą mnie

koszmary i jakiś głos woła: „Wracaj, wracaj, skąd przybyłeś”. Moje serce spopiela niepokój o kraj i rodzinę. Namiestnik klasnął w dłonie i słudzy wnieśli zastawiony przysmakami stół.

— Ostatni posiłek zjesz ze mną — uśmiechnął się. Znów klasnął w dłonie i sala rozbłysła setkami świateł. Roger przymrużył oślepiione oczy.

— Mój dziad był magiem — rzekł Verl. — Część jego siły przeszła i na mnie.

Do stołu zbliżyły się trzy piękne dziewczęta i siadłszy na malachitowej ławie u stóp tronu uderzyły palcami w struny harf.

Melodia, smutna i żałosna, lecz jednocześnie przedziwnie piękna, chwyciła Rogera za serce, wycisnęła z oczu łzy wzruszenia.

Przyglądał się urodziwym artystkom. Jedna z nich rozpoczęła właśnie pieśń w dziwnym, melodyjnym języku. Słowa pieśni były równie smutne, jak melodia.

Roger zatopił wzrok w dziewczynie, a ta czując jego spojrzenie pochyliła głowę zasłaniając twarz włosami.

— Pieśń ta — odezwał się szeptem Namiestnik — mówi o zagładzie potężnego państwa, którego władza rozciągała się na cały świat. Pewnej nocy ciemne siły zniszczyły krainę szczęścia, która nigdy już nie powstanie na powrót.

— Co to za język? — spytał Roger. — Wydaje się nieprawdopodobne, żeby człowiek mógł posługiwać się tak melodyjną mową.

— To lahini, język, który znają tylko potomkowie dawnych władców kraju.

— .Czyżby ta dziewczyna....

— Ta dziewczyna — głos monarchy zabrzmiał twardo — to Laurien, córka Namiestnika Lorii, następczyni tronu.

Roger wstrzymał oddech.

— Wybacz, panie. Nigdy nie słyszałem, że masz córkę. Verl machnął ręką.

. — Nieważne. Posilaj się. Jutro czeka cię długa droga. Odprowadzony zostaniesz tylko do granic Lorii. Później radzić musisz sobie sam. Pamiętaj, iż nie wolno ci wynieść stąd żadnej rzeczy. Jeśli spróbujesz to zrobić, złamiesz nasze prawo i będziesz musiał zginąć, mimo że jesteś tak miły memu sercu.

— Słyszałem już o tym od Aarkwiego, paladyna. Namiestnik pochylił głowę i do końca kolacji trwał ' w milczeniu.

Ciszę rozpraszał tylko dźwięk harf i śpiew księżniczki. Roger wpatrywał się w jej twarz. Jakaś nieprzeparta siła kierowała jego wzrok ku uroczej następczyni tronu. Po godzinie pożegnał Namiestnika.

— Laurien odprowadzi cię do bramy, gdyż nie znając tajnych haseł, nigdy nie wydostałbyś się z zamku. Roger posłusznie skierował się za dziewczyną.

— Pani, czy możesz powiedzieć, jaka jest treść tej pięknej pieśni? Laurien uśmiechnęła się.

— Ojciec mój powiedział ci wystarczająco dużo. To smutna pieśń. Nie powinieneś znać jej treści. Gdybyś poznał, twoje serce przepełniłby ból i nigdy już nie mógłbyś spokojnie żyć w swoim kraju. Przez całe życie, . ciągnęłaby cię tu

— do Lorii, tajemnicza siła, ale nigdy nie odnalazłbyś już naszej krainy.

— Wasz świat, pani, jest tak dziwny. Uczę się wszystkiego na nowo.

— Nasz świat... — uśmiechnęła się smutno. — Masz rację, ten świat jest tylko nasz, odgradzony od twojego barierą nie do przebycia.

— Ale ja ją przebyłem — wykrzyknął Roger. /

— Cóż z tego, kiedy wracasz do swego kraju. Widziałam cię dziś pierwszy raz, ale przedtem dużo o tobie słyszałam.

Żałuję, że nas opuszczasz.

— Pani — Roger pochylił głowę — jedno tve słowo,

a zostanę tu...

Laurien wyciągnęła ku niemu dłoń.

— Oto brama. Wszystkie straże mają rozkaz przepuścić

cię.

Roger przycisnął usta do jej smukłych palców, siłą powstrzymując się, aby nie ucałować ich po raz drugi.

Odwrócił się w głębokim ukłonie, gdy dotknęła jego ramienia.

— Zostań —'szepnęła.

Tego wieczoru zrezygnował nawet, mimo namów paladyna, ze zjedzenia kolacji. Gościnnie gospodarz zapraszał go na kielich leczniczego wina, które sen czyni wolnym od trosk i koszmarów, ale Roger pragnął być sam. Wiedział zaś, że paladyn lubi przy winie długo wspominać stare dobre czasy, opowiadać o dawnych bitwach i o swych

młodzieńczych miłościach. Leżąc w łożu odnawiał wciąż przed oczami obraz księżniczki. Wspominał każde jej słowo, każdy ruch i gest. ;

Wstał i odsunął ciężkie story zakrywające okienne nisze. Nigdy dotąd nie zasłanianio mu okien. Otworzył okiennice i chwilę oddychał orzeźwiającym powietrzem. Po paru minutach położył się i usnął.

Obudził się zlany potem z przeraźliwym krzykiem na ustach. Senny koszmar zniknął, ale Roger zobaczył **coś** stokroć straszniejszego. Podbiegł do okna i z trwogą ujrzał zwały ruin na miejscu pałacu Karguna, sięgnął

—wzrokiem dalej i zobaczył rozłupane wieże zamku Namiestnika. Księżyc rzucał srebrzysty blask na dymiące zgliszcza, nad którymi unosiły się dziesiątki wrzeszczących wron. Roger wychylił się i wśród kamieni ujrzał bielejące ludzkie kości. Jak okiem sięgnąć, widać było tylko ruiny. Wspaniała, tętniąca życiem metropolia zmieniła się w skalistą pustynię. Rzucił się do drzwi i zbiegł po schodach. Halabardy wartowników stojących u drzwi sypialni paladyna zwały się, ale roztrącił je i wbiegł do środka. Jednym szarpnięciem postawił gospodarza na nogi i dramatycznym gestem rozsunął story. Zza parkowych cyprysów prześwitywała marmurowa biel pałacu Karguna, a w dali górowały nad miastem wieże zamku Namiestnika.

— Co się stało? — krzyknął paladyn. — Zostawcie **go**

— rzekł do wartowników, którzy trzymali szarpiącego się Rogera.

— Widziałem.ruiny, zniszczone miasto...

Paladyn dał ledwo dostrzegalny znak i wartownicy wyszli zamykając drzwi.

— Napij się — podał Rogerowi kielich. — To wywar

z siedmioliścia zmieszany z winem. Uspokoisz się.

Roger jednym łykiem opróżnił naczynie. Pałący plyn rozlał się po całym cieple.

Obudził się nazajutrz we własnym łożu. Prawie natychmiast, gdy otworzył oczy, do komnaty wszedł paladyn.

— Witaj, drogi gościu — rzekł. — Mam nadzieję, iż koszmar wczorajszej nocy już minął.

— Wybacz, szlachetny panie — ze skrucha powiedział Roger — wybacz, lecz dręczy mnie niepokój.

— Dałem znać Namiestnikowi. Postanowił, iż możesz zostać tak długo, póki nie nabierzesz sił do trudnej wędrówki.

Nagle do komnaty wszedł sługa i szepnął coś •  
gospodarzowi na *ucho*'.

— Czekają cię odwiedziny godniejsze od moich — rzeki wycofując się paladyn. "W chwilę później głos sługi obwieścił.

— Jej Wysokość księżniczka **Laurien**. Roger pobladł ze wzruszenia.

— Pani, raczyłaś przybyć do swego niegodnego sługi. Laurien odprawiła dworki i siadła na łożu obok Rogera.

— Ja i mój ojciec troszczymy się o twoje zdrowie. Musisz być silny, aby podolać trudom powrotnej drogi, a wierz mi, że jest ona dłuższa i trudniejsza niż droga, którą przyszedłeś.

— Przecież — zająknął się **Roger** — **prowadzi tu jeden szlak**.

— Tak — uśmiechnęła się Laurien. — Będiesz szedł tą samą drogą, ale nie znaczy to, iż będzie ona taka sama.

Roger opadł na poduszki. .

— Nie rozumiem cię, pani, tak jak nie rozumiem wielu *rzeczy* w tej dziwnej krainie. Magia, czary, królowie, księżniczki, namiestnicy, zamki, pałace to przeszłość, która w moim świecie uległa już zapomnieniu. Jak to się stało, iż mimo że tylko kilkanaście dni drogi -dzieli Lorie od ostatnich osad

mojego kraju, nigdy nic o niej nie słyszałem.

— Kilkanaście dni drogi to odległość, jaką ty przebyłeś. Skąd wiesz, jak długo musiałby iść kto inny?

— Nigdy nie widziałem tu nikogo obcego. Jestem jedynym cudzoziemcem...

— Czy martwi cię to?

— Nie, intryguje — odparł. — Poza tym ten wczorajszy koszmar. Jestem pewien, iż widziałem prawdziwy obraz. Tkwi w tym jakaś straszna tajemnica. Księżniczko — uchwycił Laurien za rękę — powiedz mi prawdę. Co się tu dzieje?

Laurien posmutniała.

— Prosiłeś mnie, abym opowiedziała ci, o czym mówi stara pieśń, którą śpiewałam wczoraj tobie i memu ojcu. Roger skinął głową, czując z radością, iż dziewczyna nie uwalnia swej ręki z jego dłoni.

— Ułożona została dawno, dawno temu przez starożytnych bardów. Mówi o mieście, które umarło pokonane przez ciemne moce. Miasto było stolicą pięknej, kwitnącej krainy, która również uległa zagładzie. W krainie tej mieszkali dobrzy i prawi ludzie:

mądrzy uczeni, dobrotliwi magowie, uczciwi władcy i poczciwi słudzy. Pewnej nocy ciemna siła zniszczyła wszystko, co stworzyli ludzie. Miasto zmieniło się w ruiny i wiecznie dymiące zgliszcza. Ale było natchnione mocą i stworzyło obraz, złudę swej wspaniałości, stworzyło sobie mieszkańców. Jednak miastu brakuje kogoś, kim mogłoby się opiekować, kto byłby jego prawdziwym właścicielem. Pieśń opowiada o biednym mieście, które tworząc złudy i miraże próbuje zatrzymać przy sobie choć jednego prawdziwego człowieka, gdyż wtedy nada sens swemu istnieniu...

Spotkało wreszcie człowieka, którego pragnie przy sobie zatrzymać. **Żył** on długo w nieświadomości, ale pewnej nocy zauważył...

— Czy to też Jreść pieśni, czy już moja historia?

— Któż wie, gdzie kończy się pieśń, a zaczyna historia... Miasto nie miało tyle sił — ciągnęła swą opowieść księżniczka — by tworzyć miraże przez cały czas, **a więc** na okres nocy, gdy osłabiony winem i ziołami gość zasypiał

— stawało się znów ruiną. Jedynie dom paladyna stał okazale jak dawniej.

— A więc to wszystko złuda, omam — zamyślił się Roger — wszystko. Ty, pani, też jesteś mirażem...

— Tak, lecz chociaż jestem tylko wytworem wyobraźni miasta, myślę i czuję jak rzeczywisty człowiek.

Nagle ciemna zasłona zakryła oczy Rogera. Poczuł, jak wznosi się, a następnie spada ku



niezmierzonym głębiom.

Gdy otworzył oczy, ujrzał, iż siedzi na skalnym odłamie u stóp olbrzymiego tronu złożonego z granitowych głazów.

Na tronie siedział stary człowiek odziany w powłóczystą

białą szatę. W pobrużdżonej zmarszczkami twarzy

czarne oczy płonęły tajemniczym blaskiem.

Jedna ze skalnych ścian ustąpiła i do jaskini **weszły** dwa

gnomy odziane w pancerne kolczugi.

— Witaj, drogi gościu. — Twarz starca rozjaśnił uśmiech. — Nadszedł czas, abyś spotkał się ze **mną**.

— Kim jesteś, panie? — spytał Roger. —/Czy to nowy miraż, nowa złuda?

— Ja jestem Miastem. •

Roger zamilkł i machinalnie chwycił kielich podany mu

na tacy przez jednego z gnomów.

— Ja jestem jedynym ocalałym magiem, urodziłem **się** wtedy, gdy świat zalewały jeszcze fale oceanu. Byłem duchem opiekuńczym mieszkańców tej krainy, żyłem wraz z nimi, dbałem o nich. Postać starca, którą masz przed sobą, to tylko jedno z moich wcieleń. Jestem każdym kamieniem, każdą grudką ziemi, każdym promieniem światła stąd aż do granic Lorii. Roger przechylił kielich i orzeźwiający napój **ochłodził** spieczoną wargi.

— Zostań tu — usłyszał głos starca. — Nie mam prawa zmuszać cię do czegokolwiek, lecz pamiętaj, że tylko tu staniesz się szczęśliwy. Gdy opuścisz Lorię i wrócisz do swojej ojczyzny, nigdy już nie zaznasz spokoju. Tęsknota za tą krainą będzie dręczyła cię przez długie lata, aż wreszcie umrzesz, jeszcze na łożu śmierci myśląc o księżniczce i o jej miłości.

— Jak mogę mieszkać w czymś, co jest tylko majakiem?

— Czy nigdy nie pragnąłeś przenieść się w świat własnego snu?

— To wszystko jest złudą...

— Jaką masz pewność, że świat, w którym dotychczas żyłeś, był prawdziwy? Roger umilkł.

— Tak — rzekł znów starzec — nie mam już tyle sił, aby cały dzień i całą noc podtrzymywać miraż życia tej olbrzymiej krainy, ale pamiętaj, iż stworzone przeze mnie istoty czują i myślą niezależnie od

moich myśli i uczuć. Potrafią kochać i nienawidzić. Wlałem w nie część swej niegdyś ogromnej mocy.

— A księżniczka?

— Księżniczka będzie istniała dla ciebie na zawsze. Jeśli zechcesz, wrócisz z nią do swego kraju.

— Jesteś, panie, niezwykle szlachetny — '• rzekł **Roger**. Starzec klasnął w dłonie.

— Wracaj, skąd przybyłeś — powiedział.

Porwany ciepłym wirem Roger uniósł się i opadł na swe

łóże w domu paladyna.

Po chwili milczenia podniósł dłoń księżniczki do ust.

— Pani, czuję ciepło twych dłoni, czuję twój dotyk, a serce mówi mi, że kocham cię. Chcę zostać tu wraz z tobą.

Laurien objęła szyję Rogera i wtuliła twarz w jego ramię. A Miasto rozdzwoniło się setkami dzwonów, gdyż znów było szczęśliwe, gdyż znów miało dla kogo żyć.

## Zakłęte miasto II

W ciemny zimowy wieczór brnął przez zwały śniegu zagradzające wejście do pałacu. Lodowaty porywisty wicher zdzierał mu z ramion podbity futrem płaszcz. Grudki zmarzniętego śniegu uderzały boleśnie;

próbował osłonić twarz kołnierzem, ale nie mógł pokonać wichru. Zwalił się ciężko w zaspę. Z trudem wypełznął ze śniegu i głęboko pochylony ruszył w dalszą

drogę.

Po chwili doszedł do bramy, przy której siedzieli

w blasku ogniska dwaj wartownicy. Wątki płomyk

oświetlał ich zmarznięte i poranione twarze. Grzali

dłonie tuż nad ogniem.

Zbliżywszy się do nich, zobaczył, że tkwią bez ruchu.

Trącił jednego z nich nogą, a ciało zważyło się w śnieg, nie

zmieniwszy pozycji. Ogień z sykiem zgasł, jakby palił się

dotąd tylko po to, aby ukazać przybyszowi martwe ciała.

Pchnął ciężkie wrota i wszedł do środka gnany

lodowatym podmuchem. Przekręcił masywny klucz

w zamku następnych drzwi, uchylił je i przez powstałą

szparę wśliznął się do środka.

Stanął na progu wielkiej obwieszanej niedźwiedzimi

skórami komnaty. Wesoło trzaskał ogień na kominku,

jasnym blaskiem płonęły oliwne lampy.

Zrzucił z ramion sztywny od śniegu i mrozu płaszcz

i cisnął go pod kominek. Zdjął futrzane rękawice;

przez chwilę starał się rozruszać zgrabiące palce. W tym momencie podeszły do niego trzy niewolnice i odpięły przytrzymujące pancerz rzemienie, zzuły buty z nóg, ściągnęły skórzane, obszyte futrem spodnie. Westchnął z ulgą i deptając bosymi stopami po miękkich futrach wyściełających podłogę ruszył w stronę małych drzwiczek niedaleko kominka. Otworzył je, z wnętrza buchnęła para. Zrzucił bieliznę i z zadowoleniem wszedł do wielkiej, drewnianej kadzi pełnej gorącej wody. Skóra przyjemnie piekła, krew coraz szybciej krążyła w żyłach.

Wtem jakaś kobieca postać przekroczyła próg i stanęła tuż przy nim. Spojrzał na nią obojętnie i zanurzył twarz w wodzie.

— Poseł z Vergolandu czeka od wczoraj — rzekła. — Gdzie byłeś tak długo? Wynurzył twarz.

— Poproś go do mnie.

— To... — urwała — to kobieta. Roześmiał się głośno.

— Więc tym bardziej!

Po chwili kobieta weszła ponownie w towarzystwie młodej, bardzo wysokiej dziewczyny. Mężczyzna popatrzył na nią z zachwytem, gdy zrzuciła z ramion futrzaną szubę. Jej jasne włosy spływały aż do nabijanego złotymi ćwiekami pasa, przy którym kołysała się pochwa z wystającą rękojeścią kindżału. Ubrana była skromnie, jedynie w szary skórzany kubrak i tego samego koloru spodnie, których nogawice ginęły w szerokich cholewach butów.

— Bądź pozdrowiony, Rogerze, Namiestniku Lorii.

— Witam cię, pani — zapraszającym gestem wskazał zydel pod ścianą. — Wybacz, że przyjmuję cię

tutaj, ale dopiero wróciłem z dalekiej wyprawy i muszę odświeżyć nieco siły. Spojrzał na drugą kobietę.

— Opuść nas, Laurien.

Cicho szcęknięły zamykane drzwi.

— To wielki zaszczyt dla mnie **podejmować Aurię**, córkę Wielkiego Wojownika **Vergolandu**. — Uśmiechnął się lekko.

— Vergoland, Loria, Kampara — wszystko to niedługo przestanie istnieć, rozpadnie się. Roger obojętnie skinął głową.

— Czy zauważyłaś, pani, że ostatnio noce stają się coraz dłuższe, zimy coraz cięższe...

— Ta trwa już rok — przerwała mu Auria. — **Ludzie**

w Vergolandzie mrą jak w czasie zarazy.

Roger wlał do balii wrzątek ze stojącego tuż obok

dzbana.

— I u nas jest podobnie. Wyruszyłem tydzień temu z dwudziestoma rycerzami ku górcom Hogar. Wróciłem sam jeden.

Koń padł mi dwadzieścia kilometrów stąd. Po drodze widzieliśmy wymarłe wsie, opustoszałe grody; nawet wilków jest coraz mniej.

— Wielki Mag Lorii przegrywa swą walkę. Po raz drugi

— rzekła.

Roger sięgnął po przyniesioną przez niewolnika

szklanicę wina.

— To już niedługo się skończy — mruknął. — Trzeba stąd się wyrwać, pani. Jesteśmy tu za długo. Czas wracać.

Auria wstała i zgarnęła włosy do tyłu. Zbliżyła się do Rogera. Leżąc objął ją w pasie, drugą ręką próbując dostać się pod kubrak. Wstrzymała jego dłoń.

— Zostaw — rzuciła ostro. — Czy potrafisz widzieć we

mnie tylko piękne ciało? Zastanów się lepiej, jak stąd

uciec!

Puścił ją i wzruszył ramionami.

— Zmieniasz się.

— Nie przyjechałam tu na zabawy z tobą, ale po radę!

— Czy Wielki Wojownik wie, że jesteś w Lori ?

— Nie.

— Ilu ludzi przyjechało z tobą?

— Dwóch, reszta zginęła po drodze.

— Tych dwóch stało teraz przy bramie? — **spytał**

— Tak.

— Zamarzli — rzekł. — Gdy wszedłem, byli już

skostniali na śmierć.

Ze złością uderzyła pięścią w krawędź kadzi.

— A Wielki Wojownik? — **spytał**.

— Co? — nie zrozumiała.

— Nie chcesz jechać z nim?

Uśmiechnęła się odsłaniając białe równe **zęby**.

— A Laurien? Roześmiał się drwiąco.

— Nie mogę na nią patrzeć. Nie wiem, jak mogłem być tak głupi i zostać z nią.

— Byłeś młody.

— I głupi — dodał. — Piękne słówka, wzruszająca pieśń, rozmowa z Magiem Lorii. Gdybym wiedział... Położyła mu dłoń na ustach.

— Musimy jechać. Magowie będą jednak chcieli nas zatrzymać za wszelką cenę. Nasz odjazd jest dla nich klęską.

Loria i Vergoland upadną. Noc zapanuje na zawsze.

— A Khakherd? Czy nie chce opuścić Kampary?

— Ten głupiec? — syknęła z pogardą. — Postanowił

bronić się.

Roger spojrzał zdumiony,

— Bronić się? Przed ciemnością nie można się obronić. Jeżeli Magowie nie dają rady, to cóż my możemy?

— Magowie nie mogą nas zatrzymać siłą — rzekła jakby do siebie.

Pokręcił głową.

— Więc to już — mruknął. Spojrzała na niego ostro.

— Boisz się? A może żal ci Laurien? A może władzy,

Namiestniku?

Zaprzeczył gwałtownie:

— To nie to. Sam nie wiem. Ta bezsilność, upadek wszystkiego, co dotąd było naszym życiem...

— Milcz! — krzyknęła. — Zostań tu, jak chcesz. Ja jadę! Koniec jest coraz bliżej, a ja nie zamierzam ginąć razem z Magami. Wyszedł z wody i owinął się suchym ciepłym płótnem.

— Ja też nie — powiedział — ale odjeżdżając zabieramy im reszkę sił. Zabijamy ich. Bez nas nie mogą już walczyć.

— Głupcze! — krzyknęła. — Do czego doprowadziła ta Walka? Magowie są coraz słabsi. Dlaczego musiałeś opuścić swój zamek? Bo pewnego dnia nie mieli nawet sił, aby zapewnić mu dalsze istnienie, i z powrotem zmienił się w ruinę przed setek lat.

— To prawda, ale...

Chwyciła go za ramiona i szarpnęła.

— Jedziesz ze mną?

Spojrzał w jej błyszczące gniewem oczy i objął ją.

— Jadę — zdecydował się.

Uśmiechnęła się i pogłaskała go po policzku. Przytulił

się do niej i zaczął całować jej szyję.

— Proszę cię — szepnęła — nie tutaj. Ale on nie słuchał już i szarpiąc zaczął ściągać z niej kubrak... Auria westchnęła, ale poddała się jego dłoniom. Całował jej piersi i pospiesznie rozpinał otaczający biodra pas, gdy wtem skrzypnęły drzwi. Odwrócił się gwałtownie i ujrzał stojącą na progu Laurien patrzącą z rozpaczą i przerażeniem na scenę, która rozgrywała się przed jej oczyma. Nagle zatrzasnęła drzwi i usłyszeli tylko dobiegający zza ściany szloch.

Roger puścił już Aurię i stał opierając się o ścianę. Twarz ukrył w dłoniach.

— Nie cofniesz się teraz — dłoń Aurii spoczęła **na jego**

ramieniu. Wyprostował się i spojrzał w jej oczy.

— Nie cofnę się! .

Leżał w swojej komnacie na piętrze, okryty puchową pierzyną i kilkoma niedźwiedzimi skórami. Głęboko oddychał

mroźnym powietrzem. Nagle ujrzał postać

siedzącą obok na krześle. Twarz przybysza zakryta była kołnierzem długiego, spadającego na ziemię płaszcza.

— Witaj, Namiestniku.

— To ty — rzekł niechętnie Roger. — Niepotrzebnie przychodzisz do mnie.

— Opuszczasz nas?

— Dlaczego pytasz? Ty wiesz najlepiej. Przez chwilę panowała cisza.

— Zabijasz mnie. Namiestniku.

— Dałem ci życie — powiedział Roger. — Dzięki mnie pozostałeś na dwadzieścia lat, a teraz, cóż... chcę wracać.

— Nie wracałbyś, gdyby nie Auria. Roger wychylił się lekko spod nakryć.

— Dawno już chciałem wracać, ale minęło niewiele czasu, odkąd dowiedziałem się, że ona i Khakherd są prawdziwi.

— Co" to znaczy prawdziwi? — spytał z goryczą siedzący na krześle. — Laurien też jest prawdziwa, każdy z twych poddanych jest prawdziwy.

— Lecz zginą wraz z tobą, **bo** są częścią ciebie samego!

— Laurien nie! Wiesz, że stworzyłem ją dla ciebie. Jest taką samą istotą jak ty, Khakherd czy Auria. Boli mnie jej cierpienie. Ona cię kocha. Dwadzieścia lat temu powiedziałem ci, że gdy będziesz chciał, odejdziesz wraz z tobą do twojego świata.

— Przestań! Nie budź we mnie wspomnień! Nie chcę o tym myśleć. Chcę odejść, wrócić, skąd przyszedłem. Chcę być sam.

— Sam — Roger usłyszał jakby ironię w głosie przybysza. — Niegodziwcze, nie pamiętasz czułych zakłęk, miłosnych słów, swego uczucia do Laurien...

— Milcz! — ryknął. — Po co tu przyszedłeś — spytał po chwili spokojniej. — Żebrać?

Postać podniosła się z krzesła. Wydawało się, że rośnie w oczach sięgając głową stropu. Przed twarzą Rogera zatrzymała się różdżka. Poczł obezwładniającą niemoc i sięgający wnętrza piekący ból.

— Zostaw — wydusił przez zaciśnięte zęby. Usłyszał drwiący śmiech i różdżka zniknęła w fałdach płaszcza. Mag wolno wtopił się w ścianę i tylko dziki wichler zakręcił się po pokoju.

Słudzy, osiodłali konie, przytroczyli worki z żywnością. Roger wybrał najpiękniejszą i najlepszą ze zbroi, tę postanowił

nałożyć na siebie. Trzy inne, ulubione,

z którymi nie miał siły się rozstać, spoczęły wraz

z klejnotami i kosztownościami na grzbietach jucznym

koni.

Laurien milcząco przyglądała się tej krzątaninie.

Wreszcie podeszła jednak do Rogera, gdy przeglądał

kufry w małym ciemnym pokoju.

— Gdzie jedziesz? — spytała.

Spojrzał na nią lekceważąco i chciał się odwrócić, gdy

ujrzał za sobą dwie zakapturzone postacie.

— Odpowiadaj — rzekła rozkazującym tonem. W jej oczach ujrzał błysk.

— Jadę do Wielkiego Wojownika. Laurien dała znak dłonią i silne ramiona mężczyzn stojących za Rogerem oplotły jego ciało. Pętla unieruchomiła przyciśnięte do pleców nadgarstki. Drugi koniec sznura przerzucony przez belkę u stropu spadł na dół. Mężczyźni lekko go pociągnęli i Roger zawył z



bólu. Szarpnęli raz jeszcze i o mało nie trzasnęły wykręcane barki.

— Puść! — Laurien dała znak. Sznur zwisał luźno, a Roger upadł na ziemię.

— Zostaniesz ukarany. Ukarany i napiętnowany. Znów poderwali go na nogi. Jęcząc musiał stanąć z wykręconymi rękoma. Jeden z mężczyzn rozdarł mu kaftan.

— Pamiętasz, że dwadzieścia lat temu, gdy chciałeś

opuścić Miasto, mój ojciec rzekł, że nie wolno ci **zabrać**

stąd żadnej rzeczy. Ten rozkaz teraz ja wydaję!

Odejdiesz stąd tak, jak stoisz.

Trzymający wzmocnili uścisk. Roger ujrzał rozżarzony

do czerwoności metalowy pręt.

Laurien przytknęła mu do piersi **żelazo i trzymała tak**

długo, póki nie wygasło na ciele.

Zaczął jęczeć dopiero wtedy, gdy wcierali mu

w oparzelinę popiół smoczego ziela.

— Tak mój ojciec karał ludzi nikczemnych — powiedziała Laurien. — To piętno będzie cię paliło do końca życia.

Później chłodne ostrze noża weszło między jego dłonie. Nie czuł już, jak przecinają wi<sup>^</sup>zy, półprzytomny upadł pod ścianę. Po chwili powlókł się przez pokoje. Z jednej ze ścian zerwał potężny obosieczny miecz i podpierając się nim jak kijem wyszedł na dziedziniec. Chłód zimowego wiatru orzeźwił go. Ujrzał siedzącą na siwym rumaku Laurien, a obok niej rycerza w czarnej zbroi.

— Khakherd! — syknął z nienawiścią. Rycerz uniósł przyłbicę.

— Masz czas do zachodu słońca. Jeżeli nie opuścisz

pałacu do tego czasu — zginiesz.

Roger zaśmiał się. Ale wtedy czarny rycerz coś krzyknął,

i ze śniegu i mgły wyłoniły się postacie na karych

rumakach. Trzasnęły podnoszone okrągłe tarcze, długie

kopie wysunęły się do przodu.

Roger z mieczem w dłoni wskoczył na konia. Czarny rycerz opuścił przyłbicę i kołysząc buławą ostrożnie zbliżył się do Namiestnika. W powietrzu błysnął miecz, ale tarcza Khakherda zatrzymała cios; w tym samym momencie mignęła kolczasta kula. Dłoń Namiestnika uchwyciła łańcuch. Potężnym szarpnięciem wyrwał broń z ręki oniemiałego przeciwnika i wznosił miecz do powtórnego ciosu. Czarny rycerz znów nadstawił tarczę, po czym okręciwszy się z koniem umknął za mur swej komnicy.

Roger roześmiał się pogardliwie. Jeźdźcy otoczyli jego pałac.

— Do zachodu słońca — krzyknął Khakherd. Roger zsiadł z konia i wszedł do pałacu. Na progu komnaty ujrzał Aurię.

Widząc zmienioną twarz dziewczyny, rozchylił futrzany płaszcz na jej piersiach. Pokiwał głową. Na ciele Aurię od lewej piersi aż do obojczyka pulsowała brunatna rana.

— Wielki Wojownik? — spytał. W milczeniu skinęła głową.

— Jedźmy stąd. Jak najprędzej — przez jej **ciało** przebiegł dreszcz. — Słońce już zachodzi.

— Przed chwilą było południe — mruknął jakby do siebie.

Otulili się w futra, przypasali broń i dosiedli **koni**. Gdy cwałowali w stronę gór, drogę zastąpił im Khakherd ze swymi żołnierzami.

— Pójdziecie piechotą — rozkazał. Roger uchwycił rękojeść miecza, ale nim zdołał wyrwać go z pochwy, śmignął

wyrzucony przez Aurię oszczep. Rycerz w czarnej zbroi jęknął głucho i zwałił się w śnieg. -Wbili ostrogi w boki koni i pochyliwszy się nad ich karkami galopowali wzbijając tumany śniegu. Wydawało się już, że zgubili pogoń, ale Roger nadal popędzał konia chcąc jak najprędzej znaleźć się za Wilczym Jarem, będącym granicą Lorii. Konie grzęznąc w śniegu i ślizgając się na lodowej pokrywie mozolnie podchodziły krętą ścieżką ukrytą wśród drzew porastających zbocze. Wreszcie

stanęli na wierzchołku góry. Spojrzeli w dół, na pokrytą śniegiem dolinę. Przekrawał ją w połowie Wilczy Jar, którego zbocza łączyła cienka, pajęczna nić mostu. Roger klepnął konia w kark, gdy nagle zza krzaków wypadła gromada jeźdźców.

Świsnęły strzały. Auria upadła na ziemię. Roger jednak nie zatrzymał się, wbił ostrogi w boki konia i ruszył w dół.

Śnieżna zawieja zakryła go przed oczyma napastników. Słyszał jeszcze jakieś krzyki, ale po chwili wszystko zagłuszył

gwizd wiatru. Zjechał w dolinę, ale mimo że poganiał i popędzał wierzchowca, ten słabł coraz bardziej. Ślaniał się na nogach, boki pokryła mu marznąca piana. Robiło się coraz ciemniej. Roger wiedział, że za chwilę nie znajdzie już drogi prowadzącej w stronę mostu. Wtem ujrzał przed sobą ciemną sylwetkę. Wyciągnął miecz z pochwy.

— Stój — usłyszał głos mimo wycia wiatru — to ja. Śnieg zasypywał oczy, jednak Roger rozpoznał twarz Maga Lorii.

— Wracaj! Jesteś już sam, Auria zginęła. Wstrzymał konia.

— Wracaj. Nie znajdziesz mostu. Zginiesz. Zastanawiał się, czy nie pójść za radą Maga, gdy ujrzał cwałującą w jego stronę dziewczynę.

— Auria!

Zatrzymała konia tuż przy nim.

— Zostaw go, Magu! — **krzyknęła.** — **On jest teraz mój.** Nie zatrzymasz go!

— Stój, Namiestniku. To nie Auria. Ona zginęła tam, <ia gorze. To widmo nasłane na ciebie, aby wyprowadzić cię stąd.

— Nie słuchaj go! — chwyciła uzdę jego konia i uderzyła zwierzę w zad. Pognali w ciemność. Bezbłędnie

odnajdywała drogę w mroku i nieomylnie kierowała się w stronę mostu.

— Za chwilę runie — rzekła przekrzykując wiatr. — Szybciej!

Kopyta koni zadudniły na deskach mostu; po chwili byli już po drugiej stronie. W momencie gdy stanęli na zboczu jaru, za granicami Lori, most runął w dół. Niebo rozdarły błyskawice, w ich świetle ujrzał zmienioną twarz swej towarzyszki.

— Auria! — krzyknął.

Rozległ się piekielny, wibrujący śmiech i postać na koniu zamieniła się w śnieżny tuman. Jak w lustrze ujrzał w nim swoją własną postarzałą twarz. Miecz wypadł z wątlých, starczych dłoni. Słabe

nogi nie utrzymały go na koniu, który głośno rżąc umknął w dal. Usłyszał żalosne zawrodoenie wilków i ostatkiem sił uniósł głowę. Załzawionymi oczyma, przez wirujące płatki śniegu, ujrzał, jak kraina za Wielkim Jarem zapada się pod ziemię.

Vergor z Białego Zakonu

(Historia spisana przez Mistrza Hamrana i tłumaczona przez Ilrina Mnicha)

Jestem stary, bardzo stary, i dni moje są policzone. Nad nicia mego życia czuwają już Trzy Siostry. Bliski jest czas, gdy nożyce jednej z nich przetną ją, odsyłając mego ducha do Krainy Wiecznych Cierpień. Jestem bowiem

grzesznikiem. Całe me życie wypełnione było czynami nieprawymi. Aby jednakże choć w części zmazać wielkie winy i aby pokazać wszystkim, w jaki sposób szatańskie siły przeistoczyły Klasztor Braci z Leśnej Góry w kolebkę zła i podłości, postanowiłem napisać tę historię, a raczej przetłumaczyć to, co napisał przed wiekami Mistrz Hamran.

Długie lata trwało, nim rozszyfrowałem treść księgi pisanej obrazkowym pismem Hlamarczyków w dziwnym i nie znanym już języku hifnu. Historia ta opowiada o Vergorze, mnichu-rycerzu z Leśnej Góry, który zaprzędawszy się złu złamał nakazy Świętej Księgi i zniszczył Biały Zakon z pomocą Czarnej Magi i sił zaklętych w Labiryncie klasztoru.

Aby jednakże opowieść ma stała się jasna i zrozumiała, myślą muszę cofnąć się o lata i powiedzieć wam o powstaniu Białego Zakonu. Było to tak dawno temu, że na miejscu, gdzie dzisiaj wznosi się zamek Cesarza, rosły nieprzebyte bory, pełne dzikiego zwierza. Ludzie mieszkający w nędznych osadach musieli walczyć z puszcza, która wciąż zarastała polne zagony, i byliby zginęli, gdyby nie przybył Ladr-mej-Hoar, nazwany później Mistrzem Weletei (Weletei znaczyło ponoć 'v tamtym języku „dobroczynca“). On nauczył ludzi, jak uprawiać ziemię, on pomógł im w walce z przemożnymi siłami przyrody. Przy pomocy mieszkańców lasów wznosił na tej właśnie górze drewnianą świątynię, gdzie nauczał, co to jest Dobro, Piękno i Mądrość. Mijały lata. Do świętego przybytku zmierzali z daleka wędrowcy, chcąc poznać nauki Mistrza. Kilka wieków po śmierci Ladr-mej-Hoara, gdy lasy ustąpiły miejsca gromom i osadom, książę Haifnez rozkazał zbudować olbrzymi kamienny klasztor, który stoi do dziś. Sam książę zwrócił swą myśl ku sprawom wiecznym i oddał się pod opiekę nowego Mistrza Zakonu. W tym czasie w klasztorze żyło i uczyło się już kilkudziesięciu mnichów, a liczba ich wciąż rosła, gdyż z dalekich stron przybywali ludzie spragnieni nauki o Dobrze, Pięknie i Mądrości. Wielu jednak widząc surowość i trudy klasztornego życia odchodziło ze zgorzkniałym sercem i dlatego też Mistrz wydał rozkaz, aby przyjmowano tych tylko, którzy niezłomną wolą wykazali, że są godni zamieszkać w klasztorze.

Na przybyszy czekały liczne próby, które trwały siedem (albowiem liczba ta jest święta) tygodni i w których poznawali, co to ból, poniżenie i głód, uczyli się pokory i miłości. Ci, którzy przetrwali, przyjmowani byli na siedem lat, a w ciągu nich pod opieką Mistrza czynili pierwsze kroki na drodze ku Dobru, Pięknu i Mądrości. A ci, którzy po siedmiu latach byli godni żyć dalej w klasztorze, pozostawali na dalsze siedem lat. Golono im głowy i malowano żółtym barwnikiem jako tym, którzy doświadczyli Pierwszego Wtajemniczenia. Spędzali czas na medytacjach, aby silny stał się ich duch, i na fizycznych ćwiczeniach, aby silne stało się ich ciało. A ci, którzy przeżyli w klasztorze dwakroć

po siedem lat, doświadczeni Drugiego Wtajemniczenia i mogli zostać z Mistrzem, dalej zgłębiając tajemnice Dobra, Piękna i Mądrości lub założywszy na kolczugę biały habit, przypasawszy miecz i zabarwiwszy głowę purpurowym barwnikiem ruszyć w szeroki świat, aby szerzyć Miłość, bronić słabych i krzywdzonych, a nauczać złych i pysznych.

Jednym z tych, którzy opuścili klasztor, był Vergor, mnich-rycerz, a dawniej ponoć księżę dalekiego państwa. Nie na próżno, widać, Mistrz witał wstępujących do klasztoru słowami: „Nie ma teraz wśród nas chłopów, • książąt, niewolników i rycerzy, lecz wszyscy jesteśmy braćmi w rodzinie Białego Zakonu”, i dlatego też nikt nigdy nie dowiedział się, kim dawniej był Vergor. Wiadomo tylko, że wyruszył w daleką drogę i o nim traktuje historia spisana przez Mistrza Hamrana z Klasztoru Braci ze Świętej Góry, a wyjawiona wam teraz przez niegodnego lirina Mnicha.

1.

*Rozkazów swego Mistrza zawsze słuchać będziesz i wierny pozostaniesz Świętej Księdze.*

Siedział głęboko pochylony, ze stopami opartymi o uda i wpatrywał się w krwiste zachodzącą kulę słońca, widoczną w wąskiej szparze wykutej w ścianie celi. Dłonie oparł na kolanach i zagłębił się w medytacji. Słońce przed jego oczyma zmieniało się w czerwone pasmo, rozmywało i widział już tylko krwawą pulsującą zasłonę, która w końcu zniknęła ustępując miejsca ciemności. Z tejże ciemności wyłoniły się dwie białe dłonie poruszające się tak, jak rozkazał im w myślach. A pod nim wyrastał zielony las potężnych drzew, których konary i gałęzie spletały się w nierozzerwalną całość. Jedna z dłoni chwyciła drzewo u nasady, a druga objęła wierzchołek. Potężny dąb wyrwany z korzeniami został uniesiony w górę i runął na pobliskie drzewa. Znów szarość objęła obraz i widoczne pozostawały tylko białe plamy dłoni, gdy nagle spod nich wytrysnął potok. Jedna z dłoni zagłębiła się w mokrej ziemi i sypnęła nią wprost w nurt. Woda popłynęła innym korytem.

— ... bracie, bracie! — usłyszał stłumiony głos. Wolno dochodził do siebie, ciemność przed oczyma zamieniła się znów w krwistoczerwoną zasłonę, a ta z kolei w smugę purpurowego światła, która ostatecznie uformowała się w kute.

Vergor wolno odwrócił głowę i ujrzał stojącego na progu celi starego mnicha.

— Bracie — rzekł przybysz i tym razem głos\*jego zabrzmiał donośnie. — Mistrz wzywa cię do siebie. Vergor zdjął

dłonie z kolan, rozprostował nogi i wolno podniósł się. Poszedł za mnichem wąskim korytarzem. Po kilkunastu metrach skręcili w bok i zeszli stromymi, krętymi schodami prowadzącymi prawie pod same drzwi celi Mistrza. Stary mnich wszedł pierwszy do środka, po chwili wyjrzał i skinął na Vergora. Ten postąpił kilka kroków do przodu i pochylił

głowę przed starcem siedzącym na posadzce.

— Niech Dobro, Piękno i Mądrość zamieszkają w twojej duszy, Mistrzu.

— I w twojej, bracie Vergorze — odparł starzec. Milczeli długą chwilę.

— Wiesz zapewne, bracie — powiedział Mistrz — że

w Klasztorze znajdują się różne księgi. Zarówno te, pisane przez ludzi uczonych i prawych, jak i te, pisane przez uczonych, a niegodziwych. Nie bronię nikomu, dostępu do tych ksiąg, gdyż aby czynić Dobro, należy też poznać Zło, ale zakazałem korzystać z wiedzy tam zawartej. Ty zaś, bracie Vergorze, robisz *rzeczy*, których robić nie wolno, gdyż przywołujesz na pomoc ciemne siły, które szczęśliwe będą, gdy dasz im okazję, by zamieszkały w twojej duszy. Upaja cię potęgą, jaką czujesz, gdy wyrywasz z korzeniami drzewa czy zmieniasz koryta rzek, ale twoja siła niczemu nie służy. Każdy z nas ma w sobie dwie istoty. Jedną, która nakazuje czynić dobrze, i drugą — pełną złości i nienawiści.

Strzeż się, aby ta druga istota nie zatriumfowała w twojej duszy, gdyż wtedy nie uciekniesz przed Tym, Którego Imienia Się Nie Wymawia, gdyż — jak mawiał prorok Eberdkind — „czasem nawet mata przewina wyłobi w duszy szczelinę, w której zagnieździ się zło, a będzie ono rosło i kwitło, a dusza twoja umrze”. Vergor pochylił głowę.

— Nie widzę zła, Mistrzu, w próbowaniu swej mocy. Muszę wiedzieć, ile jeszcze potrzebuję czasu, aby osiąść najwyższy kunszt. Starzec podniósł się z miejsca.

— Bracie Elwarze! — zawołał. Do środka wszedł stary mnich.

— Poprowadzisz brata Vergora do celi pokutnej. Niech będzie tam zamknięty siedem dni i siedem nocy. Zwrócił twarz w stronę Vergora.

— A ty, bracie, rozmyślaj o swych uczynkach. Ale gdy

drugi raz skorzystasz z wiedzy, z której korzystać nie

wolno, naznaczę ci pokutę za złamanie nakazu Świętej

Księgi.

Vergor zacisnął wargi. Pochylił głowę, **a gdy ją podniósł,**

na jego twarzy malował się smutek.

— Wybacz, Mistrzu — poprosił pokornie.

W ciemnym lochu, o ścianach, po których spływały krople wody tworząc na posadzce rozległe kałuże, nie rozlegał się żaden dźwięk. Nawet spływające krople wydawały się uderzać bezgłośnie w powierzchnię wody. Najmniejszy promień światła nie przenikał przez ściany pomieszczenia, ale Vergor wiedział, że na zewnątrz jest już dzień. Piąty od chwili, gdy zamknięto go w celi pokutnej. Czasem wydawało mu się, że ktoś szepce coś

w jego ucho; czasem przybliżał twarz do ściany jakby nad słuchując słów kogoś tam uwięzionego; niekiedy budził się ze snu przekonany, że nie jest w lochu sam. Czwartego dnia jakiś nagłący głos zaczął szeptać:

„Rozbij! Rozbij ścianę i wyjdź! Rozbij!”, aż w końcu,

gdy rozpoczął się dzień szósty, nie wytrzymał

i skoncentrowawszy całą swą wolę uderzył pięścią

w ścianę wybijając w niej dziurę, przez którą

przepełznął na zewnątrz. Próbował przekraść się

korytarzami do wyjścia, ale dwaj mnisi zagrodzili mu

drogę już na pierwszych schodach. Ujęli go pod ramiona

i bezwolnego, bezsilnego powiedli przed oblicze

Mistrza.

Twarz starca była surowa, oczy patrzyły gniewnie.

— Ciężko zawiniłeś — rzekł. — Złamałeś nakaz posłuszeństwa Mistrzowi. Przez siedmiokroć po siedem niedziel będziesz pracował jak niewolnik przy budowie kamiennej drogi do Klasztoru, spać będziesz na dziedzińcu, a jedzenie i napój sam sobie będziesz znajdował.

— Niech tak się stanie — powiedzieli chórem zgromadzeni wokół Mistrza Starsi Bracia. Vergor ruszył w stronę drzwi.

— Stój — twardy głos starca powstrzymał go i zmusił do odwrócenia się.

— Codziennie otrzymywać będziesz chłostę i nie wolno ci do nikogo przemówić, aż pokuta się nie skończy. Ukarany mnich pochylił głowę.

— Odejdź.

— Świadczę, że wyklęty Vergor złamał pierwszy nakaz Świętej Księgi i odbył za to pokutę.

— I ja świadczę.' •

— I ja świadczę:

Mistrz spojrział w stronę skępowanego sznurami Vergora.

— Czy raz tylko złamał ten nakaz? — spytał.

— Świadczę, że wyklęty Vergor wielokrotnie łamał nakaz Świętej Księgi i za te występki nie poniósł żadnej kary.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

— A ja świadczę przed wami i przed tym, który nad nami czuwa — rzekł Mistrz — że zasłużył na śmierć.

— I my świadczymy — odezwał się chór głosów. -

2. .

*Nigdy nie splamisz swych ust kłamstwem, a jeśli prawdy nie będziesz mógł powiedzieć, zachowasz milczenie.*

Władca siedział na wyściełanym tygrysimi skórami tronie. Cztery półnagie niewolnice wachlowały go mieniącymi się w słońcu wachlarzami z piór rajskiego ptaka. U stóp tronu klęczało czterech dworzan w bogatych, kapiących od złota szatach, a każdy z nich trzymał w dłoniach tacę ze słodyczami i owocami. Obok władcy stali dwaj wysocy barczyści żołnierze w kolczugach, trzymający w dłoniach obnażone miecze. Na alabastrowych schodach prowadzących do tronu klęczał mężczyzna w białym habicie z ogoloną i zabarwioną purpurą głową.

— Potężny królu — rzekł pochylając się **nisko** — wzywam cię, abyś bronił uciśnionych, nękanych i prześladowanych, aby twoje mocarne ramię **starto z** ziemi tych, którzy złorzeczą twej potędze. '

— O kim mówisz?

— O mnichach z Leśnej Góry, władco. O tych występnych i podłych istotach, które przywdziewając maskę pokory knują przeciwko tobie. Król zmarszczył brwi i dał znak niewolnicom, aby przestały go wachlować.

— Czy to może być prawdą?

— Wierz mi, panie — Vergor pochylił się jeszcze niżej.

— Próbowali mnie zabić, gdy nie godziłem się na ich plany. Chcą, aby ich Klasztor był potężny, chcą władać światem.

Ja jestem tylko pokornym mnichem-rycerzem i wędruję naprawiając szkody, jakie w duszach ludzkich czyni zło i nieprawość. Nie mogli pojąć tego, że nie pragnę władzy. Mówią, że kierują każdą swą myśl ku' temu, który czuwa nad nami, a w rzeczywistości nie mogą opanować doczesnych żądz. Władca przyglądał się uważnie klęczącemu

mnichowi, po czym skinął dłonią przywołując swego doradcę.

—• Co myślisz o słowach tego człowieka, Emzo? Doradca zastanawiał się chwilę.

— Z pewnością spotkała go w Klasztorze jakaś krzywda. Może chce się mścić. '

— Sądzisz więc, że kłamie?



— Tego nie powiedziałem, panie. Ale słowa jego są wygodne dla ciebie. Czy pamiętasz, jak mnisi przechowali buntownika Adhera, panie? Nie chcieli go wydać. Uwierz więc teraz słowom tego człowieka, zbierz rycerzy i pociągnij na Klasztor. Najwyższy czas nauczyć tych mnichów prawdziwej pokory. Władca uśmiechnął się i skinął głową. Położył dłoń na ramieniu Emzy.

— Twe słowa są zawsze rozsądne. Doradca pochylił się w głębokim ukłonie.

— Podejdz no bliżej, mnichu — rozkazał król. Vergor zbliżył się do tronu.

— Zawierzę twym słowom. Już od dawna Klasztor wtrącał się do moich spraw. — Trzasnął pięścią w jedną z tac, tak że owoce i słodczyce posypały się na ziemię.— Dość tego! Nauczę te purpurowe pałki rozumu! Vergor obrócił nagle głowę, w jego oczach błysnął gniew, ale pohamował się i znów przyklęknął.

— Stanie się wedle twojej woli, panie. Król popatrzył na niego i pokiwał głową.

— No, możesz odejść — zezwolił. — Nagroda cię nie minie. Umiem docenić wierność.

Vergor powstał, skłonił się nisko i zaczął schodzić.

— Hej, mnichu!

Odwrócił się w stronę króla.

— Jeden z moich dworzan poprowadzi cię do twojej komnaty, ale może chciałbyś się zabawić w nocy? Vergor skłonił

głowę na piersi.

— Żyjemy w cnocie, panie — odparł — przynajmniej ja, chociaż wiem, że inni często schodzili w dół, do osady.

— Może się jednak namyślisz. Zawsze co kobieta, to kobieta. No, idź już.

Mnich skłonił się raz jeszcze i prowadzony przez dworzanina wyszedł z komnaty.

— Świadczę, że wyklęty Vergor złamał drugi nakaz Świętej Księgi i nie odbył pokuty.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

Mistrz z pogardą przyjrzał się skrepowanemu Vergorowi.

— O co jeszcze oskarżacie wyklętego Vergora? — spytał.

— Świadczę, że z powodu jego podłych kłamstw władca Berlontu wyruszył z wojskiem na Klasztor. Oskarżam

wyklętego, że winien jest śmierci setek rycerzy, którzy po bitwie u podnóża Leśnej Góry potopili się w rzece w czasie ucieczki. Świadczę, że i za to nie poniósł kary.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

— A ja świadczę przed wami i przed tym, który nad nami czuwa — rzekł Mistrz — że zasłużył na śmierć.

— I my świadczymy — odezwał się chór głosów.

### 3.

*Zawsze pomoc będziesz niósł krzywdzonym i poniżanym, u smutkowi ich i niemocy zaradzić spróbujesz.*

Szedł piaszczystą drogą wśród lasu, pokrytą dywanem zeschniętego igliwia. Stopy wzniecały tumany pyłu, co chwila splotał, aby usunąć z ust trzeszczący między zębami piasek. Las stawał się coraz rzadszy i w końcu z? jednym z zakrętów ujrzał niewielką, złożoną z kilkudziesięciu chat osadę. Między budynkami uwijali się konni rycerze wywlekając z wnętrza mieszkańców i pędząc ich na plac koło osady. Vergor przyspieszył kroku i wkrótce słyszał już chrapliwe krzyki napastników i jęki przepędzanych mieszkańców. Dwóch z rycerzy dostrzegło zbliżającego się mnicha i po chwili zastanowienia ruszyło w jego stronę z wyciągniętymi przed siebie włóczniami. Vergor skrzyżował ręce na piersiach i zatrzymał się. Rycerze, otoczeni kurzawą, byli coraz bliżej. Nagle gwałtownym ruchem mnich wyciągnął

dłonie przed siebie. Kopie napastników pękły, a przerażone konie poniosły. Vergor ruszył dalej. Pierwsze domy stawały już w płomieniach podpalane przez najeźdźców krążących z pochodniami w dłoniach. Mnich znów stanął i kilka minut tkwił ze wzrokiem wbitym w płonące budynki. Nagły poryw wichru uderzył w ogień i płomienie zniknęły zdmuchnięte jak świeca. Jeden z rycerzy, odziany w bogatą szatę i dosiadający rumaka najlepszej krwi, skupił wokół

siebie żołnierzy. Kłusem ruszyli w stronę nadchodzącego. Vergor zauważył, że pochowali miecze do pochew, a włócznie trzymali nisko opuszczone.

Szereg zatrzymał się kilkadziesiąt kroków od przybysza. Dowódca podjechał i zsiadł z konia. Podszedł do mnicha i uniósł przyłbicę. — Jestem Hawdir, rycerz księcia Menkina.

Vergor pochylił } głowę.

— Witaj, dostojny panie. Jestem Vergor, **mnich-**

—rycerz z Klasztoru na Leśnej Górze.

— Słyszałem o tobie. Podobno król Berlontu wygnał cię ze swego dworu. Czy to prawda?

— Tak. Jego rycerze uciekając w przerażeniu z Leśnej

Góry potopili się w rzece. Król Berlontu żądał za to mej

głowy.

Hawdir roześmiał się głośno.

— Nie tak łatwo chyba zabić mnicha-rycerza, a co dopiero ciebie, Vergorze, o którym słyszałem, żeś najpotężniejszy z tych, którzy odeszli z Klasztoru. Vergor pochylił głowę.

— Dzięki ci za przychylnie słowa, dostojny panie. Hawdir patrzył chwilę na mnicha gryząc końce wąsów.

— Czego tu szukasz? — spytał wreszcie. Vergor uniósł głowę.

— Wędruję. — Spojrzał prosto w oczy rycerza. —

Odejdź stąd, dostojny panie. Zostaw w spokoju tych ludzi.

Hawdir zacisnął zęby.

— Jak śmiesz?

— Powinnością moją jest bronić krzywdzonych. Odejdź stąd.

— Posłuchaj, mnichu — zaczął gwałtownie Hawdir i urwał. — Posłuchaj — powiedział po chwili łagodniej.

— Ci ludzie zawinili i muszą być ukarani. To polecenie księcia Eltanderu. Przechowywali w swojej osadzie buntownika Loshena. Książę wydał wyrok na całą osadę.

— Loshen? To ten przywódca zbuntowanych chłopów?

— Nie mylisz się, mnichu. Słyszałem, że miłują go w

Klasztorze.

Vergor powiódł dłonią po swej łysej czaszce.

— Loshen żył siedem lat w Klasztorze.

— Nie wiedziałem o tym. To cenna wiadomość, mnichu. Z pewnością zajmie ona mego władcę. Vergor skinął głową.

— Czyń swą powinność, dostojny panie. Jeżeli ludzie ci zgrzeszyli przeciw prawu, muszą być ukarani, ale jeżeli raczysz wysłuchać mych słów...

— Mów.

— Zabierz ich na dwór swego księcia i ogłoś, że gdy Loshen stawi się tam, ty wypuścisz więźniów. Gdy Loshen nie przyjdzie, wtedy zabij wszystkich. Ale rękę,

że ten buntownik stawi się przed księciem szybciej, niż

myślimy.

Hawdir spojrzął z podziwem na mnicha.

— Twa rada jest niezwykle cenna. Jeżeli Loshen żył przez siedem lat w Klasztorze, to niewątpliwie stawi się, aby ocalić tych ludzi — roześmiał się chrapliwie — a oni i tak zginą. Sam będzie patrzył na ich śmierć. — Położył dłoń na ramieniu Yergora. — Pomówię o tobie z księciem, mnichu. Nagroda cię nie minie. Vergor spojrzął na dłoń rycerza leżącą na jego ramieniu i zacisnął wargi. Hawdir odsunął się z okrzykiem bólu. Mnich popatrzył na niego i rycerz poczuł nagle przeraźliwy strach. Skłonił się niezdarnie, dosiadł konia i ruszył na czele swych ludzi z powrotem do osady. Vergor odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę lasu. Za plecami słyszał krzyki przerażenia i wściekłości, jęki bólu, rzenie koni. W powietrzu unosił się odór spalenizny, ale gdy wszedł w głąb lasu, znów ukoił go monotony szum drzew i zapach igliwia.

— Świadczę, że wyklęty Vergor złamał trzeci, nakaz Świętej Księgi i nie odbył pokuty.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

Vergor leżąc skrępowany na podłodze poruszył się lekko.

— O co jeszcze oskarżacie wyklętego Vergora? — spytał Mistrz.

— Świadczę, że **winien jest śmierci mieszkańców osady Otren i śmierci mnicha Loshena.**

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

— A ja świadczę przed wami i przed tym, który nad nami czuwa — rzekł Mistrz — że zasłużył na śmierć.

— I my świadczymy — odezwał się chór głosów.

4. . •

*Nigdy nie ukrzywdzisz dziecka, kobiety, -starca ni człowieka bezbronnego.*

Przechadzał się wąskimi uliczkami miasta mijając kolorowe kramy, przed którymi stali rozwrzeszczani przekupnie, przyglądał się przebiegającym często niewolnikom niosącym na swych ramionach lektyki

możnych. Mimo tłumu, który kłębił się na ulicach, wszyscy rozstępowali się przed nim, a gdy tylko ktoś potrącił go, widząc purpurową głowę i biały habit natychmiast pochylał się-bełkocząc słowa przeprosin i czym prędzej odchodził.

Mnisi z Białego Zakonu zawsze byli szanowani i zawsze bano się ich, mimo że nigdy nie czynili zła. Często też przychodzono do nich po pomoc, ale ostatnimi czasy w ościennych krainach zaczęły krążyć

pogłoski, że wędruje po nich mnich, który sprzeniewierzył się naukom Klasztoru. Dlatego też zabobonny lęk opanował serca ludzi i woleli omijać każdego, kto nosił biały habit i miał zabarwioną purpurą głowę.

Vergor otworzył drzwi do jednego z domów i wszedł do ciemnego, rozpalonego wnętrza. Młoda kobieta krzążąca się przy palenisku ujrawszy przybysza skłoniła się głęboko.

— Chciałbym napić się wody — rzekł mnich. — Czy mogę odpocząć w twym domu? Kobieta naląła wodę z glinianego

**dzbana do kubka** i podała gościowi. . '

— To dla mnie wielka radość, mój panie.

Vergor drobnymi łykami pił chłodny napój. Teraz odjął

kubek od warg.

— Panie? Tak mówi się do możnych. Ja jestem tylko

pokornym mnichem.

Kobieta uśmiechnęła się nieporadnie.

— Czy chciałbyś coś zjeść? Vergor odstawił pusty kubek.

— Dziękuję. Usiądę tylko na chwilę.

Odszedł w ciemny kąt, usiadł opierając stopy na udach

i kładąc dłonie na kolanach. Przymknął oczy.

Z czujnego snu wyrwał go łomot dochodzący od drzwi.

Wolno podniósł powieki i dostrzegł dwóch mężczyzn

w skórzanych kubrakach, \*z pejczami w dłoniach.

Kobieta zaczęła krzyczeć uciekając pod ścianę.

Vergor wstał i mężczyźni dopiero wtedy go zauważyli. '

Cofnęli się do drzwi.

— Czego tu chcecie? — spytał mnich. • . Jeden z przybyszów trącił drugiego łokciem i ten wystąpił naprzód.

— Ta kobieta nie płaci podatków. Ma iść pod sąd. Vergor spojrzał w stronę kobiety, która

bezglśnie szlochała wtulając twarz w ścianę.

— Co ci za to grozi? ^

Rzuciła się w jego stronę, klękła i objęła jego nogi.

— Ratuj, panie, wybaw mnie od zguby. Zabiją mnie, a przedtem... a przedtem... — urwała.

— Cóż przedtem? — spytał łagodnie Vergor.

— Panie — podniosła ku niemu załzawioną twarz. — Czyż nie wiesz, co sładzy księcia wyprawiają z pojmanymi kobietami? Ocal mnie od hańby! Mężczyźni przy drzwiach zakręcili się niespokojnie.

— Pozwól nam ją wziąć — rzekł śmielszy z nich. Mnich podniósł kobietę, a. ta przytuliła twarz do jego piersi.

— Ona przyjęła mnie pod swój dach, dała mi pić i pozwoliła odpocząć w swym domu. Przedtem kołatałem na próżno do bram pałacu. Krzyknięto mi, że włóczędzy i żebracy nie są potrzebni. Odszedłem więc — mówił monotonnym głosem. — Mistrz Eberdkind powiedział: „Gdy płacisz niegodziwością za dobroć, tedy bacz, bo dni twe są policzone, a dusza twa cierpieć będzie po wsze czasy”. — Odsunął od siebie kobietę. — Bierzcie ją — powiedział — jeżeli chcecie. Jeden z mężczyzn podrapał się po głowie.

— Nasz książę jest potężny. Ukarze twe zuchwalstwo — rzekł niepewnym głosem.

— Czyż bronię wam czegokolwiek?

Mężczyźni zaczęli się zbliżać obchodząc Vergora z dwóch stron.

— Powiedział też mistrz — zaczął głośno mnich i mężczyźni zatrzymali się — „Nie masz na świecie władcy ponad tego, który nad nami czuwa, i nikt rozkazywać ci nie może, abyś zło czynił. A jeżeli je czynisz, tedy ty będziesz potępiony, gdyż dusza twa jest jak zgniły owoc toczony przez larwy”.

Mężczyźni stali przez chwilę w miejscu, ale widząc, że Vergor nie rusza się, stojąc z założonymi na piersiach dłońmi, znów ruszyli w stronę przerażonej kobiety. Gdy

byli tuż przy niej, mnich odwrócił się wyszarpując miecz z pochwy i zadał dwa krótkie, błyskawiczne ciosy. Dwa zakrwawione ciała z głuchym łomotem opadły na podłogę.

Vergor wytarł ostrze miecza w odzież jednego z zabitych. Schował broń do pochwy. Kobieta podbiegła do niego.

— Coś zrobił", szalony człowieku? Toż oni zabiją mnie za to, zamęczą. O, co ja, nieszczęsna, pocznę! — Usiadła na ziemi i szlochając zaczęła rwać włosy z głowy.

— Nie ma już dla mnie ucieczki, nie znajdę schronienia! Słudzy księcia zabici w mym domu! Jestem wyklęta, zabiją mnie. O, ja nieszczęśliwa! \* Vergor patrzył na nią bez drgnienia powiek. Wyciągnął miecz z pochwy. Ostrze zatoczyło krótki łuk przecinając kark kobiety. Upadła i znieruchomiała na podłodze. Otarł broń jej suknią i umieścił w pochwie. Skłonił się ' nisko przed leżącym na ziemi, stygnącym ciałem i wyszedł wolno zamykając cicho drzwi.

— Świadczę, że wyklęty Vergor złamał czwarty nakaz Świętej Księgi i nie odbył pokuty.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

Vergor przetoczył się z pleców na bok.

— Głupcy — mruknął.

— O co jeszcze oskarżacie wyklętego Vergora? — spytał Mistrz.

— Świadczę, że własną ręką ubił dwoje sług księcia Sefnaru i niewinną kobietę. -

— I ja świadczę.

— I ja świadczę. •

— A ja świadczę przed wami i przed tym, który nad nami czuwa — rzekł Mistrz — że zasłużył na śmierć.

— I my świadczymy — odezwał się chór głosów. .



*Nigdy i na nikogo nie napadniesz pierwszy czynem czy słowem. Lżony i poniżany pochylisz głowę w pokorze, napadnięty odbijesz cios wroga i powiesz: „chcę żyć z tobą w pokoju”, napadnięty drugi raz powtórzysz swe słowa, za trzecim razem powstrzymaj człowieka tego, f ale nigdy nie zabijaj, choćbyś sam miał zginąć.*

Garwer czknął głośno i uniół kielich pełen wina.

— Za nasze życie, dostojni panowie! — Opróżnił naczynie jednym tchem i puste odrzucił za siebie.

— Za radość i uciechy! — wrzasnął przygarniając do siebie nagą niewolnicę. Pochylił się do siedzącego naprzeciw Vergora. — Czy to prawda co mówią o tobie, panie? — zagadnął.

— Cóż mówią?

— Że byłeś mnichem. . »

— Mnichem? — spytał ktoś z obrzydzeniem. — Dostojny Vergor?

Garwer błędną dłońią po nagim ciele niewolnicy, która ulegle poddawała się jego pieścizotom.

— Bytem — odparł krótko Vergor. Garwer zaśmiał się i czknął znowu.

— I miałeś łysą głowę, hę, hę? — chwycił Vergora za włosy spadające na ramiona. Ten odtrącił jego dłoń.

— Miałem.

Garwer przechylił niewolnicę przez stół w stronę

Vergora. ' - ,

— A zakosztowałeś tego, co? Zobacz, jak jędrne są jej piersi. To ciało wróży wielką rozkosz. No co, zakosztowałeś tego? — Klepnął dziewczynę w pośladki.

— Co? Nie? Toś biedny, mnichu. A może ty, hę, hę, nie

lubisz tego, co? Może byś wolał młodego chłopca, co,

mnichu?

Vergor uniósł się lekko, ale zaraz opadł z powrotem na

miejsce. Uniósł kielich.

— Aby najpiękniejsze kobiety zawsze były twoje, dostojny panie — rzekł przyciskając naczynie do warg.

— Aaa, to jest toast, co się zowie! — Garwer łyknął potężną porcję wina i czknął. — Ale powiedz

no. Zakosztowałeś tego? — wrócił uparcie do przerwanego tematu.

— Nie sędzę, aby cię to zajmowało dostojny **panie** — odparł hamując gniew Vergor.

— Dość tego, pijmy! — krzyknął ktoś.

— Śpiewać! Niech któraś zaśpiewa! Jedna z niewolnic zaczęła coś nucić dźwięcznym głosem, ale któryś z

uczujących zaraz ją porwał i zaczął obsypywać pocałunkami jej nagie ciało.

— Powiedz, panie — Garwer przechylił niewolnicę, tak że jej piersi znalazły się tuż przy twarzy Vergora. — Nigdy nie odczułeś męskiego zapachu widząc te śliczności?

— Nie — odrzekł sucho Vergor. Garwer odtrącił dziewczynę.

— Możesz ty nie mężczyzna. Pokaż, co masz pod szatami. — Sięgnął przez stół w stronę Vergora. Ten wstał nagle i palnął pijanego otwartą dłonią w ucho tak mocno, że Garwer poleciał pod przeciwległą ścianę. Gramolił się niezdarnie z ziemi wyciągając kindżał z pochwy.

— Ty przeklęty mnichu — ryknął — zapłacisz mi za to! Nagle jeden z uczujących zastąpił mu drogę.

— Nie w mym domu, Garwerze! Obrażasz mnie i mego

gościa.

Garwer po chwili zastanowienia schował nóż do pochwy.

— Dobrze. A więc jutro o świcie, mnichu. Na

dziedzińcu.

Vergor skinął głową.

Stanęli naprzeciw siebie otoczeni kręgiem rycerzy.

Garwer zakuty był w zbroję wykonaną ponoć przed

wiekami w kuźniach Rewindu. Mówiono, że nie ma na

świecie broni, która potrafiłaby zabić człowieka nią

okrytego.

Garwer zaśmiał się głośno.

— Módl się, mnichu. Nie zostało ci wiele życia. Zatrzasnął przyłbicę, a pacholek podał mu długi, ciężki miecz i prostokątną tarczę z rysunkiem lwa o trzech głowach.

Vergor stał naprzeciw wroga odziany jedynie w lekki półpancerz, z gołą, nie osłoniętą hełmem głową. Włosy rozwiewał mu porywisty wiatr. W dłoni ścisnął miecz krótszy i lżejszy od tego, jaki miał jego przeciwnik, tarczę odrzucił

na bok.

— Módlmy się za duszę tego szaleńca — szepnął jeden z rycerzy do swego sąsiada.

Garwer ruszył naprzód i zadał pierwszy cios. Vergor zatrzymał go mieczem i cofnął się o krok.

— Chcę z tobą żyć w pokoju — powiedział. Dosłyszał stłumiony śmiech.

— Cóż to, strach cię oblatuje? — zadudniło spod przyłbicy. — Vergor, Zajęcie Serce, he, he! Ach, ty bezpłodne łajno!

Garwer zamachnął się do ciosu, ale Vergor uderzył w jego tarczę i ta rozpekła się na kawałki. Miecz Garwera zamiast spaść na głowę mnicha, zakręcił się w powietrzu i wbił ostrzem w ziemię. Vergor zadał krótki cios, który choć wydawał się lekki, rozłupał hełm Garwera, przeszedł przez pancierz i utknął dopiero w piachu. Ciało rycerza rozpadło się na połowy, a Vergor stał oparty na mieczu przyglądając się fontanom krwi zraszającym dziedziniec.

— Świadczę, że wyklęty Vergor złamał piąty nakaz Świętej Księgi i nie odbył pokuty.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

Vergor milczał wpatrzony w mówiących mnichów.

— O co jeszcze oskarżacie wyklętego Vergora? — spytał Mistrz.

— Świadczę, że winien jest śmierci żony zabitego przez siebie Garwera, która umarła w rozpacz.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

— A ja świadczę przed wami i przed tym, który nad nami czuwa — rzekł Mistrz — że zasłużył na śmierć.

— I my świadczymy — odezwał się chór głosów.

## 6.

*Nigdy nie pojdziesz sobie kobiety za żonę ani z żadną rozkoszy zażywać nie będziesz.*

Vergor wszedł do małego pomieszczenia, gdzie na zydlu

siedział stary siwy mężczyzna.

— Witaj, świętobliwy ojcze — **rzekł** pochylając lekko głowę. Starzec spojrział na niego przelotnie.

— Witaj — odparł.

Vergor przysunął zydel spod okna i siadł naprzeciw

kapłana. Milczeli przez chwilę.

— Wiem, z czym przychodzisz — powiedział starzec — i moja odpowiedź brzmi: nie.

— Zastanów się, świętobliwy **ojcze**.

— Byłeś mnichem, teraz jesteś odstępcą i wyrzutkiem. Nie udzielę ci ślubu.

— Czy to twoje ostatnie słowo?

— Tak.

Vergor klasnął w dłonie i do pomieszczenia weszło

dwóch niewolników. Jeden z obnażonym mieczem

w rękę. Starzec pobladł. Vergor podszedł do drugiego **ze**

śług i wyjął z jego dłoni pękaty mieszek. Struga złota

popłynęła na posadzkę.

— Wybieraj, świętobliwy ojcze. Połączysz mnie

z kobietą, której pragnę, i złoto tu zostanie, nie uczynisz

tego — spotka cię kara.

Starzec milczał.

— Ślub udzielony pod przymusem nie będzie ważny — powiedział wreszcie drżącym głosem.

Vergor uśmiechnął się lekko.

— Dla mnie będzie ważny. Więc jak, ojczec? Sługa z mieczem w dłoniach przybliżył się. Kapłan spojrzawszy na lśniąca ostrze i jeszcze mocniej pobladł.

— Spełnię twe żądanie.

— Dziękuję, świętobliwy ojczec — Vergor pochylił głowę i skinął na niewolników.

Wyszli zostawiając rozsypane na podłodze złote monety.

Po ceremonii zaślubin służące powiodły oblubienicę do sypialnej komnaty. Rozdziały swą panią, rozczesały jej włosy i namaściły pachnidłami ciało.

Gdy leżała już naga, okryta śnieżnobiałą pościelą, otworzyły się boczne drzwiczki i do pomieszczenia wszedł Vergor w białej spływającej do ziemi nocnej szacie. Służące skłoniły się nisko i wyszły cichutko z komnaty gasząc po drodze świece.

Vergor w ciemności, która zapanowała, zdjął nocną szatę. Wśliznął się pod pościel i położył obok żony.

Pocałował ją delikatnie w usta.

— Boję się, mój drogi — szepnęła.

Przytulił ją do siebie i poczuł serce łomoczące jak u schwytanego ptaka. Objęła go za szyję, przytulając twarz do Jego twarzy. Jasne sploty włosów zasłoniły twarz Vergora i poczuł delikatny, słodki zapach jej ciała.

— Powiedz, że zawsze będziesz ze mną. Powiedz, że mnie nie opuścisz.

Wspomniał niewyraźne sylwetki, jakie przemykały czasem przez dziedziniec jego pałacu, ciche

stąpienia, które słyszał

budząc się w nocy, przygłuszone szmery dobiegające czasem spod drzwi i pomyślał, że chwila, gdy powiodą go przed oblicze Mistrza, jest już bliska. Nie zamierzał poddać się bez walki, ale wiedział, że droga jego życia schodzi na skraj bezdennej przepaści. Los nie zna litości i teraz, gdy wreszcie stało się to, o czym marzył, gdy wreszcie serce jego zabiło żywiej, właśnie teraz śmierć była tak blisko jak nigdy.

— Dlaczego nic nie mówisz? — spytała. Jej głos wyrwał go z rozmyślań. ,

— Zawsze będę chciał być przy tobie:— powiedział całując ją.

— Świadczę, że wyklęty Vergor złamał szósty nakaz Świętej Księgi i nie odbył pokuty.

— I ja świadczę

— I ja świadczę.

Vergor leżał na posadzce z twarzą przyciśniętą do ziemi.

— O co jeszcze oskarżacie wyklętego Vergora? — spytał Mistrz.

— Świadczę, że winien jest spłodzenia syna, który jako owoc grzechu jest wyklęty i nie ma dlań ratunku.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

— A ja świadczę przed wami i przed tym, który nad nami czuwa — rzekł Mistrz — że zasłużył na śmierć.

— I my świadczymy — odezwał się chór głosów.

7.

• ^

*Zawsze żyć będziesz w ubóstwie i pokorze.*

Wjechał na czele rycerskiej drużyny na pałacowy dziedziniec. Po swej prawej ręce miał Rodryka, barona Haaru, który zaraz gdy minęli bramy, zsiadł z konia i skłonił się przed Vergorem.

— Oto twa siedziba, dostojny panie. Pałac Aniiigord. Vergor zeskoczył z konia i rozejrzał się z uśmiechem.

— Niezwykle piękna. Przyznaję, że twa hojność

zadziwia mnie, baronie.

Rodryk ujął go pod ramię. «

— Bez twojej pomocy byłbym nikim, dostojny panie. Uratowałeś mnie i moją rodzinę od zguby. Vergor rozglądał się nadal podziwiając wysmukłe kształty pałacowych wież, dostrzegając jednocześnie, że pałac w razie napadu mógł być trudną do zdobycia twierdzą.

— Połączenie piękna i siły — rzekł.

— Pójdźmy dalej, dostojny panie. Żwirową aleją wśród ozdobnych drzew i krzewów przeszli dookoła pałacu i stanęli przy kamiennej balustradzie na tarasie. Vergor spojrział w dół i zobaczył postrzępione skały schodzące aż nad samą toń błękitnego, otoczonego kołem topoli jeziora. Długo wpatrywał się w urzekający widok, następnie zwrócił twarz w stronę Rodryka.

— Jestem twym dłużnikiem, baronie. Spędzę tu najszcześniejsze chwile w moim życiu. Ten widok uspokaja i koi.

Baron skłonił głowę.

— To wielka radość dla mnie, dostojny panie, że podoba ci się twoja nowa siedziba. Wolnym krokiem ruszyli w stronę stojącej na dziedzińcu drużyny. .

— Panie — rzekł nagle Rodryk — to nędzna podzięką za łaskę, jaką mi wyświadczyłeś. Racz mi rozkazywać. Spełnię z radością każde twoje życzenie. Vergor spojrział uważnie w jasną, szczerą twarz.

— Bacz, abyś nie żałował swych słów, baronie. Weszli na schody i ruszyli w stronę bramy prowadzącej do wnętrza pałacu.

— Zresztą to tylko prośba, baronie, pokorna prośba, i nie czuj się w obowiązku jej spełnić. Słudzy otwarli na oścież skrzydła drzwi i przybysze weszli do pałacu.

— Mów, dostojny panie.

— Kocham twoją córkę, baronie, i sądzę, że

z wzajemnością. Pragnę ją poślubić.

Rodryk stanął w miejscu i w zamyśleniu przejechał

dłonią po wzorzystym kilimie pokrywającym ściany.

— Byłeś — powiedział niepewnym głosem — byłeś kiedyś mnichem, dostojny panie.

— Tak. Byłem.

— Jeżeli znajdzie się kapłan, który wiedząc o tym, udzieli ci ślubu, masz moją zgodę.



— Będę pamiętał o twojej łaskawości, baronie. Milczeli chwilę.

— Chodźmy dalej — przerwał ciszę baron. — Pokażę ci ten pałacyk. Zajmie nam to trochę czasu. Prawie sto komnat i cudowne, powiadam ci, cudowne podziemia. Wina sprzed pięciuset lat! — Ujął Yergora pod ramię i ruszyli dalej żegnani ukłonami sług.

— Świadczę, że wyklęty Vergor złamał siódmy nakaz Świętej Księgi i nie odbył pokuty.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

Vergor przekręcił się na bok opierając ciało na związanych z tyłu dłoniach. "

— O co jeszcze oskarżacie wyklętego Yergora?— spytał Mistrz.

— Świadczę, że trzykroć po dziesięć niedziel upłynęło, nim został przywieziony przed twoje oblicze. Mistrzu, a cały ten czas pławił się w zbytkach i rozkoszach.

—: I ja świadczę.

— I ja świadczę.

— A ja świadczę przed wami i przed tym<sup>^</sup> który nad nami czuwa — rzekł Mistrz — że zasłużył na śmierć.

— I my świadczymy — '- odezwał się chór głosów.

8. . .

•

*Nigdy nie będziesz służył możnym i bogatym za ich ztoto<sup>^</sup> lecz postępować będziesz według nakazów Świętej Księgi, bowiem żaden śmiertelny prócz twego Mistrza rozkazywać ci nie może.*

Medytował siedząc z przymkniętymi oczami zwrócony " twarzą ku oknu, gdy nagle ktoś wpadł do komnaty. Zerwał

się i stanął z wyciągniętym mieczem. Ostrze dotykało piersi barona. Ten cofnął się, przestraszony. ,

— Wybacz, baronie. .Vergor schował miecz **do** pochwy.

— Proszę, usiądź. ,

— Wybacz, dostojny panie, me nagłe najście, ale potrzebuję twojej pomocy. •

— Mów, proszę.

— Książę Eltanderu wjechał z wielkim wojskiem

w granice mej prowincji. Błagam, pomóż mi, dostojny

panie.

— Cóż mogę dla ciebie zrobić?

— Wiem, jak potężnym jesteś rycerzem. Stań na czele. mych wojsk. Vergor zamyślił się.

—Książę Eltanderu, mówisz?

— Tak, dostojny panie.

Vergor odwrócił się do okna. -

— Złamałem już nakazy obowiązujące w mym Zakonie. Uważany jestem za odstępcę. Cóż, baronie, muszę

pomyśleć.

— Ma wdzięczność nie będzie miała granic, dostojny panie. Na północy mej prowincji znajduje się pałac Aniigord.

Oddam ci go we władanie wraz z przyległymi terenami, ale uratuj mnie! Vergor odwrócił się. '

— Zachowaj spokój, baronie: Takie zachowanie nie przystoi rycerzowi.

— Ja mogę zginąć i zginę z uśmiechem na ustach, ale ma

córka, dostojny panie. Kocham ją nad życie. Nie zniosę jej śmierci lub hańby.

— Wiem, baronie.

— A więc? Jaka jest twoja decyzja? Aniigord jest twój i zrobisz z nim, co zechcesz.

— Dobrze. Kiedy ruszamy?

— Natychmiast! — wykrzyknął uradowany baron.

Na drugi dzień o świcie wyrzynano resztki wojsk księcia Eltanderu.

— Świadczę, że wyklęty Vergor złamał ósmy nakaz Świętej Księgi i nie odbył pokuty.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

— O co jeszcze oskarżacie wyklętego Vergora? — spytał Mistrz.

— Świadczę, że winien jest śmierci dziewięciu setek rycerzy księcia Eltanderu, do których zguby przyczynił się prowadząc wojska barona Rodryka.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

'— A ja świadczę przed'wami i przed tym, który nad ,  
nami czuwa — rzeki Mistrz — że zasłużył na śmierć.

— I my świadczymy— odezwał się chór głosów.

# 9.

*A gdy pierwszy raz złamiesz nakaz, będziesz siedmiokroć po siedem niedziel żył w pokucie wyznaczonej przez Mistrza. ...*

... skoncentrowawszy całą wolę uderzył pięścią w ścianę wybijając w niej dziurę, przez którą przepelznął na zewnątrz.

Próbował przekraść się korytarzami do wyjścia, ale dwaj mnisi zagrodzili mu drogę już na pierwszych schodach. Ujęli go pod ramiona i bezwolnego, bezsilnego powiedli przed oblicze Mistrza. Twarz starca była surowa, oczy patrzyły gniewnie.

— Ciężko zawiniłeś — rzekł. — Złamałeś nakaz posłuszeństwa Mistrzowi. Przez siedmiokroć po siedem 'niedziel będziesz pracował jak niewolnik przy budowie

kamiennej drogi do Klasztoru, spać będziesz na dziedzińcu, a jedzenie i napój sam sobie będziesz znajdował.

— Niech tak się stanie — powiedzieli chórem zgromadzeni wokół Mistrza Starsi Bracia. Vergor ruszył w stronę drzwi.

— Stój — twardy głos starca powstrzymał go i zmusił do odwrócenia się.

— Codziennie otrzymywać będziesz chłostę i nie wolno ci do nikogo przemówić, aż pokuta się nie skończy. Ukarany mnich pochylił głowę.

— Odejdź.

Odprawdzili go na dziedziniec, gdzie otrzymał pierwszą

porcję plag. Siedem uderzeń bicia rozdarło skórę i ze

skatowanych pleców popłynęły strużki krwi. Potrafił co

prawda zapanować nad bólem, tak że nie czuł prawie

ciosów, ale wiedział, że to tylko początek.

Założył habit trący nieznośnie poranione plecy i zszedł

na dół, do strumienia. Tam codziennie wydobywał

śliskie od wody i mułu omszałe głązy i w potwornym

wysiłku przenosił układając na piaszczystej drodze

prowadzącej do Klasztoru. Każdego wieczoru

otrzymywał chłostę i mimo że rany jego goiły się szybciej niż innym ludziom, to w kilka niedziel po rozpoczęciu pokuty plecy były jedną wciąż krwawiącą i szarpiącą piekielnym bólem raną. Ale nawet nie myślał o ucieczce.

Zaledwie dwa lata minęły, gdy dostąpił Pierwszego Wtajemniczenia. Nie posiadał jeszcze tak wielkiej mocy, aby przeciwstawić się Klasztorowi. Musiał być posłuszny i pokorny.

Gdy słońce zachodziło za lasem i gdy wracał z krwawiącymi plecami, starał się złowić jakieś drobne zwierzę. Zwykle pożerał surowe mięso, a potem pełen obrzydzenia do siebie szedł do Klasztoru i usypiał na zimnych kamieniach dziedzińca.

Budzono go przed świtem i znów wracał do ciężkiej pracy, z każdą chwilą umacniając się w nienawiści do Zakonu. Gdy rozłupywał wielkie głazy, wyobrażał sobie, że ciska kamieniem w głowę Mistrza i że to właśnie jego czaszka pryska pod bezlitosnym uderzeniem.

Bezkarnie dawał upust swej nienawiści wiedząc, że udziałem jego jest nadzwyczaj rzadki dar. Otóż nikt, nawet sam Mistrz, nie potrafił przejrzeć myśli Vergora.

Mózg jego był zamknięty przed każdym, kto chciałby się tam wkraść i odczytać najskrytsze tajemnice. I właśnie świadomość tego daru dawała Vergorowi siłę do dalszej pracy i pokorę w znoszeniu ponizeń. Za pięć lat otrzyma Drugie Wtajemniczenie i wtedy

wreszcie jego nienawiść wypłynęła jak wrząca i niszcząca wszystko lawa. Poprzysięgał zemstę tym, którzy go ukarali, i jego serce radowało się, gdy wyobrażał sobie najwymyślniejsze sposoby, jakimi zgładzi wrogów. Pewnego dnia, gdy łamiąc paznokcie i raniąc palce wydobywał z lodowatej wody szczególnie ciężki głaz, ujrzał stojącego nieopodal Mistrza. Pochylił się w ukłonie i wrócił do przerwanej pracy, ale kamień wypadł mu ze zdrtwiałych dłoni i runął na stopy. Vergor upadł do wody i z wysiłkiem odrzucił przygniatający nogi głaz. Z trudem przyczołgał się do brzegu. Nagle poczuł, że czyjaś silna ręka pomaga mu wstać. Ciepłe palce Mistrza dotknęły jego skroni. Ból stóp, dłoni i pleców ustąpił

natychmiast. Vergor pochylił się do kolan Mistrza, choć w myślach przysięgał mu śmierć. Nie mógł zwłaszcza zapomnieć pewnego letniego dnia, gdy leżąc w strumieniu chłodził wodą poranione plecy. Zauważył to jeden z braci, a Mistrz tegoż wieczoru kazał wydać Vergorowi trzykroć po siedem plag. Dziewięć lat pobytu w Klasztorze nauczyło go jednak cierpliwości. Czekał na dzień, gdyotwarcie będzie mógł uderzyć w Biały Zakon, i wiedział, że dzień ten nadejdzie. Na razie z pokorą odbywał pokutę, a gdy minęło siedmiokroć po siedem niedziel, wybaczone mu winę i wrócił do Klasztoru.

— Świadczę, że wyklęty Vergor odbył pokutę za złamanie po raz pierwszy nakazu Świętej Księgi.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

# 10.

*... gdy drugi raz złamiesz nakaz Mistrza, wyznaczy ci pokutę sroższą, a ty będziesz posłuszny...*

Przechadzał się wśród drzew, przypatrując się przeskakującym z gałęzi na gałąź ptakom, gdy nagle ktoś stanął mu na drodze. Poznał Selfrina — jednego

z mnichów, którzy wraz z nim dostąpili Drugiego Wtajemniczenia, ale zdecydowali się pozostać w Klasztorze.

— Niech Dobro, Piękno i Mądrość zamieszkają w twojej duszy, Vergorze — rzekł Selfrin.

— Czego chcesz? — spytał krzyżując ręce na piersiach.

— Przybywam z poleceniem Mistrza.

— Mistrza? Sam sobie jestem mistrzem, a ten nędzny starzec obchodzi mnie tyle co, ot to! — kopnął kupkę końskiego nawozu. Na twarzy Selfrina nie drgnął ani jeden mięsień.

— Muszę doprowadzić cię, bracie, przed oblicze Mistrza.

— Więc zrób to!

— Czy nie zechcesz pójść ze mną z własnej woli?

— Powiedz Mistrzowi, że jego słowa, jego nakazy i zasady są niczym! Nie pozwolę, aby ten stojący nad grobem starzec kierował moim życiem. Vergor chciał się odwrócić i odejść, ale poczuł dotyk, który unieruchomił mu ręce i nogi.

Jakaś siła próbowała powalić go na ziemię, ale wyzwolił się natychmiast spod jej władzy. Spojrzał prosto w oczy Selfrina i wyteżył całą swą wolę. Ciało przybysza zaczęło się chwiać i mnich upadł na kolana. Vergor wyszarpnął

miecz i podniósł go do ciosu, ale po chwili zastanowienia schował broń do pochwy i odszedł, zostawiając leżące na drodze bezwładne ciało. Był zdumiony swą siłą. Selfrin był najukochańszym uczniem Mistrza, a przecież został

zmiażdżony w przeciągu chwili. Obrócił się jeszcze i zobaczył, że mnich nadal leży na środku drogi jak szmaciana kukła.

— Świadczę, że wyklęty Vergor nie odbył pokuty za złamanie po raz drugi nakazu Świętej Księgi.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

Pogardliwy uśmiech wykwitł na ustach spętanego mnicha.

— O co jeszcze oskarżacie wyklętego Vergora?

— Świadczę, że winien jest wielokrotnego złamania nakazów Świętej Księgi, za co nigdy nie odbył pokuty.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

— A ja świadczę przed wami i przed tym, który nad nami czuwa — rzekł Mistrz — że zasłużył na śmierć.

— I my świadczymy — odezwał się chór głosów.

11.

*... a kto trzeci raz pogwałcił święte prawa, ten doprowadzony zostanie przed oblicze Mistrza...*

Była ciemna noc. Gwiazdy i księżyc przesłonięte ciężkimi wiszącymi tuż nad ziemią chmurami nie oświetlały ukrytego wśród drzew pałacu. Porywisty wiatr głużył wszelkie odgłosy ustawicznym jękiem. Tę właśnie noc wybrali mnisi, aby wkraść się do pałacu Vergora i doprowadzić odszczepieńca przed oblicze Mistrza. Znali siłę przeciwnika, więc ruszyło ich z Klasztoru aż sześciu — sześciu najbieglej szych uczniów Białego Zakonu.

Bez trudu minęli nawołujące się przeciągłymi okrzykami strażę i weszli na teren siedziby Vergora. Trzech z nich stanęło pod drzwiami sypialnej komnaty, pozostali przywarowali u okna zaczajeni przy ścianie pałacu. W jednej chwili wtargnęli do środka komnaty, bezszelestnie, aby nie zbudzić śpiącego — ale Vergor stał już w rogu pomieszczenia z obnażonym mieczem w dłoni. Jego żona spała spokojnie, głęboko oddychając. Mnisi dobyli mieczy i łukiem otoczyli odszczepieńca. Ten przywarł plecami do ściany. Nagle odbił się, wyskoczył w powietrze, zadał trzy szybkie jak błyskawica uderzenia, opadł na posadzkę i stanął twarzą do swych wrogów. Dwa ciała w białych habitach upadły na ziemię. Struga krwi popłynęła po marmurowych taflach posadzki. Żona Vergora krzyknęła obudzona szczękiem żelaza i zerwała się z łoża. Zobaczywszy męża otoczonego przez wrogów skoczyła w stronę wyjścia, chcąc wezwać pomoc, ale nagle już przy samych drzwiach łagodnie osunęła się na ziemię. Czterej mnisi stali naprzeciw Vergora, który obserwował ich spokojnym wzrokiem. Nagle znów skoczył, ale tym razem ciało jego zwinęło się w powietrzu; tylko cudem uniknął ciosu mierzonego w nogi. Znów przywarował w rogu komnaty. Cztery ostrza jak srebrne węże pobiegły w jego kierunku, ale Vergor odparował wszystkie ciosy, a sam zadał tylko jeden, po którym ciało następnego z mnichów upadło na ziemię z rozłupaną czaszką. Czuł jednak, że słabnie. Nieustanne skupienie, koncentracja, aby nie dać się opanować połączonej woli mnichów, nadszarpnęły jego siły. Ciało nadal było sprawne i gotowe do walki, ale duch Vergora nie był

w stanie oprzeć się naciskowi woli wrogów. Co chwila ciemniało mu przed oczyma. Potrzebował chociaż chwili adpoczynku, chwili na powtórne skupienie się. Ale mnisi nie dali mu odpocząć. Znów ruszyli i, Vergor z największym trudem odbił ich ciosy. Tym razem zranił jednego ze swych przeciwników, ale opadł już na kolana. Wiedział, że to koniec. W kolejnym ataku wytrącili mu miecz



z dłoni i przyłożyli ostrza do gardła. Znieruchomiał.

Oslabionego spętali sznurami i wzięwszy za nogi i głowę wynieśli z komnaty. *Ranny'*, kulejąc, powlókł się za nimi, ale przedtem uniósł żonę Vergora i ułożył ją w pościeli. Znów niezauważeni przemknęli przez dziedziniec, dosiedli pozostawionych przy drzewach koni. Vergor próbował odzyskać utracone siły, ale każda próba rozerwania więzów kończyła się fiaskiem. Mnisi czuwali nad tym, aby nie stał się znów groźny. Wreszcie przy którejś z prób omdlał z wyczerpania. Ocknął się leżąc skrępowany sznurami na posadzce największej komnaty w Klasztorze. Obok niego stało dwóch mnichów, a naprzeciw na krześle ustawionym na podeście siedział Mistrz. Otaczało go siedmiu Starszych Braci i siedmiu mnichów-rycerzy. Mistrz uniósł dłoń.

— Jesteś wyklęty, Vergorze — rzekł. — Zostaniesz osądzony. Musisz ponieść karę za swe nieczne uczynki. Vergor spojrział w twarz Mistrza.

— Co z moją żoną?— spytał zdławionym głosem.

— Mnisi nie karzą kobiet — odparł jeden z Starszych Braci.

— Czy chcesz nam coś powiedzieć, Vergorze, nim zaczniemy cię sądzić? — spytał Mistrz. Vergor próbował się skupić i natężył mięśnie i wolę, aby rozerwać więzy, ale stojący obok mnich trącił go nogą.

— Próżny twój trud — powiedział.

— Czy chcesz nam coś powiedzieć, Vergorze? — powtórzył pytanie Mistrz.

— Tak! Tobie! — uniósł z trudem głowę i splunął w kierunku Mistrza. Ten otarł ślinę z twarzy.

— W imieniu tego, który nad nami czuwa, zaczynajcie, bracia—rozkazał.

— Świadczę, że wyklęty Vergor złamał pierwszy nakaz Świętej Księgi i odbył za to, pokutę.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

Mistrz spojrział w stronę skrępowanego sznurami

Vergora.

— Czy raz tylko złamał ten nakaz? — spytał.

— Świadczę, że wyklęty Vergor wielokrotnie łamał nakaz Świętej Księgi i za te występki nie poniósł żadnej kary.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

— A ja świadczę przed wami i przed tym, który nad nami czuwa — rzeki Mistrz — że zasłużył na śmierć.

— I my świadczymy — odezwał się chór głosów. Nastąpiła chwila milczenia.

— Świadczę, że wyklęty Vergor złamał drugi nakaz Świętej Księgi i nie odbył pokuty.

— I ja świadczę.

— I ja świadczę.

Mistrz z pogardą przyjrzał się skrępowanemu Vergorowi.

(...)

12.

*... (' wrzucony tenże człowiek będzie w Labirynt Klasztoru. ~*

Niosąc Vergora na ramionach schodzili stromo idącymi w dół kamiennymi krętymi schodami. Ciemność rozjaśniały przytwierdzone u stropu pochodnie. W ich blasku twarz skazańca zdawała się szara na podobieństwo ścian. Mnisi cicho nucili pieśń błagalną, aby ten, który nad nimi czuwa, wybaczył, że posyłają człowieka w objęcia śmierci. Mistrz szedł z tyłu pogrążony w modlitwie. Gdy schody się skończyły, skręcili w wąski ciemny korytarz. Dwaj mnisi idący przodem wyjęli z żelaznych uchwytów pochodnie, oświetlając drogę. Strop schodził coraz niżej i musieli się już pochylać, aby nie zawadzić głową o skalę. Ściany korytarza żłobione były przez bez przerwy spływające strumyki wody, które zlewały się na podłożu w wartki potoczek biegnący rowem wyrzeźbionym w skale. Wreszcie dwaj mnisi zatrzymali się i stanęli z dwóch stron stromego uskołu, opuszczając pochodnie. Vergor rzucił okiem w czeluść, nie dostrzegł jednak dna. Mnisi położyli go na ziemi i oplatali w pasie długą grubą liną.

— Módl się, Vergorze — rzekł Mistrz. — Kończy się czas twej wędrówki. Vergor odwrócił twarz.

— W imię tego, który czuwa nad nami — powiedział uroczystym tonem Mistrz — zaczynajcie. Ostrożnie zepchnęli Vergora w czeluść, a dwóch ' mnichów mocno trzymało naprężoną linę. Wolno zaczęli ją popuszczać. Ciało skazańca osuwało się ocierając lekko o ściany.

— Bądźcie przeklęci! — dobiegł ich głos z dołu.

Nagle napięcie sznura zelżało, ciało Vergora sięgnęło

dna.

Mnisi zrzucili linę i cicho nucąc błagalną pieśń ruszyli

w drogę powrotną.

Gdy wyszli z wąskiego ciemnego korytarza i wspięli się schodami na pierwszy poziom Klasztoru, Mistrz rozkazał wezwać wszystkich braci do wielkiej komnaty.

„I nadejdzie dzień, gdy czyniąc sprawiedliwie, zło sprowadzisz na świat, a niegodziwie postępując, własną duszę zbrukasz. Tedy rozważ w głębi serca swego, czyliż lepiej świat ten doczesny, którego jak mgła jest nietrwały, na żer ciemnej sile wydać czy duszę swą przędąc? I rozważ też, iż świat będzie cierpieć, póki ten, który czuwa nad nami, nie przerwie łąk jego, a dusza twa cierpieć może wiecznie". I?

Prorok Eberdkind „Rozważania o duszy i czynach człowieczych", Księga Piąta.

Mistrz siedział na krześle ustawionym na podeście, a wokół niego stanęło dwudziestu Starszych Braci i siedmiu goszczących w klasztorze mnichów-rycerzy. Naprzeciw Mistrza zebrali się pozostali bracia, którzy dostąpili Pierwszego Wtajemniczenia, a było ich ośmiokroć po siedmiu, a za nimi liczna gromada uczniów. Wielka sala zapełniła się.

— Bracia — rzekł wstając Mistrz — wypełnił się nasz czas i czas Klasztoru. Dziś jeszcze umrzemy. Módlcie się.

— Jakże to, Mistrzu? — krzyknął jeden ze Starszych Braci.

Starzec spojrział w jego stronę i uśmiechnął się.

— Połączymy się z tym, który czuwa nad nami. Módlmy się, aby dusze nasze były czyste i godne dostąpić łaski.

— Mistrzu, wyjaw nam,-cóż się stało? Starzec skinął głową.

— Vergor wróci, bracia — rzekł. — Wróci na czele ciemnych mocy, które obudzi w Labiryncie Klasztoru. Czas pożegnać się, bracia, ale pamiętajcie, że wraz z-nami nie zginą Dobro, Piękno i Mądrość. One zawsze będą trwać w ludzkich sercach. I choć zło nadchodzi, bądźcie pewni, iż nie zwycięży nigdy. — Rozejrzał się po skamieniałych w zdumieniu i zgrozie twarzach mnichów. — Rozejdźcie się, bracia. Nagle wystąpił jeden z mnichów-rycerzy. Położył

dłoń na rękojeści miecza.

— Czas jeszcze, aby zabić Vergora. Zejdę do Labiryntu i dokonam tego.

Mistrz spojrział w jego stronę.

— Czyż po to przez dwakroć po siedem lat uczyłem cię o Dobrze, Pięknie i Mądrości, czyż po to ślubowałaś Świętej Księżdzie, aby teraz iść i zabijać? Mnich-rycerz spuścił głowę na piersi.

— Wybacz, Mistrzu — powiedział cicho i cofnął się.

— Dlaczego nie możemy się bronić? — spytał jeden z braci..— Jesteśmy silni i jest nas wielu. Odepchniemy zło z powrotem do Labiryntu! Mistrz zszedł z podestu.

— Wysłuchajcie mego ostatniego rozkazu — rzekł. — Rozejdźcie się do swych cel i módlcie się. Nie walcie się bronić ani czynem, ani wolą. Niech każdy z was myśli o własnej duszy, niech rozważy błędy, jakie popełnił, i wyzna zatajone występki. Rozejrzał się po sali.

— Bądźcie dobrej myśli, bracia. Niech Dobro, Piękno i Mądrość zamieszkają w waszych duszach.

— I w twojej, Mistrzu — odpowiedział mu chór głosów. Starzec wyszedł z komnaty, a za nim w ciszy i spokoju rozchodzili się pozostali mieszkańcy Klasztoru. Jedyne najmłodszy z mnichów-rycerzy, Rether, został w komnacie, a gdy wszyscy już wyszli, wybiegł z niej i ruszył w dół schodami kierując swe kroki w stronę Labiryntu.

Mistrz, który wchodził już do swej celi, obrócił się w stronę idących za nim mnichów.

— Módlcie się za duszę brata Rethera — rozkazał — bo może on stanąć na czele tych, których dusze będą potępione.

„Powiadam wam, mili, a wy uwierzycie tym słowom, iż ten, kto źle czyni, ufa swej potędze. Azaliż pomyśli on, że zło, które obudził, jego samego pożreć może?” .

, Prorok Eberdkind „List do sercu memu miłych mieszkańców grodu Attir” •

Vergor poczuł zimny i mokry dotyk skały i zrozumiał, że,

znalazł się na dnie lochów w Labiryncie Klasztoru. Po

chwili uderzyła go spadająca z góry lina. Przez dłuższy

czas leżał bez ruchu na ziemi i wsłuchiwał się w mowę

Labiryntu. Czul czającą się tuż obok przerażającą siłę,

której myśli odbierał, ale były one tak obce, iż nie mógł

ich w pełni zrozumieć. Rozerwał krępujące ciało więzy

i wstał. Ruszył przed siebie macając dłonią po ścianach.

Czuł, jak ktoś lub coś zbliża się ku niemu. Wysunął rękę do przodu. Po chwili zaczął z nich bić lekki blask.

Korytarz rozjaśnił się i Vergor ujrzał przed sobą olbrzymią postać w czarnym habicie.

„Witaj, Vergorze” — usta nieznanego nawet nie drgnęły, lecz skazaniec słyszał słowa tak wyraźnie, jak gdyby wypowiedziane były tuż przy jego uchu.

„Witaj” — odrzekł.

„Długo czekaliśmy na ciebie. Jesteś wreszcie”.

Zza pleców postaci w czarnym habicie zaczęły wyłaniać się następne. Vergor z uwagą przyglądał się ich nieruchomym, jakby ciosanym z kamienia, szarym twarzom.

„Poprowadzisz nas do Klasztoru”.

„W jaki sposób?” — spytał. — „Wyjście z Labiryntu obwarowane jest zaklęciem nałożonym przez samego Mistrza. Tak silnym, że nikt zrzucony w głąb Labiryntu - nie może go przerwać”.

„My możemy”.

„Po cóż jestem wam potrzebny?”

„Nie pytaj o to. Jesteś potrzebny”.

Vergor oparł się o ścianę i patrząc w stronę czarnych postaci zamyślił się głęboko. •

„Pomyśl, o czym marzyłeś, Vergorze, w czasie pokuty, gdy rozbijałeś kamienie. Czy nie o śmierci Mistrza? Dziś możesz go zabić”.

Vergor cofnął się o krok, zbyt zdumiony, że odgadnięto jego myśli, aby zastanowić się nad sensem słów obcego.

Próbował zasłonić się przed penetracją mózgu przez czarne postacie.

„Próżny twój trud, Vergorze. Potrafię odczytać myśli każdego żyjącego stworzenia. Decyduj się szybko.

I pomyśl, że spełnisz swój ślub. Mistrz zginie”.

„Co będzie później?”

„My zapanujemy nad Klasztorem, a ty odejdiesz do swego pałacu”.

Jakiś lęk zaczął wolno czaić się w duszy Vergora. Czuł nieszczerłość obcego. Był im potrzebny. Koniecznie potrzebny, ale nie mógł przewidzieć, co stanie się, gdy opanują Klasztor. To zresztą nawet specjalnie go nie obchodziło. Cały czas zastanawiał się, do czego ma im posłużyć.

„To nieważne, Vergorze, i nie zajmuj się tym. Masz dwie drogi. Wybierz jedną z nich. Zostaniesz tutaj i zginiesz lub poprowadzisz nas do Klasztoru i znów będziesz wolny. A chciałbyś chyba ujrzeć żonę?”

Vergor zastanawiał się już tylko krótką chwilę.

„Dobrze”.

Przepuścił przed siebie czarną postać i poszedł za nią, słysząc za swymi plecami kroki pozostałych. Gdy doszli do miejsca, gdzie Vergor zostawił linę, obcy wyciągnął dłoń i sznur pomknął w górę, po czym naprężył się i zeszywniał. Zaczęli się wspinać.

Nagle obcy wyciągnął miecz z pochwy i zadał cios.

Vergor poczuł mokre chluśnięcie na twarzy i ujrzał rozplątane ciało Rethera. Bluzgająca z rany krew spływała w dół po kamieniach.

Vergor stanął nad ciałem zabitego mnicha.

— Skąd on tu się wziął? — mruknął do siebie.

Czarna postać lekko dotknęła ramienia Vergora.

„Idziemy”.

Znów ruszyli naprzód.

„Najpierw zabijesz Mistrza”.

Krętymi schodami weszli na pierwszy poziom Klasztoru.

Obcy skinął lekko dłonią i jedna z towarzyszących mu postaci wyciągnęła z pochwy miecz i zwróciła rękojeścią w stronę Vergora. Ten po chwili wahania ujął podaną mu broń.

„Idź spełnić ślub”.

Wolnym krokiem Vergor ruszył w głąb korytarza i stanął przed drzwiami prowadzącymi do celi Mistrza. Pchnął je

i wszedł do środka. Starzec siedział na podłodze  
pogrążony w modlitwie. Otworzył oczy i ujrzał stojącego  
w progu Vergora, trzymającego obnażony miecz.  
Vergor przygotowany na atak Mistrza lub chociaż na  
jego obronę skupił się i skoncentrowany, krok za  
krokiem, podchodził coraz bliżej. Wreszcie stanąwszy tuż obok starca bezradnie opuścił dłonie.  
— Dlaczego? — spytał głucho. — Dlaczego się nie  
bronisz?  
Czarna postać stanęła w progu celi.  
„Zabij go!”  
Vergor niezdecydowanie uniósł broń.  
— Dlaczego nie zostawiliście mnie w spokoju? — spytał Mistrza. — Ścigaliście mni'e jak dzikie  
zwierzę. Sami sprowadziliście na siebie nieszczęście. „Zabij go!”  
— Milcz, Arhogu — rzekł głośno starzec i czarna postać cofnęła się, pchnięta jakby niewidzialną  
dłonią.  
— Znasz go? — spytał zdumiony Vergor. Opuścił miecz. Ostrze dotknęło ziemi.  
— Powiedz. Dlaczego? Mistrz uniósł głowę.  
— Jesteś **przeklęty**, jesteś **odszczepieńcem**, **zdrajca**.  
Musiałeś zostać ukarany. Prawo jest po to, aby je  
szanować. Zasłużyłeś na karę i poniesiesz stokroć  
gorszą, niż mógłbyś...  
Potężnym pchnięciem Vergor dźgnął starca w pierś.  
Następnie wyrwał ostrze z rany i ciął, aż rozchlastane  
uderzeniem ciało Mistrza potoczyło się pod ścianę.  
Odetchnął ciężko i odwrócił się. Zobaczył tuż przy sobie



czarną postać. Gorejące blaskiem czerwone oczy patrzyły na niego. Nagle poczuł uderzenie. Zdumiony wyrwał z ciała sztylet. Rana zabiłła się natychmiast. Do celi wpadło kilka czarnych postaci z dobytymi mieczami.

„Nie jesteś już potrzebny”.

Przymrużył oczy, aby nie widzieć opadających mieczy.

I tu kończy się historia spisana przez Mistrza Hamrana, a przetłumaczona przeze mnie — niegodnego Ilrina

Mnicha. Koniec to opowieści o mnichu-rycerzu Vergorze z Leśnej Góry, ale nie koniec historii Klasztoru.

Nie wszyscy mnisi Białego Zakonu posłuchali Mistrza, kilkunastu z nich uciekło z Leśnej Góry i po wielu latach założyli na niedaleko leżącej Świętej Górze swój własny zakon.

Wtedy też rozgorzała walka, w której Arghog i jego

bracia zdobyli potęgę tak wielką, że wydawałoby się, iż

nie ma siły, która mogłaby ją zniszczyć. Pokonali nawet samego cesarza Oshowę Bezbożnego. Później jednak Klasztor na Leśnej Górze zaczął chylić się ku upadkowi, albowiem nie na próżno rzekł prorok Amfel: „A minie siedmiokroć po siedem dziesiątków lat i w kolebce zła zaczną nauczać o Dobrze, Pięknie i Mądrości. Jeździec w złotej zbroi wjedzie na górę i zwycięży, albowiem czysta będzie dusza jego”.

W trwodze patrzę na zachodzące słońce, gdyż dzisiaj od dnia, gdy Vergor zabił Mistrza, mija czas, o którym mówił

prorok Amfel. Dzięki składam temu, który czuwa nad nami, że pozwolił mi na spisanie tej historii, lecz nie śmiem nawet zanosić kornych błagań, gdyż zasłużyłem na wieczne cierpienia i od lat już wiem, że będą one moim udziałem.

Słońce chyli się już za las. Niech ten, który czuwa nad nami, zlituje się nad mą duszą! Widzę postać

jadącą ku Klasztorowi. W złotej zbroi krwawo odbija się zachodzące słońce.

NIECH DOBRO, PIĘKNO I MĄDROŚĆ POZOSTANĄ W WASZYCH...

Syn szatana

Z trudem wspinał się po kamienistej ścieżce. Dokoła zwieszały się gałęzie kolczastych krzewów, więc przez cały czas musiał osłaniać twarz dłońmi. Nagle stopy pośliznęły się na wilgotnym kamieniu i upadł na ziemię. Poczul ból w prawej dłoni i jęknął, gdy wtem ktoś poderwał go jednym szarpnięciem na nogi. Zobaczył trzech zakapturzonych mężczyzn w czarnych habitach.

— Kim jesteś? — spytał jeden z nich chrapliwym głosem.

Chciał odtrącić dłoń ściskającą mu ramię, ale gdy wyciągnął rękę, dwaj stojący dotąd z boku przybysze rzucili się na niego i sznurem oplatali mu nadgarstki. Twarda pięść w czarnej rękawicy uderzyła go prosto w twarz i poczuł na wargach słodki smak krwi. Powlekli go przez krzaki na małą polanę, gdzie stały trzy osiołki. Jeden z napastników wskoczył na grzbiet zwierzęcia i trzymając w dłoni sznur krępujący ręce więźnia popędził wąską, wydeptaną przez osły ścieżką. Próbował uwolnić dłonie, ale każde szarpnięcie wywoływało ból w złamanym nadgarstku. Chciał

krzyczeć, ale słowa więzły mu w gardle. Nagle uderzył głową o kamień i stracił przytomność. Obudził go ból. Gdy otworzył oczy, usłyszał śmiech. Wisiał przywiązany do belki pod sufitem. Sznur wpijał się w ręce. Mimo mroku ujrzał

krople krwi kapiące ze startych nadgarstków.

— Wody — wyszeptał — na Boga, dajcie mi wody!

— Zbrodniarzu — rzekł twardym głosem jeden

z siedzących przy stole zakapturzonych mężczyzn. —

Jak śmiesz wzywać imienia Boga, ty szatańskie nasienie!

— Dał znak i stojący dotąd pod ścianą, w mroku, potężny mnich wyszedł na środek. Ciężki kańczug ze świstem trzy razy przeciął powietrze rozdzierając skórę jak nóż.

— Kim jesteś, ty pomociu czarta? — ryknął siedzący przy stole.

— Nazywam się Herrog. Jestem Wielkim Paladynem Marchii. Zapłacicie mi za to wszystko! Zaśmieli się, lekko rozbawieni.

— Tu nie sięga niczyja władza. Tu panuje Bóg i nie "istnieją" ludzkie prawa. Ja i moi bracia jesteśmy wysłannikami Boga na ziemi, stworzonymi po to, aby niszczyć plemię szatana.

Dał znak dłonią i sznur lekko zsunął się na dół, tak że więzień mógł stopami dotknąć podłogi.

— Powiedz, skąd i po co przybywasz. Mów wszystko, jak na świętej spowiedzi, bowiem kłamiąc przy , spowiedzi narażasz się na wieczne potępienie, a próbując oszukać nas, skazujesz się także na męki doczesne.

— Pytajcie — odrzekł paladyn.

— Kto cię tu przysłał? W jakim celu?

— Złożyłem ślubowanie, że odbędę samotnie podróż do Świętego Kamienia. Wyruszyłem ze stolicy Marchi ...

— Kłamiesz — rzekł jeden z mnichów. — Święty

Kamień znajduje się daleko stąd i droga do niego

z Marchii nie wiedzie przez nasze tereny. Zasmucasz

mnie.

Ciało paladyna zawisło znów w górze.

Świsnął kańczug. Uderzenia były miarowe, każde

rozdierało skórę aż do kości. Tym razem bili go, dopóki

nie zemdlał. ,

— Bracie Kalwerze, przynieś więźniowi wywar

z dwuróźdzki.

Siłą wlali mu w gardło piekącą ciecz.

— Mów prawdę, paladynie. Ten napój nie pozwoli ci już zemdleć. Wyjaw swe grzechy, nie sprzedawaj się złu. Herrog patrzył spod półprzymkniętych powiek. Ujrzał, jak w ogniu rozgrzewają się żelazne szczypce i cęgi, jak bulgocze w kotle wrząca woda. Zadrżał i przełknął ślinę. Mnich zauważył jego wzrok.

— Twój czas mija. Brat Kalwer wypędzi z ciebie szatana.

— Powiem — wyszeptał — powiem prawdę jak na świętej spowiedzi. Opuśćcie mnie tylko na ziemię, błagam.

Sznur opadł i paladyn dotknął stopami skały. Przywołał na pomoc swego Ducha Opiekuńczego i nagle poczuł, że ból i zmęczenie ustępują. Jednym szarpnięciem zerwał więzy, ale stojący z tyłu mnich był szybszy i nim **więzień** zdołał się odwrócić, uderzył go kańczugiem w tył głowy. Paladyn osunął się na kolana. Zobaczył nad sobą kilka postaci. Bili go niemiłosiernie tak długo, dopóki nie

powstrzymała ich uniesiona ręka wydającego rozkazy.

— Dość na dzisiaj—rozkazał.—Nie może szybko umrzeć.

Mnisi wywlekli więźnia z komnaty i zgasili ogień. Żarzyły się tylko jeszcze rozpalone narzędzia tortur. Jeden z siedzących przy stole powstał i szybkim krokiem zaczął chodzić wzdłuż ścian przesuając dłonią po chropawym kamieniu.

— Marchia upomni się o Herroga —rzekł wreszcie. Siedzący w środku mnich, ten, który wydawał rozkazy, odezwał

się z naganą w głosie:

— To syn szatana. Musi zginąć, ale przedtem poznamy jego tajemnice. Tylko szatan mógł dać jego słabemu ciału siłę przerwania więzów.

— Brat Geiwan ma słuszość — powiedział siedzący nieco z boku mnich. — Marchia prędzej lub później dowie się o uwięzieniu Herroga. Poza tym on zmierzał do Świętego Kamienia, a to znaczy, bracie Velhamie...

— Milcz! — ryknął Velham. — To nic nie znaczy.

—To znaczy, że mnisi ze Świętej Góry wiedzą o jego przybyciu. Mogą się domyślić, że jeśli zaginął, to z naszej winy.

— Jesteś głupcem, bracie Bredanie — rzucił z pogardą Velham. —Nie boję się żadnych sił na ziemi i w niebie... ,—

Ale my się boimy — przerwał mu cichy głos. — Wybraliśmy cię, bracie Velhamie, naszym ojcem i wodzem, a ty ciągniesz nas ku przepaści. Straciliśmy już klasztor na Mieczowym Wzgórzu i opactwo w Źródlanej Dolinie, a teraz chcesz, aby Marchia znalazła powód, który pozwoli nas zniszczyć. Chyba wiesz, że wtedy klasztor zajmą mnisi ze Świętej Góry?... Velham sapał ciężko i melł w ustach przekleństwa.

— To syn szatana!

— Wiemy o tym dobrze — ciągnął cichy głos — ale musimy go puścić, bracie Velhamie. Inaczej zginiemy, nie tylko my, ale i nasza tysiącletnia wiedza. Widziałeś, jak silny jest duch, który go chroni. Dopiero siła nas wszystkich potrafiła go odpędzić, a skąd wiesz, czy nie wróci tu niedługo stokroć potężniejszy?!

— Szatan zawsze będzie słabszy od sług Bożych.

— Nas nie musisz oszukiwać, bracie Velhamie — rzekł ,Geiwan. — Przeciwno nam jest Marchia, potężni mnisi ze Świętej Góry, a teraz chcesz skierować przeciw nam Herroga. Wiesz chyba, że to ulubieniec cesarza i gdyby cesarz dowiedział się o jego śmierci, zmiażdżyłby nas. Velham uderzył pięścią w stół.

— Sto lat temu pradziad cesarza próbował nas pokonać,

ale jego wojska z pomocą Bożą zostały zniszczone przez wiernych nam mnichów.

— Bracie Velhamie — odezwał się znów cichy głos. — Sto lat temu nasz zakon był wielki. Tysiące wiernych sług Bożych stawały na rozkaz, dziesiątki klasztorów zamieniały się w niezdobyte twierdze. Nie żyj złudą, bracie Velhamie.

Dziś jesteśmy już słabsi, nasza tysiącletnia potęga upada, nie wolno nam ryzykować. Może nadejdzie jeszcze czas, że zdobędziemy znów władzę, aby szerzyć prawa Boga. Velham niecierpliwie stukał pięścią w stół.

—— Nie możemy go puścić — mruknął. — Będzie pragnął zemsty.

— Nie martw się, bracie. Pójdę do niego. Przekonam go, że wybaczenie win bliźnim jest łaską, którą nie każdy dostaje od Boga.

Herroga obudziło światło pochodni kłujące obolałe oczy. Zobaczył pochyloną postać, która przecinała więzy krępujące mu stopy i dłonie.

— Kim jesteś? — wycharczał.

— Brat Arram. Przychodzę ci pomóc, paladynie. Mnich nachylił czarę z wodą i ożywczy strumień wpłynął w usta więźnia.

— Możesz stąd się wydostać, paladynie, ale pod jednym warunkiem.

Herrog chłonał każde słowo.

— Przysięgniesz, że nigdy nie opowiesz nikomu o tym klasztorze ani nie będziesz próbował tu wrócić? Paladyn milczał przez chwilę.

— Nie — odparł. \

— Nie? — zdziwił się Arram. — **Wiesz, co cię czeka**, gdy tu zostaniesz? Brat Velham wie, że **jesteś, synem** szatana, chce poznać twoje tajemnice...

— To bzdura, jestem synem Gherriegó, pana na

Yirlegen.

Brat Arram zaśmiał się lekko.

— Jesteś duchowym synem szatana, paladynie. On opiekuje się tobą i chroni cię, ale jest za słaby, aby pokonać moc kryjącą się w murach klasztoru. Od wielu setek lat nasz zakon walczy z diabelską

władzą. W przeciwieństwie do brata Velhama nie wierzę, abyś działał przeciw Bogu świadomie. Jesteś zabawką w mocy zła. • \

Paladyn milczał i ciężko oddychał. .

— Jesteście szaleni — rzekł wreszcie.

— Nie, paladynie.-Jesteśmy ostatni, którzy znają szatana i jego siłę. Marchia, Cesarstwo, inne zakony zapomniały o potędze zła, nie umieją już go\*zwalczać. Mnisi ze Świętej Góry próbują modlitw, pokuty, miłosierdzia, a to na nic.

Szatan jest ucieleśnionym Złem, a więc zwalczyć go można stosując zło jeszcze

; większe!

» **Brat** Arram umilkł.

' — Zastanów się, paladynie — podjął po chwili. — To ostatnia szansa. Jeśli nie zdecydujesz się odejść, czekają cię jutro próby ognia i wody. Dzięki nim brat Velham odsłonił już prawdę o wielu bezbożnikach. Przez chwilę panowała w lochu cisza.

— Odejdę — szepnął wreszcie paladyn — i nigdy nie wyjawię waszej tajemnicy ani nie spróbuję tu wrócić.

— Jutro będziesz wolny.

Brat Arram bezszelestnie opuścił więzienie.

Rankiem, gdy przez wąską szparę u stropu lochu przeblyskiwało słońce, po paladyna przyszło trzech mnichów. Brat Arram poprowadził schodzącym wciąż w dół korytarzem trzymając pochodnię w rękę, dwaj pozostali mnisi

podtrzymywali osłabionego więźnia. Zatrzymali się przy rozwidleniu korytarza.

— Ta droga, paladynie — brat Arram wskazał ręką w lewą stronę — stale idzie w dół, podobno aż do środka Ziemi.

Nikt jeszcze stamtąd nie wrócił — urwał

— choć próbowało wielu...

Herrog oparł się o skalną ścianę i wyjął pochodnię z rąk

mnicha. Oświetlił schodzący prawie pionowo w dół

uskok. Cofnął się o krok i oddał pochodnię Arramowi.

Ruszyli dalej, ale coraz częściej musieli stawać, gdyż

paladyn co chwila tracił siły.

Wreszcie dwaj mnisi unieśli go.

**Po** chwili Arram znów się zatrzymał i wskazał pochodnią

na miejsce w skale, z którego wystawały żelazne klamry.

— Tu zginął Oshowa Bezbożny; przodek cesarza, który śmiał wystąpić przeciw sługom Pana. Paladyn przez chwilę przypatrywał się klamrom przytrzymującym poźółkły i zniszczony szkielet.

— Jak zginął? — spytał.

— Głód — odparł mnich — zabił go głód. — Przesunął pochodnię na prawo i oczom paladyna ukazała się ciemna jama.

— Co to? — rzucił Herrog.

Mnisi pochylając głowy, aby nie zawadzić o niski

omszały strop, weszli w głąb ciemnej szczeliny; Wzdłuż

ścian ciągnęły się w równomiernych odstępach żelazne

płyty.

— Oto grobowce braci — wyjaśnił Arram. Zaczęli teraz schodzić stromymi, wyrąbanymi w kamieniu schodami.

— Klasztor nasz jest mały, ale pod ziemią ciągną się

setki kilometrów korytarzy — tłumaczył mnich —

a wszędzie tu istnieje niezwalczona Moc, która

opiekuje się nami, broni nas.

Schody skończyły się i paladyn **usłyszał cichy plusk wody**

uderzającej o skały.

Arram skinął 'parokrotnie pochodnią i z ciemności

wyłonił się chudy, niski mnich ciągnący na sznurze

łódź.

— Podziemne jezioro rozsądziło kilka lat temu skały —

wyjaśnił Arram. — Od tej pory przejście to jest rzadko używane.

Usiedli na ułożonych w poprzek łodzi deskach, a chudy mnich kijem odepchnął ją od skały.

Paladyn zanurzył dłoń w wodzie chcąc-obmyć **spieczoną** gorączką i skrwawioną twarz, ale mnisi wstrzymali jego rękę.

— To zatruta woda — rzeki Arram. — Jedna nawet kropla przyprawia o szaleństwo. Nie wolno jej pić. Herrog wytarł

palce w strzępy odzienia. W ciemności nie rozjaśnionej wątłym światłem pochodni ujrzał nagle jakiś kształt zbliżający się do łodzi. Jeden z mnichów ruchem szybszym od mgnienia oka wyrwał z pochwy miecz i uderzył w wodę. Rozległ

się przeraźliwy jęk, a mnich wytarł skrwawiony miecz w kraj habitu.

— Dobrze, bracie — pochwalił go Arram.

— Co to było? — spytał po chwili paladyn.

— Jezioro łączy się z dwiema podziemnymi rzekami. Czasem więc wpływają tu nocne potwory nie potrafiące żyć w świetle dnia. Blask pochodni przywabia je jak ćmy. Nie są niebezpieczne... — odrzekł Arram — w każdym razie dla nas.

— Nikt obcy nie chciałby chyba znaleźć się sam w tych lochach — skrzywił wargi w lekkim uśmiechu paladyn. Brat Arram pochylił głowę.

— Nic nie jest groźne dla sług **Bożych**.

Dno łodzi zgrzytnęło o kamienie. Jeden z mnichów klasnął w dłonie i czyjeś silne ręce wyciągnęły paladyna na brzeg.

W ciemności dostrzegł tylko białą plamę twarzy pod kapturem.

— Zegnaj, paladynie — powiedział Arram. — Wierzę twemu przyrzeczeniu, gdyż wiem, że nigdy jeszcze nie skalałeś się krzywoprzysięstwem. Bracia wyprowadzą cię teraz na powierzchnię. Stamtąd już niedaleko do . pierwszego klasztoru mnichów ze Świętej Góry.



— Żegnaj — rzekł Herrog. Oparł się na ramieniu prowadzącego go mnicha i wolnym krokiem podszedł do stojących na skalnym podeście osiołków. Mnich ostrożnie posadził paladyna na grzbiecie jednego ze zwierząt. Sam stanął obok i chwyciwszy osła za uzdę poprowadził korytarzem, w którym mrok rozpędzały zamocowane na ścianach pochodnie.

Dwaj pozostali mnisi szli za osłem niosącym Herroga.

Korytarz kończył się pionową **skalą** i paladyn **zdziwił się**, że mnisi stają tuż przy niej.

Nagle kamienna płyta, na której stali, uniosła się w górę. Herrog machinalnie schylił się myśląc, że potężna siła zgniecie ich o strop, gdy ten odsunął się nagle. Płyta zatrzymała się kilkanaście metrów wyżej. Mnich prowadzący osła dotknął skalnego wypustu i ściana wolno uniosła się.

Wstąpili w nowy korytarz. Po chwili paladyn usłyszał głuchy łomot świadczący o tym, że ściana zamknęła przejście.

Przez długi czas posuwali się idącym stromo \w górę korytarzem co chwila skręcając, a czasem nawet zawracając.

Paladyn próbował zapamiętać drogę, gdy wtem idący przed nim mnich odezwał się chropowatym głosem:

— I tak nigdy tu już nie wrócisz, paladynie. Nie próbuj więc pamiętać tej drogi. Herrog zacisnął wargi.

Dobrnęli do potężnej kraty, której pręty miały grubość męskiego ramienia. Krata uniosła się i paladyn zobaczył ostre pale wylaniające się ze skały.-Skręcili teraz w mały, boczny korytarzyk i znów zapanowała ciemność. Nagle oczy paladyna oślepił blask dnia. Wyszli na polanę ukrytą wśród lasu, a skała zamknęła się za nimi. Herrog odwrócił głowę.

Nie potrafiłby powiedzieć, w którym miejscu istnieje zamknięte przejście. Mnich zauważył jego spojrzenie.

— Wielki jest ten las i wiele w nim skał takich jak ta —  
powiedział.

Nagle drgnął i wyszarpnął z pochwy obosieczny miecz.

Dwaj pozostali mnisi również stanęli gotowi do walki.

Zasłonili sobą paladynu wyciągając do przodu ostrza  
mieczy.

Z lasu wolnym krokiem wyszło kilkunastu mnichów

w szarych habitach.

— A, przeklęci skalnicy! Znów pojawiliście się na naszej ziemi — rzekł jeden z "nich wysunąwszy się naprzód. —

Kogo ze sobą wieziecie, bezbożnicy?

— Jestem Herrog, paladyn Marchii. Ci ludzie wyrwali mnie z rąk zbójów.

Mnich w szarym habicie postąpił jeszcze kilka kroków i przyjrzał się towarzyszom Herroga.

— Zbójów? — wzruszył ramionami. — Znam tu tylko jednych zbójów. Tych, którzy chodzą w czarnych habitach.

— Milcz — ryknął mnich stojący najbliżej paladyna — bo wbiję ci te słowa z powrotem do gardła: Odwozimy go wam, gdyż pragnął pielgrzymować do Świętego Kamienia.

— Ciebie też znam, Reltorze. Z twych ust nie słyszano jeszcze słowa prawdy. Twój język jest równie plugawy jak cały wasz zakon.

Mnich, nazwany Reltorem, warknął 'krótko i nagle spod rękawa jego habitu wyfrunęła krótka, szeroka strzała i ugodziła szarego mnicha prosto w pierś. Zaraz jednak opadła na ziemię złamana na stalowej siatce kolczugi. Reltor zdusił w ustach przekleństwo.

— **Z**e swych czynów wytłumaczycie się przed ojcem Kargenem. Pójdziecie teraz z nami — rozkazał mnich w szarym habicie. Reltor roześmiał się lekceważąco.

— Od kiedy to możecie wydawać rozkazy cnotliwym

sługom Pańskim z Leśnej Góry?

Chwycił osiołka za uzdę i podprowadził w stronę nowo

przybyłych.

— Bierzcie ze sobą paladyna. Potrzebuje dobrej opieki. Nie żądamy ani zapłaty, ani podziękowań. - Wszystko, co czynimy, czynimy ku chwale Boga. Dwóch mnichów w szarych habitach powiodło zwierzę niosące paladyna na

stronę. Czarni szykowali się już do odejścia, gdy drogę zastąpiła im nowa grupa braci ze Świętej Góry. '

Mnich w szarym habicie uniósł dłoń. i — W imię Boże, bracia. ! Błysnęły wyciągane z poche-w miecze. ; Czarni mnisi odrzucili do tyłu kaptury i oparli się plecami

o skalę.

— Stójcie! — krzyknął paladyn. Gdy skierowali na niego wzrok, rzekł: — Ci ludzie uratowali mnie od śmierci. Nie możecie ich zabić. Mnich przewodzący oddziałowi podszedł do paladyna.

— Mówisz, panie, że ci ludzie wyrwali cię z rąk zbójów? ' .

— Tak.

Mnich spojrział na jego wynędzniałą postać.

— Przysięgnij, panie. Wtedy puszczę ich wolno. • — Słowo paladyna Marchi jest święte.

— Tu święte są tylko słowa Boże — rzekł mnich

Z naganą w głosie.

Spojrział uważnie, prosto w oczy Herroga.

— Przysięgnij.

Paladyn odwrócił wzrok.

Mnich znów podniósł dłoń. Szarzy wolno zbliżyli się.

Pierwsze cięcia rozrywając ciszę odezwały się echem **po**

lesie. I już po chwili trzy szare, zakrwawione habity

runęły na trawę.

Reltor zaśmiał się.

Napastnicy uderzyli ze zdwojoną energią, ale czarni

mnisi opierając się plecami o skalę spokojnie parowali

cięcia i sami zadawali ciosy, od których pękały miecze

braci ze Świętej Góry.

Wreszcie szarzy odstąpili, unosząc ciała siedmiu zabitych

towarzyszy.

Reltor wbił miecz ostrzem w ziemię.

— I cóż, Graasie? — krzyknął z pogardą w głosie. — Wytniemy twą drużynę, a ciebie powiedziemy

przed oblicze brata Velhama.

Mnich nazwany Graasem, ten, który poprzednio rozmawiał z paladynem, wystąpił do przodu.

— Naprzód, mili bracia. Odrzućcie ich od skały, tam gdzie nie sięga ich moc.

Paladyn zrozumiał, że to bliskość ściany daje czarnym mnichom dodatkową siłę.

Szarzy uderzyli, ale tym razem jakby z mniejszą śmiałością i szybko wycofali się. Teraz już i Reltor, i obaj jego towarzysze wbili miecze w ziemię i śmiali się pogardliwie.

— Twój bracia, Graasie, świetnie nadawali się do pilnowania cesarskich haremów — szydził Reltor.

Graas lekko pobladł słysząc tę zniewagę.

Nagle całą polanę zaczęła zasnuwać śnieżnobiała mgła.

— Ojciec Kargen, ojciec Kargen — przeleciał szept wśród szeregów szarych.

Z mlecznej mgły wyłonił się starzec w powłóczystej, białej szacie. Zatrzymał spojrzenie na Herrogu, po czym ruszył w stronę mnichów w czarnych habitach.

Twarz Reltora pobladła, ale tylko mocniej przyłgnął plecami do skały. Dwaj jego towarzysze natomiast rzucili się do ucieczki. Na skraju polany zostali jednak okrążeni i po krótkiej walce zabici.

Reltor wyrwał ostrze z ziemi i skierował ku nadchodzącej postaci. Ale metal pękł nagle jak uderzony młotem i w ręku mnicha została tylko rękojeść z ułamkiem ostrza.

Przez chwilę Reltor i Kargen stali naprzeciw siebie" mierząc się wzrokiem.

Czarny mnich przyciśnięty do skały stawał się coraz spokojniejszy, coraz mocniej i pewniej stał na nogach, biała postać natomiast jakby słabła. Nagle odsunęła się o krok i wolno opadła na kolana. Reltor wydał krzyk dzikiej radości.

Nagle ojciec Kargen zerwał się. Paladynowi zdawało się, że biała postać wyrosła ponad okoliczne drzewa.

Reltor jęknął ciężko i upadł twarzą na ziemię. **Ojciec**

Kargen popatrzył na niego w milczeniu, **po** czym **z wolna** rozwiął się w gęstniejącej mgle.

Paladyn^patrzył w osłupieniu, gdy wyrwał go z zadumy głos stojącego obok mnicha.

— Jestem Graas ven ald Duur, pard Monory i opat Źródlanej Doliny. Ale wszyscy mówią do mnie: bracie Graas —

rzeki odwracając się do Herroga.

— Byłeś rycerzem — raczej stwierdził niż spytał paladyn.

— Tak.

— Jak wy, mnisi, tak kochający dobro-i boskie prawa, możecie zabijać?

— My nie zabijamy — obruszył się Graas i odchylił poły habitu. — Nam nie wolno nosić broni. **Oni**

wszyscy to bracia służebni — powiódł dłonią wokół. — Chodzimy po prostu w jednakowych strojach, ale im nie wolno należeć do naszego bractwa.

Herrog pokręcił głową, chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nagle zrobiło mu się ciemno przed oczyma i upadł na kark osła. Z trudem uniósł głowę. Graas przyjrzał mu się uważnie.

— Nielekka jest niewolą u braci z Leśnej Góry — powiedział wskazując rany paladyna.

— Oni mnie uwolnili z rąk zbójów! — rzekł ostro Herrog. \ Graas roześmiał się.

— Tu nie ma zbójów. Wytępili ich sami bracia z Leśnej Góry z pomocą rycerzy Marchii.

— Jedźmy już — rzucił niecierpliwie paladyn. Chwycił się szyi osiołka, ale gdyby nie podtrzymała go silna dłoń, stoczyłby się na ziemię.

— Jesteś bardzo słaby, panie — zaniepokoił się Graas. — Potrzebny ci długi odpoczynek. Przytknął do warg Herroga bukłak. Paladyn z trudem ^ przętykał słodką, gęstą ciecz. Zrobiło mu się gorąco, a jednocześnie poczuł się uwolniony od bólu i zmęczenia. Zamknął powieki. .

/

Obudził go blask słonecznych promieni wpadających

przez kryształowo przezroczyste szyby. Leżał na

szerokim miękkim łożu. Podniósł dłonie i zobaczył, że

zdeptane butami czarnych mnichów palce ma dokładnie

obandażowane.

Uniósł się do połowy z łoża, ale zakręciło mu się

w głowie.

— Czym mogę służyć ci, panie? — usłyszał. Spojrzał na pochyloną postać w szarym habicie.

— Zaprowadź mnie do brata Graasa — poprosił. Mnich uniósł głowę.

— Nie wolno ci, panie, wstawać z łoża.

— Więc przyprowadź go tutaj.

— Brat Graas odbywa poranną **pokutę**, panie. Paladyn opadł na poduszki.

— Odejdź — rozkazał.

Znów pogrążył się we śnie, tym razem niespokojnym i przerywanym. Nękany koszmarami co chwila

budził się zlany potem, z wypiekami na twarzy. Czuł we śnie strach, przeraźliwy, paralizujący strach, który pogłębił się, gdy przez otwarte drzwi wszedł mnich w śnieżnobiałym habitcie.

— Jestem ojciec Kargen — **rzekt.**

Mnich dotknął palcami czoła Herroga i strach minął. Paladyn poczuł siłę emanującą z tego dotyku i podniósł się na nogi.

Ojciec Kargen powiódł go pustymi korytarzami. Przechodzili przez dziesiątki wyludnionych komnat. Schodzili po krętych alabastrowych schodach. Na ostatnim ze stopni paladyn zauważył kotłującą się tuż nad podłogą gęstą białą mgłę. Na dole ojciec Kargen rzekł:

— Teraz poprowadzi cię brat Arram. Herrog drgnął jak dźgnięty nożem, ale ojciec Kargen zniknął już za zasnuwającą następny korytarz mlecznobiałą zasłoną.

— Witaj, paladynie.

Przybysz ujrzał Arrama, tym razem odzianego w szary habit.

— Witaj — odparł głucho.

„— Dziwisz się widząc mnie tu — uśmiechnął się mnich.

Mgła z wolna zasnuwała jego postać.

Arram wyciągnął dłoń i chwycił ramię Herroga.

— Pozwolisz, że będę cię trzymał. Nie chciałbym, abyś zgubił się w tej mgle.

— Skąd się tu wzięłeś? — spytał paladyn. Wydawało mu się, że brat Arram zaczął się śmiać, ale mgła głużyła dźwięki.

Mnich poruszył dłonią. Z jego palców wytrysnęły złote iskry i mgła powoli ustąpiła."

— Jestem sługą Boga, a więc żyję w Jego przybytkach.

— Kim jesteś?! — krzyknął paladyn.— Z którego klasztoru pochodzisz?

Tym razem usłyszał cichy śmiech. Brat Arram pociągnął Herroga za ramię.

— Idźmy, paladynie, po drodze wszystko ci wytłumaczę. Nikt nie jest potęgą na ziemi — zaczął po

chwili — ani Marchia, ani Cesarstwo, ani żaden z zakonów. Istnieje -jednak nie znana nikomu siła rządząca światem. Bractwo, które zrzesza ludzi pochodzących ze wszystkich krajów, ze wszystkich klasztorów. Łatwiej jest rządzić komuś, kogo nikt nie zna, nieprawdaż, paladynie? Herrog milczał.

— Uciskani chłopci buntują się przeciw cesarzowi, a jak sądzisz, kto stoi na czele chłopskich buntów? Musimy zachować harmonię. Nikt nie może stać się wielki, ale też nikt nie może upaść na dno,

— Po co mi to mówisz? — spytał cicho paladyn.

— Aby przekonać cię, że świat jest złudą, że wszystko jest zaplanowane. Przez nas — prawdziwe Boże sługi.

— Po co mi to mówisz? — powtórzył pytanie Herrog. — Wiesz, że masz we mnie wroga.

— Niestraszni nam na razie wrogowie — roześmiał się Arram. — Chociaż, może zebrałbyś garść wiernych przyjaciół, może potrafiłbyś oprzeć się nam... — Przerwał. — I tu docieramy do sedna — stanął i zatrzymał również Herroga. —

'Jesteś silny, odważny i zdecydowany, opiekuje się tobą potężna siła, choć nie może ci ona pomóc w murach naszych klasztorów. Jesteś synem szatana! Wcieleniem zła. Wydajesz się dobry, sprawiedliwy i szlachetny, ale przez ciebie ten świat spłynąłby krwią, spłonął w łunach pożarów. Naruszyłbyś harmonię, którą z wielkim trudem stworzyliśmy w ciągu setek lat.

— Jesteś szalony! — krzyknął Herrog.

— Nie — odparł mnich. — Ojciec Kargen przejrzał cię od razu, jak tylko zobaczył tam, na polanie. — Po chwili rzeki spokojnie: — Twa droga dobiegła kresu, paladynie. Herrog oparł się o ścianę i przywołał na pomoc swego Ducha Opiekuńczego.

— To na nic — powiedział Arram. — Tu panuje siła, przez którą nie przebije się tve wołanie do szatana. Paladyn ruszył do przodu w znów powstałą mgłę, ale mnich powstrzymał go.

— Jeszcze nie czas! Stój!

W jego słowach była siła, która kazała Herrogowi wrócić. Z wysiłkiem przełknął ślinę.

— Żal mi cię — rzekł Arram — bo jesteś przeklęty przez Boga. Żal mi cię, bo rozstaniesz się z życiem doczesnym nie mając nadziei na żywot wieczny.

— Jesteście szaleni, szaleni, szaleni!

— Nikt nie posądzi cnotliwych braci ze Świętej Góry o zabójstwo. Życie będzie toczyło się dalej. Nawet gdy zabraknie ciebie. Paladyn zacisnął dłonie. Zza ścian dobiegi cichy stuk.

— Na ciebie już czas — Arram wskazał dłonią obszar mgły. — Idź, paladynie.



— Co tam jest?

— Kres drogi.

W tym momencie Herrog ocknął się zlany potem i nieprzytomnie spojrział dookoła.

— Kres drogi — znów usłyszał słowa i ujrzał brata Arrama.

— To nie sen — rzekł oszołomiony.

— Musisz zginąć — powiedział mnich — inaczej zginie cały świat.

— Wasz świat — odrzekł głucho paladyn. Spojrzął w zasnuty mgłą korytarz i postąpił krok do przodu. Kiedy zniknął w mlecznej zasłonie, brat Arram odwrócił się i wolno odszedł.

Miasto Dwunastu Wież

— Witajcie, szlachetni wędrowcy.

Konie wbity się kopytami w piach. Młodszy z mężczyzn  
oparł dłoń na rękojeści miecza.

— Kim jesteś? — rzucił nie znoszącym sprzeciwu  
głosem.

Ale starszy z dwóch jeźdźców uspokoił towarzysza  
skinieniem dłoni.

— Witaj, świątobliwy ojcze — powiedział, gdyż  
rozpoznał w pozdrawiającym ich starcu pielgrzymą. —  
Jesteśmy, jak odgadłeś, wędrowcami, a szukamy  
cudownego miasta Dwunastu Wież.

Młodszy z mężczyzn niecierpliwie **uderzył piętami w boki**  
konia i sapnął ze zdenerwowaniem.

Pielgrzym pokiwał głową.

— Ach tak — rzekł — miasto **Dwunastu Wież...** — umilkł zamyślając się głęboko.

— Tak, ojcze — przerwał ciszę starszy jeździec. — Od długiego czasu szukamy potężnego miasta;

tysiące razy słońce zachodziło już za naszymi plecami.

— Kim jesteście? — spytał pielgrzym. — Wyglądacie tak dumnie... — tu z uśmiechem spojrzął na młodszego. —

Może jesteście władcami jakichś dalekich krajów?

— Starcze... — syknął młodszy z jeźdźców, ale jego towarzysz położył mu dłoń na ramieniu.

— Jesteśmy, ojcie — powiedział — wygnańcami z dalekiego kraju, gdzie nigdy nie ma lata, gdzie prawie nigdy nie świeci słońce i gdzie ziemię pokrywają wiecznie zielone lasy. Ja nazywam się Roger i niegdyś byłem królem dalekiego wielkiego państwa na wyspie, a to jest mój przyjaciel i dawny lennik hrabia Godfryd. Dawno temu wypędzono nas z kraju i odtąd zmierzamy ku miastu Dwunastu Wież, aby znaleźć tam ukojenie i w spokoju połączyć się z Bogiem. Pielgrzym pogładził siwą brodę.

— Tak, naprawdę cudowne jest miasto, do którego zmierzacie. — Badawczym wzrokiem powiódł po postaciach

wędrowców. — Ale nie wiem, czy rozumiecie wielość znaczeń słowa „cudowne”.

— Starcze — rzekł donośnym głosem hrabia — zdradziliśmy ci swoje imiona, powiedz więc i ty, kim jesteś, skąd przybywasz i czego tu szukasz. Pielgrzym skinął głową.

— Zuchwałe są twoje słowa, czai się w nich podejrzenie i złość — rzekł niechętnie. Zaraz jednak złożył dłonie na piersiach i spuścił wzrok. — Jednak dziś — dodał po

chwili — nie odpowiem na twoje pytanie. Niedługo, być może, sami odgadniecie, kim jestem.

— Czyżbyś zamierzał, ojcie, jechać z nami do miasta

Dwunastu Wież? — spytał król.

— Tak. Pokażę wam to cudowne miasto.

— Starcze, mam słuch wyostrzony i wiele razy słyszę to, co mówiący chce ukryć. Dlaczego mówisz „cudowne” z, tak dziwnym wyrazem twarzy, dlaczego słowo to w twych ustach brzmi strasznie, złowieszczo?

— Czym jest cud? — spytał starzec tak szybko, że ostatnie słowa hrabiego zlały się z jego pytaniem.

— Cud to coś, co przekracza potęgę ludzkiego

roзумu — odpar } król.

— Potęgę ludzkiego rozumu, panie? — uśmiechnął się pielgrzym. — Tak, czy wyobrażasz sobie, panie, cud, który polegałby na przerwaniu ciągu dobra? — Co? — zdumiał się Roger. — Wyobraź sobie, panie, coś złego, straszną chorobę,

która toczy twe ciało — to jest ciąg zła. Gdy on zaniknie,

nazwiesz to cudem.

— Tak.

- A teraz wyobraź sobie coś nieskończenie dobrego,

wspaniałego, co nagle zanika, i przeistacza się

w koszmar...

— Po co słuchasz go, panie? — krzyknął hrabia. — Zostawmy tego szaleńca.

— Zaprowadzę was do miasta Dwunastu Wież, a później wyprowadzę was stamtąd. — Odejdź, starcze, idź swoją drogą — **rzucił** zapalczywy młodzieniec.

- Beze mnie nigdy tam nie traficie... a co ważniejsze,

nigdy stamtąd nie wróćcie. Świsnął bat, ale gdy cios miał opaść na kark pielgrzymu,

pleciony rzemień rozsypał się w proch, a hrabia

popchnięty potężną siłą padł na piasek.

— Oto miasto Dwunastu Wież — rzekł pielgrzym. Król machinalnie spojrział w kierunku wskazanym **przez** starca i zakrył oślepienie blaskiem oczy.

— Kopuły wież wykonane są z czystego złota, wypolerowanego jak lustro. Do miasta można wjechać tylko osłaniając oczy. Nieostrożnym grozi ślepotą. Hrabia Godfryd podniósł się i stanął przed pielgrzymem.

— Wybacz mi, ojcze.

Starzec spojrział na niego wyblakłymi, niebieskimi oczyma i uśmiechnął się.

— Kiedyś też byłem taki jak ty. Odważny do szaleństwa, dumny, gotowy zabić każdego, kto zażartowałby ze mnie.

— Wybacz — powtórzył hrabia.

Zasłaniając oczy ciemnymi chustami, prowadzeni przez starca wjechali w bramy miasta. Tam pielgrzym kazał im odsłonić oczy.

— Boże — krzyknął król. — Nic nie widzę, oślepiłem.

— Nie, panie — odparł starzec — w tym mieście panuje

wieczna noc. Za chwilę wzrok przyzwyczajai się do  
ciemności..

Hrabia Godfryd trzymał rzucającego się i wierzgającego  
konia. W końcu rzemienie pękły i zwierzę pomknęło .  
ulicami miasta rozgłaszając swe przybycie oszalałym  
stukiem kopyt.

Po chwili uszu przybyszów dobiegł szmer, przeradzający  
się powoli w głośny pomruk, w którym wyróżnić można  
było płacz, jęki, krzyki, przekleństwa, śmiech.

— Miasto się ocknęło — rzekł pielgrzym. — Koń je obudził i mieszkańcy wiedzą już o naszej  
obecności. Ostrożnie prześlizgiwali się wzdłuż murów domów, sunęli za pielgrzymem jak cienie,  
skręcając tam gdzie i on, uskakując tam, gdzie on uskoczył. Mimo to od czasu do czasu jakieś ręce  
chwyciły ich za szatyni włosy, jakieś usta dotykały twarzy, a zęby wpijały się w nie osłonięte  
pancerzem miejsca. Wreszcie dobrnęli do olbrzymich wrót. Starzec dotknął je dłonią i potężne, kute  
w złocie drzwi rozwarły się bezszelestnie. W środku płonęły setki pochodni i ich blask z lekka  
rozjaśniał

panujące ciemności.

Gdy weszli do środka, odrzwia bezgłośnie zawarły się za nimi.

— Oto serce miasta — wyjaśnił starzec — najwspanialsza  
świątynia świata.

Król wzdrygnął się lekko.

— Chłód, mrok, cisza, co się tu dzieje? Co to za dziwne miasto? Czy to złe siły postawiły je, aby  
urągać z potęgi i mocy Dwunastu Wież?

— Nie, to jest właśnie miasto Dwunastu Wież. Z daleka kusi wędrowców swymi bogactwami, ale  
kto przekroczy jego bramy...

— Ginie — odpowiedział oszołomiony hrabia.

— Nie, gorzej niżby zginął. Staję się jednym z jego mieszkańców.

— Nie rozumiem — krzyknął z rozpaczą król. — Przez

całe życie zmierzałem tutaj, wstawałem i zasypiałem z myślą o tym mieście, modliłem się do niego, błagałem Boga, aby mnie tu doprowadził. — Załamiał dłonie. — Boże, czemu mnie opuściłeś?

Hrabia Godfryd pogładził puch pokrywający mu policzki podbródek.

— Chciałbym obejrzeć to miasto — rzekł z powagą.

— Nie, Godfrydzie — powiedział szybko król. — Musimy stąd odjechać. Jak najszybciej. Wystarczy mi to, co zobaczyłem i usłyszałem. Stąd wieje grozą. Słyszę, jak ktoś przemyka wzdłuż ścian... Pielgrzym szybko rozejrzał się wokół.

— To tylko pająki — mruknął.

— Chcę odjechać — głos króla brzmiał zmęczeniem;

Hrabia Godfryd ze współczuciem spojrział na towarzysza, który pochylił się, jego oczy przygasły, a postać jakby zdrobniała i zmaląła.

— Muszę — rzekł twardo. — Chcę zobaczyć to na własne oczy.

Pielgrzym oparł dłoń na jego ramieniu. Zeschnięte jak konary starego drzewa palce zacisnęły się w żelaznym uścisku.

— Idź, jeżeli chcesz poznać prawdę. — Puścił ramię młodzieńca. — Chociaż czasem lepiej jej nie znać. Hrabia podszedł do drzwi, ale te nie drgnęły, nawet gdy napał na nie barkiem. Kątem oka zauważył, że starzec wznosi dłoń i nagle znalazł się na zewnątrz. Otoczył go półmrok. Z trudem rozróżniał kontury domów i sylwetki przechodzących ludzi. Wątle światło płonących na narożnikach domów pochodni wykrzywiało kształty, tworzyło niesamowite cienie i koszmarne zwidy.

— Co laska, panie— szponiasta dłoń zacisnęła się na przegubie ręki hrabiego.

Z obrzydzeniem szarpnął się do tyłu-i starł krew z obolałego miejsca. Pod nogami zamajaczył jakiś kształt i oślizłe macki owinęły stopy przybysza, jednocześnie jakieś usta wpiły się w jego usta. W błysku pochodni, lecącej z dachu domu, hrabia ujrzał przegniłą twarz trędowatej.

— Chodź, chłopczyku — skrzywiła w uśmiechu czarne wargi, odsłaniając pustą jamę ust. Dłonie z kikutami palców ześlizgnęły się po pancerzu szukając miejsca, aby wedrzeć się pod szaty i dotknąć nagiego ciała.

Hrabia chciał odskoczyć, wyrwać się, ale spętane nogi zdrętwiały i nie poderwały ciała. Dłoń zacisnęła się na rękojeści noża i w tym momencie Godfryd został uwolniony. Z dala tylko rozległ się przeraźliwy, pędzący labiryntem ulic śmiech.

Młodzieniec otarł pot z czoła i ostrożnie, tuż przy ścianach domów, sunął w stronę, gdzie słyszał jakiś głośny gwar i gdzie widział bijący w niebo blask

rozpraszający ciemności.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, znalazł się na samym środku wielkiego placu, dookoła którego płonęły setki ognisk.

Wokół stosów z dopalającymi się szczątkami ofiar grzały się hordy ludzi przemieszanych z najróżniejszymi stworzeniami. Wzrok Godfryda błdził po placu zaczepiając o postacie jakby wyśnione w najstraszniejszy m. nocnym koszmarze. Kobiety z piersiami zwisającymi do kolan, piastujące dwu- lub trójgłowe dzieci. Beznodzy żebracy wyciągający swoje trzy ręce i żałośnie skowyczący o jałmużnę. Pół ludzie — pół psy, pieczone nad ogniem na roznach, i kobiety podobne do kotów, rozrywające drobnymi zębami ciała kalek i chłęczące świeżą krew. Godfryd patrzył na dziesiątki kopulujących par, jęczących w uniesieniu bólu czy rozkoszy. Widział zęby psa zaciskające się na piersiach kobiety i mężczyznę tratowanego po nasyceniu żądź przez klacz. Odwrócił przerażony wzrok i ujrzał stojące po prawej stronie kamienne postacie. Ostrożnie, uciekając przed blaskiem podbiegł do posągów. Wyobrażały one dwunastu starych i siwych mężczyzn, chociaż nie — jeden był młody i piękny. Stał pośrodku otoczony kołem starców.

Hrabia powiódł dłońmi po cokole posągu i opuszki jego palców natrafiły na drobne wypukłości i wklęśnięcia. Po wielu próbach udało mu się wyczuć treść napisu. „Najmądrzejsi na świecie budując to miasto stali się równi Bogu”.

Raz jeszcze podniósł wzrok i dostrzegł twarz młodzieńca. Blask, ognisk rzucał na marmur dziwne cienie i refleksy, ale mimo to kamienne rysy posągu przypomniały hrabiemu kogoś żywego, kogoś dobrze znanego. Rozglądając się

wokół, ze sztyletem w spoczonej dłoni pomknął przez plac i wpadł w jedną z ulic. Usłyszał za sobą hałas i tętent.

— A więc jesteś już, hrabio — uśmiechnął się pielgrzym. — Czy poznałeś prawdę?

— Skąd ja się tu wziąłem? — spytał zdumiony Godfryd

pocierając oczy palcami. — Przecież jeszcze przed chwilą... Boże, co się ze mną działo? Nagle wzrok jego padł na siedzącą przy ścianie drobną i skuloną postać. Dotknął zimnej dłoni króla.

— Panie — szepnął — wróciłem.

— Już cię nie słyszy. Umarł. Łzy spłynęły po twarzy hrabiego. — Dlaczego? — zatkał opierając głowę o pancerz okrywający pierś władcy.

— Umarł z żalu — rzekł pielgrzym. — Pękło mu serce. Godfryd poderwał głowę i spojrzał prosto w twarz starca.

— Już wiem — szepnął — wiem — powtórzył głośniejszym głosem.

— To ty jesteś tym, co chciał być równy Bogu.

—Odgadłeś prawdę, hrabio — pokiwał siwą głową pielgrzym. — To ja i jedenastu innych potężnych astrologów zbudowaliśmy to miasto tworząc w nim harmonię na wzór i podobieństwo kosmicznej harmoni .

— Umilkł na moment i zaczerpnąwszy powietrza mówił dalej: — Dwanaście Wież to dwanaście znaków Zodiaku i jednocześnie pomnik ku chwale budowniczych. Ku naszej chwale — dodał wzdychając. — W tym mieście Wszystko ma swój sens, każdy dom, każdy kamień położony jest w miejscu tak, a nie inaczej określonym przez gwiazdy. Tu, w tym mieście, miała być zawarta harmonia Wszechświata.

— Brednie! — krzyknął Godfryd.

— Nie, hrabio. Stworzyliśmy dzieło wspaniałe i uznaliśmy się za równych Bogu. Przez pierwsze lata istnienia było to miasto mądrych władców, uczonych mędrców, dzielnych rycerzy, wspaniałych artystów. W każdym domu żył chociaż jeden malarz, poeta czy pieśniarz. Nie było tu zła, nieprawości i występku. Władcy dobrowolnie oddawali tron następcom, mędrzy i artyści cieszyli się z sukcesów rywali...

— Bajki! — rzucił Godfryd. — Nie wierzę ci. To miasto

musiało być zawsze złe, zawsze straszne. Popełniliście

błąd.

Pielgrzym pokręcił głową.

— Chciałbym, aby tak było, ale niestety — wszystko zmieniło się nagle. I oto i'stnieje miasto potworów, zbrojeńców, zbrodniarzy, przekupnych kobiet. Miasto zakażone trędem, cholera, dżumą, miasto drgające w podrygach malarii, żywcem toczony przez robactwo...

— Nie wierzę! Kryjesz własny błąd, nie chcesz się przyznać, ale musiałeś być złym astrologiem. Dlaczego nie zniszczyliście tego... tego... —umilkł nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa.

— Dlatego — głos starca spotęźniał — że miastu temu wyznaczaliśmy wielką rolę. Ma ono zapanować nad całą ziemią, jego siła i potęga zaklęta w nie przez nas ma ogarnąć cały świat. Sześćdziesiąt sześć razy niebiański Skorpion przemykał po firmamencie, odkąd miasto zaczęło ginąć — urwał na chwilę — a raczej gnić, gdyż ono nie ginie, a przeciwnie — rozkłada swą pajęczą sieć oplątując coraz nowe obszary. Coraz nowe miasta powstają na kształt i podobieństwo Dwunastu Wież...

— Kłamiesz, starcze! Nie wierzę, abyś był na tyle potężnym magiem, aby nadać czemukolwiek tak wielką potęgę.

Popełniliście błąd! Marni ludzie próbujący mierzyć się z Bogiem.

— Błąd! — uśmiechnął się złowieszczo pielgrzym. —

Skąd wiesz, młodzieńcze, czy to nie Wszechświat się  
zmienił, czy to miasto potworów nie jest właśnie  
odbiciem boskiego porządku?

Hrabia umilkł i cofnął się pod ścianę.

Drzwi rozwarły się. Potężny podmuch zgasił pochodnie.

Godfryd usłyszał szmer głosów. Zapanowała Ciemność.

### Powrót Białych Jeźdźców

Dumny ypin Jardu Merin niespokojnie krążył po komnacie. Już od dwóch dni żył w ciągłym napięciu oczekując wiadomości od swego birla, którego wraz z armią wysłał naprzeciw siłom najeźdźcy. Ale żaden posłaniec nie przybywał do zamku. Niszczycielska potęga Voternhornu znów wdarła się przez Katvaree i zalała Jard Południowy.

Jednocześnie wierny wasal imperatora Voternhornu birl Sokkiry zaatakował Jard od południa.

Ypin był już stary-i nie miał sił, aby na czele wojsk wystąpić przeciw najeźdźcom. Do boju ruszyły zastępy prowadzone przez Lavasa, rycerza Kerkhu, które pod Ynnaf powinny połączyć się z armią birla Jardu, ale od czasu pierwszej potyczki żadna wieść nie doszła uszu władcy. Gdy niewolnicy podsycali ogień w kominku, rozwarły się drzwi komnaty.

— Panie, przybył wysłannik Lavasa—krzyknął sługa.

— Przyprowadzić go.

Wartownicy wprowadzili młodego barczystego człowieka. Jego odzienie było podarte i przesiąknięte krwią. U pasa wisiała urwana w połowie skórzana pochwa miecza. Szyję opinała żelazna obręcz. Przybysz upadł na kolana.

— Kim jesteś? — spytał zmarszczywszy brwi Merin.

— Jestem Igral, rycerz Kamma — odparł chropawym głosem młodzieniec. — Rycerz Waszej Wysokości.

— Znam cię — rzekł władca. — Twój ojciec uratował mi życie pod Harramy. Przybywasz z wieściami od rycerza Kerkhu?

— Nie, panie — młodzieniec pochylił głowę do ziemi.

— Wstań — rzekł ypin. — Dajcie mu wina — rozkazał. Igral jednym tchem opróżnił puchar. —



Wysłał mnie egh Higvaree — wyjaśnił. Władca skruszył w rękach kościaną łaskę.

— Gdzie moje wojska? — ryknął chrapliwie. — Gdzie Lavas, gdzie armia Kredorry? — Opadł na fotel.

— Panie, nie ma twej armii. Kredorra zdradził i napadł na nas od tyłu. Trzy dni i trzy noce trwała walka. Nikt nie ocalał

z pogromu, bo też żaden z twych rycerzy nie

prosił zwycięzców o łaskę. Mnie jednego oszczędzono. Jako ostatni trzymałem w rękach chorągiew Jardu. Ogłuszono mnie i poprowadzono do egha. Rozkazał, abym zaniósł ci wieść o klęsce. Merin ukrył twarz w dłoniach.

— Egh Higvaree żąda w imieniu imperatora, abyś poddał swe ziemie i ruszył do 'Higvaree złożyć hołd...'. Oto moje posłannictwo, panie. Władca oderwał dłonie od twarzy,

— Jak liczne są wojska egha?

— Nie wiem, panie. Ale jest ich mnóstwo. Razem z armią Kredorry chyba przeszło dwadzieścia tysięcy. Czy to wszystko co chciałeś wiedzieć, panie?

— Tak — odparł ypin i dał znak sługom.

Jeden z niewolników zbliżył się do Igrała niosąc na szczerozłotej tacy małą wysadzaną drogimi kamieniami czarę.

Młodzieniec ujął naczynie.

— Moje życie w twe ręce, panie — rzekł wypijając napój. - . • Władca wyszedł z komnaty, aby nie patrzeć, jak niewolnicy zabierają ciało młodzieńca.

Jeszcze tego samego dnia w komnacie Merina zebrali się rycerze Jardu. Najsłynniejsi z wojowników ypina opiewani w pieśniach bardów. Ci, których imiona z drzeniem wspominali wrogowie, a z podziwem przyjaciele. Rycerzy Jardu było czternastu, ale tylko ośmiu z nich przybyło na Radę. Sześciu z dzielnym Lavasem na czele zginęło w walce z żołnierzami imperatora. Ypin krótko powtórzył relację wysłannika.

— Radźcie — rzekł kończąc — co nam wypada robić. Pierwszy wstał młody wiekiem, ale zahartowany od dziecka w walkach Keit, rycerz Rokki, przed laty wygnany przez birla Sokkiry, skazany na utratę mienia, czci i gardła.

— Panie — zaczął — przysięgałem ci wierność i posłuszeństwo. Przysięgałem oddać życie za Jard, za to, aby nigdy stopa żołnierzy imperatora nie skalala twej ziemi. Teraz ponawiam tę przysięgę.

Rozkazuj. Daj mi dziesięciu najlepszych rycerzy, a zginą i egh, i Kredorra. Merin spojrzał w jego surową twarz.

— Skrytobójstwo? — bardziej stwierdził niż spytał. — Nie, Keit, ypin Jardu nie wyda takiego rozkazu.

— Panie — krzyknął Keit — znasz mnie i znasz moje czyny. Wielcy są rycerze Jardu, ale nie ma wśród nich sławniejszego ode mnie. Daj mi wojsko, a zmiażdżę Voterhorn.

Władca uśmiechnął się słysząc tak zuchwałe słowa.

— Wróg prowadzi ze sobą zastępy dziesięciokroć liczniejsze od tych, jakie ja mógłbym wystawić. A może

przyprować jeszcze potężniejsze.

— Cofnij wojska, panie, do skalnych twierdz — rzekł Graggon, rycerz Parmi . — Tam przeczekamy uderzenie imperatora.

— Przez ten czas reszta kraju legnie w ruinie — rzucił ktoś cicho. — Imperator okrutnie karze nieposłuszeństwo.

Widziałem Esumar, zanim został lennem. Nie wolno nam dopuścić do tego, aby Jard stał się niewolnikiem

Voterhornu, ale nie wolno też bezbronnego kraju wydać na ciosy wroga. Jeżeli nie widziałeś, panie, lasów pali i pól stosów, jeżeli nie słyszałeś rżenia tysięcy ofiar, jeżeli jadąc tydzień konno, nie widziałeś wokół tylko zwałów trupów, to nie możesz pojąć zła Voterhornu.

— Panie — zerwał się niski, skośnooki Veihi, rycerz : Yeihi — obiecaj łaskę moim braciom, obdarz ich 'rycerskimi godnościami, przyrzecz łupy, przepuść ich wojska przez góry, a nieprzeliczone zastępy wojowników z północy staną u twego boku gotowe d& walki. Merin zamyślił się i dając znak, aby podsycono ogień, rzekł:

— Nie.

Veihi opadł na miejsce.

— Miecz wzniesiony przeciw Voterhornowi rychło spadłby i na nasze karki — powiedział ypin. — Nie chcę obrony za cenę ruiny mego państwa.

— A więc nie ma ratunku — westchnął Graggon. Ypin powiódł wzrokiem po siedzących dokoła

rycerzach. W ich twarzach ujrzał znużenie i rozpacz.

— Hajji — zwrócił się do najmłodszego z rycerzy — pojedziesz na czele poselstwa, aby ofiarować eghowi pokój. Keit wyszarpnął miecz z pochwy.

— Przysięgam na święte żelazo, że póki będę żył, nie dopuszczę do tego pohańbienia. Chcę walczyć! Dziesięć lat temu hołd złożył birl Sokkiry, mój dawny władca, a teraz ty, w którego męstwo tak wierzyłem, chcesz paść na kolana?

Ypin podniósł się i zbliżył do rycerza. Opart dłonie na jego ramionach.

— Dam ci żołnierzy — obiecał — tylu, ilu będzie chciało iść z tobą. Zwycięż lub zgiń! Keit ugiął kolana.

— Dzięki ci, panie.

— Ja pójdę z tobą — rzekł Veihi.

— I ja — zerwał się Hajji.

Merin uciszył ich podniesieniem dłoni.

— Pójdzie ten, który pierwszy się zgłosił — powiedział zwracając twarz w kierunku rycerza Yeihinu. — Ty dostaniesz żołnierzy mej Gwardii.

Już w dzień później pięć setek wybornej jazdy Jardu ruszyło w stronę granicy. Konie z wysiłkiem brnęły przez głęboki, mokry śnieg, ale cel z dnia na dzień był coraz bliższy. Wreszcie szóstego dnia, gdy słońce z wolna chyliło się ku zachodowi, wysłany do przodu oddział przybył z wieścią o zbliżającym się nieprzyjacielu. Miecze żołnierzy jak na komendę wyciągnęły się do połowy z pochew, a tarcze oparte na końskich karkach zasłoniły piersi i twarze.

Szczęknięty spuszczane przyłbice. Jazda Jardu stała nieruchoma, nad żelaznymi zastępami łopotą tylko

ciemnozielona chorągiew

z białym smokiem.

Po chwili w oddali ukazały się zastępy-przeciwnika.

Veihi przymrużył oczy i ujrzał, że to sunie straszna

pancerna piechota Sokkiry. Oddziały osławione w wielu

bojach, nazywane niezwycięzonymi.

Piechota zbliżywszy się o kilkaset stóp uformowała natychmiast szyk bojowy. Z przodu stanęło pięć rzędów kuszników, a za nimi dopiero włócznicy, którzy wbili swą broń w zmarzniętą ziemię wystawiając do przodu ostre groty. Keit i Veihi stali obok siebie i przypatrywali się manewrom wroga.

— Włócznicy stają w czworobokach, a korytarzami, które między nimi zostają, przejdą po oddaniu strzałów kusznicy i tam, za ich plecami, znów naładują kusze.

Veihi roześmiał się.

•— Czy myślisz, że ty jeden walczyłeś z sokkirską piechotą?

Objął wzrokiem sięgające aż po horyzont zastępy i porównał ze szczupłą garstką jazdy. Chciał wyrwać miecz, ale Keit zatrzymał mu rękę w pół ruchu.

— Stój — rzekł. — To wojska Omantesa, rycerza Białego Kamienia. Poznają jego chorągiew.'

— Cóż z tego? — spytał Veihi.

— Był kiedyś moim przyjacielem — odparł Keit. — Porozmawiam z nim. — Skinął dłonią na dwóch ze swoich rycerzy i wsadzając miecz do pochwy — na znak, że jedzie w pokojowych zamiarach — ruszył naprzód. Stał pośrodku drogi między dwoma wojskami i wyciągnąwszy miecz wbił go ostrzem w ziemię, pokazując, że pragnie rozmawiać z

nieprzyjacielskim wodzem. Przez zastępy piechoty przedarło się dwóch jeźdźców.

— Sława — rzucił rycerskie powitanie nadjeżdżający.

— Niech zawsze będzie przy tobie, Omantesie. Dowódca sokkirskiej piechoty uniósł przyłbicę.

— Witaj, Keit — rzekł. — Nie przypuszczałem, że będziemy walczyć przeciw sobie. Rycerz Rokki również odsłonił

twarz.

— Złe się stało — powiedział. — Stracisz sławę, życie

i wojska, Omantesie.

Rycerz z Sokkiry roześmiał się.

— Co chcesz zdziałać z tą garstką? — spytał. — Wychowywałeś się w Sokkirze, a więc powinieneś wiedzieć, że nie ma siły, która złamałaby pancerną piechotę. Może jednak wolą bogów będzie, abyśmy walczyli ramię przy ramieniu —

rzeki po chwili milczenia. Keit uważnie spojrzał w jego twarz.

— Egh Higvaree, wierny sługa imperatora, wiedział, że nadciągasz z garstką wojska. Egh żałuje każdej kropli niepotrzebnie rozlanej krwi i proponuje, abyś wraz z wojskiem przeszedł na jego stronę. Ceni twe męstwo i doświadczenie, a że wczoraj zginął w walce Kredorra, ofiarowuje ci tytuł birla Jardu.

— Omantesie — rzekł Keit — dawniej posłowałeś

w imieniu władcy Sokkiry, ale widzę, że zmieniłeś już

pana.

Twarz dowódcy poczerwieniała.

— Nikt nie wybiera sobie wodzów. Biri złożył hołd imperatorowi, a więc panem jego i moim jest egh.

— Chciałem, abyś to ty właśnie — rzekł Keit po długiej chwili — poszedł na służbę ypina, ale widzę, że próżno bym cię namawiał. Wyszarpnął miecz z ziemi i wsunął w pochwę.

— Być może bogowie dadzą nam się spotkać w boju — powiedział opuszczając przyłbicę. . .

— Jeszcze słowo — rzucił szybko Omantes. — Egh kazał ci powtórzyć, że wojska egha Leikvaree zdobyły wczoraj twierdzę Rokka.

— Kłamstwo! — krzyknął Keit.

Omantes roześmiał się i wyciągnął dłoń w jego stronę.

Na skórzanej rękawicy leżał diamentowy pierścień.

— Oto twój klejnot rodowy, rycerzu, sądzisz, że pani zamku Rokka oddałaby go z dobrej woli? Keit chwycił za rękojeść miecza, ale w tym momencie ujrzał, że towarzysz Omantesa odrzucił płaszcz odsłaniając trzymaną w dłoniach kuszę.

— Bądź rozsądny, Keit — rzekł Omantes. — Od ciebie tylko zależy los twojej żony i dzieci.

— Zdrajcy! — wychrypiał rycerz Rokki.

Omantes wsunął do pochwy miecz i opuścił przyłbicę.

— Zastanów się — krzyknął odwracając konia. Keit stał przez chwilę nieruchomo patrząc za odjeżdżającym, po czym dał znak i wraz ze swymi dowódcami wolno skierował się w stronę oddziałów. Pierwsze, co ujrzał, było to, że Gwardia dowodzona przez Vaihiego oddaliła się o kilkaset stóp i stanęła w szyku bojowym. Długie włócznie Gwardzistów skierowane były w stronę żołnierzy Keita. Rycerz Rokki zdumiony przygalopował; zatrzymując konia przed nieruchomo stojącym Veihim.

— Co robisz? — krzyknął. — Czy oszalałeś? Veihi oparł włócznie na piersi Keita.

— Zginiesz, zdrajco — rzekł. — Poznałem już twe parszywe myśli.

Keit cofnął się i galopem skierował w stronę swych oddziałów. W chwilę później dwie rozpędzone masy ludzi i koni runęły na siebie. Pierwszy impet Gwardii rozniósł jazdę Keita, ale rychło skupiła się ona na powrót i rozpoczęła się straszna rzeź słabszych oddziałów Veihiego.

Prawie godzinę bronili się okrażeni Gwardziści, ale gdy zginął zdradziecko ustrzelony z kuszy Veihi, Keit szybko złamał opór pozostałej garstki.

Żaden świadek zdrady ani walki nie dotarł do ypina.

Tymczasem Merin próżno czekał na wiadomości, aż wreszcie w drugim tygodniu wezwał do swej komnaty mędrca Hakhana.

— Hakhanie, rzadko korzystałem z twych rad. ale teraz potrzebna mi pomoc. Co mówią gwiazdy, mędrcze? Uczony pochylił siwą głowę.

— Zginął waleczny Veihi i twoi Gwardziści, panie. Reszta wraz z Keitem przeszła na stronę egha.

— Bredzisz! — krzyknął władca. — Tak mówią gwiazdy, panie, a gwiazdy mówią prawdę, choćby

była ona

najstraszniejsza. Z trzech stron ciągną na twe państwo wojska Voterhornu. Od strony Jardvaree przekracza Czarne Góry Shiroo armia prowadzona przez egha Leikvaree. Wąwóz Kammaskój przechodzą wojska birla Katvaree, a od południa suną zastępy birla Sokkiry, nowego birla Jardu Południowego i egha Higvaree. Przez Skalne Morze przeprawia się birl Esumaru na czele floty. Merin przymrużył oczy.

— Kim jest nowy birl Jardu Południowego?

— To Keit, rycerz Rokki — odparł astrolog. Ypin zacisnął pięści na poręczach fotela.

— Siedemdziesiąt tysięcy najlepszych żołnierzy Voterhornu wejdzie do twego królestwa, panie.

— Przyszłość... Mów, jaka czeka mnie przyszłość. — Wiem, co się stanie, gdy staniesz do walki. Gwiazdy natomiast nie mówią, co będzie, gdy się poddasz. Władca milczał.

— Zginiesz ty i zginie rycerstwo Jardu, a w całym kraju nie zostanie nawet kamień na kamieniu.

— Idź już, mędrco — odezwał się ypin. — Wlałeś gorycz w moje serce.

— Powinnością mędrców jest mówić prawdę — odparł kłaniając się astrolog — ale jedno radosne posłanie zdolny byłem odczytać. Niewiele upłynie lat, gdy przepelni się czara zła i z Zachodu przybędą Biali Jeźdźcy. I znów nastanie pokój. Jeszcze tego samego dnia z zamku wyruszył Hajji z pokojową misją. Merin uroczyście przekazał władzę w ręce swego wnuka Argana, a sam z garstką najwierniejszych przyjaciół odjechał gdzieś na wschód w stronę Skalnego Morza.

Długie, długie lata minęły od odjazdu starego władcy. Argan zdążył już dojść do sędziwego wieku i jego włosy pokryły się srebrem. Mieszkańcy Jardu żyli w spokoju nie nękani najazdami, gdyż Argan oddał całe państwo pod opiekę imperatora. Ale i w samym Voterhornie zachodziły liczne zmiany. W jednej z bitew na dalekim południu zginął

imperator i na tronie zasiadł jego okrutny syn. Potęga Voterhornu dotarła już do brzegów

Skalnego Morza, do wiecznych śniegów dalekiej północy, objęła olbrzymie południe po ostatecznym zwycięstwie nad koczownikami. Wtedy, pewnego słonecznego letniego dnia, ujrzano w Higvaree potężną karawanę eskortowaną przez oddziały jeźdźców w czarnych płaszczach. Pewien stary arystokrata rozpoznał w prowadzącym karawanę -

dawnego, ypina Jardu, Merina. Wieść ta dotarła do "imperatora, który strwożony kazał wezwać przybysza na swój dwór.

— Panie — rzeki starzec — nic przyjechałem walczyć z tobą ani z kimkolwiek z twoich sojuszników. Idę' z misją na dalekie południe aż do kraju, gdzie panuje wieczna zima.

— Wieczna zima na południu? — zdumiał się władca. — W każdym razie witam cię, ypinie, w granicach mej stolicy.

Zaskoczony jestem twym widokiem, gdyż żaden z moich oddziałów nie meldował, że przekroczyłeś granicę, ba. nie widzieli tego nawet moi magowie — dodał /e złością. Szybko jednak się uspokoił. — Liczę, że zabawisz tu dłużej i opowiesz nam o dalekich krajach, które zwiedziłeś podczas wędrówki.' Merin uśmiechnął się lekko.

— Nie po drodze było mi Higgvaree, -ale przyszedłem ostrzec cię, panie...

— Ostrzec — przerwał zdumiony tyran — przed czym!'

— Przez lata swego panowania przyczyniłeś się do śmierci, łez i bólu wielu ludzi. Żonom zabijałeś mężów, dzieciom rodziców, mężom hańbiłeś żony. Nadchodzi czas zapłaty! Tyran zbladł.

— Ojciec twój był srogi i okrutny, ale walczył dzielnie jako rycerz. Wiedział, co to odwaga i szlachetność. Ty zaś jesteś tylko tchórzem, władającym olbrzymią potęgą, która zostanie jednak niedługo zgnieciona...

— Mogę wybić bez trudu twe oddziały i zabić ciebie! • Merin roześmiał się.

— Potęga, która przybędzie, zmiecie twe imperium jednym uderzeniem, a wszystkie wieże twierdz runą/w proch.

— Nie ma potęgi, która oparłaby się imperium — krzyknął chętnie władca.

— Z zachodu nadciągają Biali Jeźdźcy, aby odebrać swoją dawną własność. W zamierzonych czasach to oni byli właścicielami tych ziem.

Imperatorowi zadrżały dłonie i wino z kielicha splamiło rozciągniętą na podłodze skórę.

— Kłamiesz — krzyknął. — To bajki, legendy. Nigdy

—nie istniało Białe Państwo. Ypin uniósł dłoń.

— Ukorz się — rzekł — zrzeknij się władzy, napraw krzywdy, oddaj to, co zabrałeś, i pod Białym Kamieniem Shiroo błagaj bogów o zmiłowanie. Tyran opanował się już.

— Mogę wystawić milionową armię — powiedział. Merin spojrział na niego ze smutkiem.

— Żal mi cię — rzekł — ale musisz zapłacić za swe ' winy. — Zniknął sprzed oczu zdumionego imperatora, \_a za chwilę rozległ się dźwięk trąb wzywający świtę Merina do dalszej drogi. Tyran wezwał straż.

— Zatrzymać ich—rozkazał. Wojska Voterhornu otoczyły oddziałek-Merina na polach w łuku Elsetty. Ale bożek rzeki wyłonił się z odmętów i fale zatopiły żołnierzy imperatora. Do Higgvaree nie dotarł nawet zwiastun klęski. Władca Voterhornu w ciągu miesiąca ściągnął do Higgvaree setki tysięcy żołnierzy z najodleglejszych krańców imperium. Od czarnych wojowników z południa aż po dzikich barbarzyńców żyjących w mrokach polarnej zimy. Cztery Wieże górowały nad olbrzymim, ciągnącym się dziesiątki kilometrów obozem. W każdej z wież zasiadło po siedmiu najpotężniejszych



magów imperium. Dzięki swej mocy przeczesywali każdy metr potężnego państwa szukając

wrogów. Ale w Voterhornie nie było siły zdolnej zagrozić tyranowi. Jednak potęga magów nie sięgała za Pasma Vorhanu. Jakaś moc uniemożliwiła im penetrację zachodu. Imperator drżał z obawy — po raz pierwszy w życiu.

Ojciec jego ruszyłby naprzeciw niebezpieczeństwu, on jednak, otoczony murami twierdzy, strzeżony przez Cztery Wieże, broniony przez setki tysięcy żołnierzy spalał się w strachu za żelaznymi drzwiami komnaty. Próżno dowódcy błagali go, aby posłał wojska do walki, próżno ostrzegali przed buntem, głodem i zarazą. Pewnego zimowego wieczoru, gdy wszystko przesłoniła mleczna mgła i lecący z nieba gęsty śnieg, poszostny powóz wymknął się z bram Higvaree. Jego bezpieczeństwa strzegł potężny oddział pancерnej jazdy. Przerażony, niepewny własnego losu imperator gnał, aby

schronić się w Leikvaree-Trzech Wieżach u podnóża Czarnych Gór Shiroo. Później mógł uciekać dalej, do Katvaree, a nawet do Jardu czy twierdz nad Skalnym Morzem, byle dalej od złowieszczej siły, która czaiła się za Górami Vorhanu.

Ale nim pędzące konie zdołały przebyć połowę drogi, nim osiągnęły Wschodni Zamek Voterhornu, na ich drodze stanął żelazny mur jezdnych. Oddział imperatora jak burza wpadł w zastępy pancernych wojowników. I zniknął, jak kropla wody ginie w morzu. Przez chwilę rozlegał się tylko szcęk broni, po czym tajemnicze wojska otoczyły powóz.

Jeden z rycerzy zsiadł z konia i otworzył drzwiczki pomagając wyjść wyplątującemu się z trudem z niedźwiedziej szuby władcy.

— Jestem Veih, rycerz Veihinu — rzekł odsłaniając twarz — zdradziecko ustrzelony z kuszy. Szcęknięta przyłbica kolejnego rycerza.

— Jestem Germi, pard Viruu, powieszony przez barbarzyńców.

— Jestem Krakhon, kargun Jardu, otruty przez egha. .

— Jestem Lavas, rycerz Kerkhu, wbity na pal. Trzaskały przyłbice odsłaniając blade twarze pomordowanych, a tyran patrzył przerażony, jak wojsko upiorów wciąż rośnie i rośnie, jak szeregi jego rozstępują się, jak odchodzą jedni, a pojawiają się następni. Władca trwał w miejscu, jakby przykuty do ziemi, gdy zbliżył się do niego człowiek nie odsłaniający przyłbicy.

— Jestem Irwig, egh Higvaree, sługa twego ojca. Zdrajca, morderca, truciciel. Potępiony za życia i potępiony po śmierci, skazany na wieczne tortury. Proś bogów o łaskę, abyś nie zaznał mojego losu! Imperator cofnął się do powozu i zatrzasnął drzwi. **Gdy** po chwili wyjrzał spoza zasłon, zobaczył JUŻ tylko puste pole, lecz śnieg był tak skopany i zbity, jakby tratowały go jeszcze niedawno dziesiątki tysięcy koni. Władca powrócił do swej stolicy, ale mimo

**ze** strzeżony magiczną mocą Czterech Wież, żył w nieustannym strachu. Wreszcie latem, gdy zakwitły już lipy, oddziały prowadzone przez Wasali imperatora zbuntowały się i odeszły nie ponosząc żadnej kary, władca bowiem pamiętał jeszcze napotkany w zimie korowód ofiar. Straszna wieść o

nadchodzącej zagładzie Higvaree przedostała się do mieszkańców miasta! żołnierzy imperatora. Z dnia na dzień topniała ilość poddanych

strasznego władcy, którzy uciekali wciąż na wschód i na wschód. Dochodziły wieści, że za górami Shiroo zbroi armię prawnuk Merina, ypina Jardu, myśląc o zniszczeniu osłabionej potęgi. Wielkie zamczysko powoli pustoszało. Pajaki .

porozciągały pajęczyny, których nie miał już kto sprzątać. Nieznane dłonie porozbijały szyby w komnatach i poniszczyły drogocenne sprzęty. Lepki kurz pokrył kolorowe mozaiki podłóg i różnobarwne dywany, przylgnął

szarością do zwierciadeł. Jedyne dwudziestu ośmiu magów trzymało ciągłą straż nad osamotnionym władcą, ale i oni pewnego dnia odeszli zostawiając Higvaree puste. Tyran błąkał się po komnatach zamku. Światło dzienne wpadało poprzez otwory okien, ale jemu wydawało się, że wszystko tonie w mroku. Żył samotnie do wiosny, gdy w bramy Higvaree wkroczyły wojska Jardu. Prawnuk Merina zniszczył siłę eghów i zmiążdżył każde z wielu państw, które powstały na konającym cielsku imperium. W odwecie za wieloletnią niewolę zaprowadził krwawe rządy pustosząc Voterhorn ogniem i żelazem. Dzikie hordy żołdaków upojone zwycięstwem rozbiegły się po zamczysku w

poszukiwaniu tyrana, ale j-akaś pomocna dłoń wyprowadziła starego władcę bezpiecznie poza mury twierdzy.

// Dosiedli ukrytych za załomem muru koni i tam dopiero

imperator mógł się bliżej przyjrzeć swemu wybawcy. Trudno mu było coś powiedzieć o tej postaci, której twarz zasłaniał kaptur, a ciało traciło kształt osłonięte szerokim czarnym płaszczem. Jednak wysuwający się spod tkaniny miecz świadczył o tym, że człowiek ten nie był mnichem, jak z początku sądził władca. Konie pomknęły jak wicher. Po wielu godzinach dotarli do podnóża olbrzymich gór. Imperator rozpoznał Zachodnie Pasma Vorhanu i zdumiał się, albowiem jego stolicę dzieliło od Vorhanu wiele tysięcy mil. Zdumienie jego zmieniło się w przerażenie, gdy odwrócił

wzrok i ujrzał jak na dłoni wieże Higvaree. Nieznany rycerz odrzucił kaptur i oczom tyrana ukazała się twarz Merina.

— Witaj, władco — rzekł ypin. — Cóż powiesz teraz, gdy siła twa leży pogromiona u stóp Jardu? Lecz ani ty, ani władcy Jardu, ani ktokolwiek inny z ludzi nie będzie pełnił władzy nad światem. Panować mogą tylko

sprawiedliwi, a wszystko to, co prawe, dobre i uczciwe,

niosą ze sobą z zachodu Biali Jeźdźcy.

Imperator rozejrzał się.

— Oni już tu są — powiedział Merin — ale zobaczysz

ich tylko wtedy, gdy sami będą tego chcieli. Przybyli,

aby zniszczyć zło, aby zdławić nienawiść i nieprawość,  
którymi przesiąknięty jest nasz świat — świat władców  
Voterhornu.

Tyran rozejrzał się raz jeszcze i ujrzał zsuwające się  
lekko po zboczach gór śnieżnobiałe konie, niosące na  
grzbietach białych jeźdźców. Wydawało się, że to mgła  
schodzi w dolinę, ale to ciągnęły nieprzeliczone zastępy  
Białej Gwardii .

Przerażony imperator odwrócił się i ujrzał, jak wszystkie  
cztery wieże Higvaree osuwają się grzebiąc pod głazami  
wszelkie zło, jakie od stuleci było zaklęte w Voterhornie.

Rzeka Czasu

Stonce wolno chowało się za widnokręgiem tworząc na niebie szeroką, krwistoczerwoną lunę.  
Pierwsze krople wieczornej rosy pokrywały zielone liście drzew i źdźbła traw. Delikatne podmuchy  
wiatru przynosiły ze sobą zapach pól i kwiatów. Gerreri ściągnął cugle wierzchowca i głęboko  
odetchnął. Rozejrzał się wokół i objął wzrokiem morze falujących łagodnie traw, uszu jego dobiegł  
krzyk ptactwa krążącego przed ułożeniem się na nocny spoczynek.

— Daleko jeszcze?— spytał swego towarzysza. Hakka zdjął rękawice i przetarł dłonią spoconą  
twarz.

— Nie, już jesteśmy całkiem blisko. Nie czujesz zapachu  
wody?

Gerreri wciągnął powietrze w nozdrza i rzeczywiście  
wydało mu się, że oprócz ciepłego zapachu pól czuje coś  
jeszcze. Jakby chłodne, ożywcze muśnięcie.

Hakka wyciągnął dłoń.

— Gdy zjedziemy z tych wzgórz, będziemy już na miejscu.

— Więc jedźmy! — zawołał Gerreri uderzając piętami boki konia. — Najwyższy czas na

odpoczynek. Konie

złowiwszy w nozdrza zapach pobliskiej wody radośnie pogalopowały w stronę wzgórz. Słońce już prawie całkowicie zniknęło z nieboskłonu i tylko Czerwone pasmo oświetlonych chmur rzucało na ziemię ciepły blask. Tymczasem wierzchowce wbiegły na szczyt wzgórz i wędrowcy mogli przyjrzeć się widokowi, jaki ukazał się ich oczom. Przed nimi rozciągała się szeroka czarna wstęga rzeki spokojnie tocząca się wzdłuż piaszczystych brzegów. Konie, nie zachęczone nawet, pogalopowały w stronę wody i stanąwszy na brzegu zanurzyły spragnione pyski w zimnym nurcie.

Gerreri i Hakka zeskoczyli z ich grzbietów, zdjęli siodła i czapraki, po czym delikatnie obmyli odparzoną i rozgrzaną skórę zwierząt. Widząc, że konie zaspokoili już pragnienie, podprowadzili je ku jednemu z pochylonych nad wodą drzew i uwiązali do gałęzi. Dopiero potem zajęli się sobą. Rozpięli rzemienie przytrzymujące puklerze, naramienniki i nakolanniki. Z ulgą pozbyli się hełmów, po czym odpięli pasy porzucając na piachu broń, zdjęli brudne, przepocone kubraki i nadzy wbiegli do rzeki rozchlapując wokoło srebrzyste krople.

— Stójcie! — mocny głos powstrzymał ich w miejscu i zmusił do odwrócenia twarzy.

Ujrzeli stojącego na brzegu starca potężnej budowy, odzianego w długi czarny płaszcz. Na jego pobrużdżoną zmarszczkami twarz i długą siwą brodę zachodzące słońce rzucało różowe promienie i Gerreriemu wydało się, że gdzieś już widział tego człowieka.

— Idźcie ostrożnie do brzegu — nakazał ciszej już przybysz — i starajcie się wyjść dokładnie w tym samym miejscu, w którym weszliście do wody. Hakka chciał już coś powiedzieć, ale Gerreri położył mu dłoń na ramieniu.

— Posłuchajmy tego człowieka — szepnął.

Wolno ruszyli w stronę piaszczystego brzegu i widząc wyraźnie odcisnięte ślady swych stóp na plaży starali się trafić właśnie dokładnie na nie. Hakka, kiedy stanął już na suchym gruncie, spojrział złym wzrokiem na starego człowieka.

— Kim jesteś? — spytał.

— Nieostrożni jesteście, nieostrożni i nieogłędni — rzekł starzec jakby nie słysząc pytania. — Naraziliście się na wielkie niebezpieczeństwo. Hakka podszedł do rozrzuconego na piachu ubrania i owinął się pasem białej lnianej materii.

— Pytałem, kim jesteś? — powtórzył.

— Gospodarzem tych oto terenów — przybysz powiódł wokół ręką — a wy jako moi goście

powinniście pierwsi

'wyjawić swe imiona. Hakka poczerwieniał na twarzy.

— Nadużywasz naszej cierpliwości, starcze, ale wiedz,  
że...

— Nazywam się Gerrerri — przerwał mu jego towarzysz

— i jestem posłem Jego Cesarskiej Mości Jahwazy, władcy na Berheven. Starzec skinął głową.

— Znam Berheven. Byłem tam kiedyś, wiele, wiele lat

temu. A twój przyjaciel?

Hakka splunął pod nogi i zaczął zakładać kubrak.

— Bardzo zuchwały jest ten dziadyga — mruknął pod  
nosem.

— Zwie się Hakka i jest cesarskim rządcą wszystkich ziem na wschód od tej rzeki.

— Po co tu przybyliście?

Hakka grzmotnął pięścią w puklerz, aż zadudniło.

— Zbyt jesteś ciekawy, starcze. Zajmij się lepiej swoimi sprawami.

— Przybyliśmy, aby objąć w imieniu naszego pana

władzę nad terenami **na** zachód od Czarnej Rzeki — odpowiedział Gerrerri. Starzec roześmiał się.,

— Tam nie ma rządców i cesarzy. Tam nikt i nigdy nie będzie panował. I Hakka odwrócił się  
gwałtownie.

— Milcz, stary człowieku. Uszanuję twój siwy włos, ale wiedz, że wszystko, co stworzył dobry Bóg,  
z Jego wyroków ma być poddane Cesarskiej Mości. A każdy, kto ośmiela się z tego kpić, zasługuje  
na stos! Zapadła cisza. Gerrerri nadal uważnie przyglądał się twarzy starca, chcąc przypomnieć sobie,  
gdzie mógł ją wcześniej widzieć.

— Nie tak było, gdy rządził ojciec Jahwazy, wielki Merin— odezwał się przybysz — nie tak... —  
umilkł. — Nigdy nie mienił się władcą świata i nigdy nie wysyłał nikogo nad Czarną Rzekę. Starzec  
spojrzał w twarz Hakki i zaczął mówić donioślejszym głosem:

— Zawróćcie i donieście waszemu władcy, że Karrah Przewoźnik nadal tu czuwa i że nigdy nie  
pozwoli, aby jakiegokolwiek wojska splugawiły swymi stopami nurt Czarnej -Rzeki. Powtórzcie

cesarzowi, że dla swego własnego dobra powinien odwrócić wzrok od zachodu.

— Dość! — ryknął rządcą. Podbiegłszy do starca złapał go za siwą brodę i potężnym szarpnięciem obalił na ziemię.

Sękaty kostur zawarczał w powietrzu, ale Hakka odbił silny cios, wyrwał Karrahowi broń i już zamierzał się na bezbronnego, gdy Gerrerri powstrzymał jego ramię.

— Stój, głupcze! — krzyknął rozkazująco, a gdy rządcą • zdumiony nagłą napaścią opuścił sękacz i cofnął się o krok, Gerrerri dodał łagodniej: — Nie słyszałeś, kim jest ten człowiek? To Karrah Przewoźnik, Karrah Znający Przyszłość, Karrah Pan Czasu! Hakka zrzucił z ramienia dłoń towarzysza.

— Słońce wypaliło ci rozum — rzekł. — Bajki o • Przewoźniku dobre są dla małych dzieci, chyba nie uwierzyłeś w brednie tego wieprza? Uważaj, bo zaraz wmówi ci, że dotarliśmy do Rzeki Czasu. — Splunął na piach i podszedł do uwiązanych przy drzewie koni. Tymczasem poseł pomagał podnieść się staremu-człowiekowi.

— Wybacz zapalczywość mego towarzysza — **poprosił.**

— To człowiek mający olbrzymią władzę, lecz prosty

i ceniący tylko siłę oręża. Uważa historię o tobie za tak samo prawdziwą, jak bajdy o elfach i krasnoludach. Karrah zaśmiał się.

— A więc nie wierzysz w elfy i krasnoludy? — spytał otrzepując z piachu płaszcz.

Gerrerri spojrział na niego ze zdziwieniem i już chciał odpowiedzieć, gdy Hakka krzyknął głośno. Poseł spojrział w

stronę wzgórz i dostrzegł wyłaniających się T. mroku jeźdźców.

— Bogu Najwyższemu dzięki, że już dotarli! — uradował się Hakka. — Radzę, ubieraj się prędeż, bo .nie przystoi, aby żołnierze ujrzeli nas w tym stanie — dodał zapinając pas i wiążąc rzemienie pancerza.

— Powiedziałem, że nie chcę, aby dotarły tu wojska

jakiegokolwiek władcy — rzekł Karrah surowym tonem.

Gerrerri teraz już z bliska mógł przyjrzeć się

twarży starca i wreszcie przypomniał sobie, **gdzie widział**

ją przedtem.

Hakka nie reagując na słowa Karraha zaczął machać

ręką i krzyknął: '

— Bywajcie! Bywajcie!

Jeźdźcy widać dostrzegli stojące na plaży postacie, bo zaczęli wolno zsuwać się dróżką wzdłuż zbocza. Wtedy Karrah błyskawicznym ruchem dobył spod płaszcza różdżkę, machnął nią trzykroć w powietrzu, wymamrotał jakieś zaklęcie i nagle z różdżki wyrwała się seledynowa błyskawica. Pomknęła jak płomienisty jezior w stronę jeźdźców i ognistym całunem zaczęła oplatać ich ciała. Krzyki przerażenia dobiegły uszu Hakki i Gerreriego, ale rychło umilkły, gdy postacie na wzgórzach zastygły w kamienne posągi.

— Ostrzegałem cię, Hakko — rzekł Karrah. Rządca cesarski przez chwilę stał nieruchomo, jakby sam zmienił się w głaz, lecz wreszcie ryknął jakieś przekleństwo, wyrwał z pochwy miecz i ruszył w stronę starca. Gerrerri chciał

powstrzymać towarzysza, ale nim zdołał zrobić choć ruch, Karrah zasłonił się kijem i wtedy poseł dojrzał, że kostur zmienia się w miecz, o którego ostrze rozpryskuje się oręż Hakki. Napastnik przewrócił się od siły uderzenia i siedział, otumanionym wzrokiem wpatrując się w rękojeść swego miecza i pozostały kawałek klingi.

— Czarownik — mruknął wreszcie. Spojrzał na swego pogromcę. — No tak — rzekł — możeś ty i Karrah Przewoźnik albo i sam diabeł wcielony. Niech Bóg

Wszechmogący broni nas przed takimi Jak ty. — Uczynił na piersiach znak krzyża. Karrah uśmiechnął się lekko.

— I ja chwale Boga — powiedział — a na znak, że nieobce mi miłosierdzie, masz tutaj oto bukłak z wodą. Gdy skropisz nią swych rycerzy, ockną się z bezruchu. W końcu tylko twej głupocie zawdzięczają nieprzyjemną przygodę.

Hakka niepewnie wyciągnął dłoń po dar, po czym wstał i ze zwieszoną głową powlókł się w stronę wzgórz. — A nie zapomnij donieść swemu władcy o tym, co widziałeś i słyszałeś! — krzyknął za nim Karrah. Gerrerri tymczasem wdział

kubrak i zaczął zapinać pas.

— Chciałbym, abyś udał się wraz ze mną — rzekł Karrah — na drugą stronę rzeki. Przewiozę cię i wskażę drogę do Veppen, stolicy księcia Maggara. On wyjaśni ci wiele spraw, które przekażesz potem swemu panu.

— A Hakka? Sądzę, że powinienem być wraz z nim. To człek mściwy i zapalczywy. Może szukać pomsty.

— On zawróci — powiedział starzec. — Teraz tylko strach panuje w jego sercu. Gerrerri zastanawiał się przez chwilę.

— Zgoda — rzekł. — Skoro będzie to miało znaczenie dla mojej misji, jadę z tobą, lecz muszę na

czas powrócić do mojego władcy.

Dokładnie dopasował pancerz i zacisnął rzemienie. Podszedł do konia, wyjął z troków szkarłatny płaszcz z białym lwem cesarskim i zarzucił na ramiona. Poprawił jeszcze pas, sprawdził, czy miecz gładko wyslizguje się z pochwy, i podjął z ziemi tarczę. Zaczął odwiązywać konia, lecz Karrah powstrzymał go.

— Koń nie będzie ci potrzebny.

Posel skinął głową, poklepał zwierzę po pysku i poszedł w ślad za starcem.

Zanurzyli stopy w wodzie i Gerrerri objął wzrokiem oddział żołnierzy cesarskich, ale gdy tylko uczynili kilka kroków, wszystko zniknęło z oczu zdumionego rycerza.

— Dojdziemy do tego drzewa — odezwał się Przewoźnik wskazując na stojący tuż "przy brzegu stary dąb. — Tam stoi moja łódź. Gerrerri wyteżył wzrok, ale poza płataniną konarów zwisających tuż nad wodą nie ujrzał nic.

— Idź uważnie — przestrzegał go Karrah. — Pełno tu zdrażliwych dołów, podążaj krok w krok za mną.

Wreszcie dotarli do dębu i chwytając się oślizłych konarów wciągnęli ciała na brzeg. Posel ujrzał wbite w dno pale i przywiązaną linami łódź, którą te same sznury łączyły z palami na przeciwległym brzegu rzeki.

— Ach tak — powiedział — powinienem się domyślić, dlaczego poprzednio nie było widać łodzi.

— Tak — odparł Karrah. — Jesteś teraz już w innym czasie. Kilka stuleci po śmierci cesarza Jahwazy. Wracając od księcia Maggara z pewnością spotkasz mnie tutaj i wtedy odprowadzę cię z powrotem na brzeg. Nie kłopotz się o czas, który spędzisz na dworze w Veppen. Możesz zostać tam i całe lata, a do Berheven wrócisz i tak w odpowiedniej porze.

— Dzięki ci, Karrahu. Wiedz, że przekażę memu panu wszystko, co widziałem i słyszałem, i wszystko, co będę widział

i słyszał. Starzec skinął głową.

— Na dworze Maggara poznasz wiele niepojętych dotąd dla ciebie spraw, zrozumiesz świat, w którym przypadło ci żyć, i mam nadzieję, że przekonasz cesarza, aby odwrócił wzrok od zachodu.

— Pozostanę wierny swemu władcy.



— Wiem — odparł Karrah — lecz sądzę, że pojmiesz, iż Czarna Rzeka jest granicą, której nie wolno przekraczać. Ja czuwam, aby nikt nie pogwałcił Praw Czasu i czuwać będę tak długo, póki starczy życia. Usiedli na deskach ułożonych w poprzek łodzi. Poseł odpiął pochwę miecza i położył broń na kolanach. Karrah uwolnił łódź i chwycił

sznur łączący ją z palami na przeciwległym brzegu. Staął z tyłu i przechylając się mocno z trudem ciągnął naprężoną linę.

— Pomogę ci — Gerrerri wyciągnął rękę. .

— Nie — odparł Przewoźnik — to jest mój wyłączny przywilej. Wyłączny przywilej, jak ty to powiedziałaś?

Aha. Pana Czasu. Tak jest — wyłączny przywilej Pana Czasu.

Poseł uśmiechnął się lekko.

— Czyż nie jesteś nim?

— O, nie. Co najwyżej Stróżem Praw. Ja nie władam Czasem, ja tylko czuwam, aby nikt nie wykorzystał potęgi Rzeki do niecnych celów.

— A czy ktoś próbował to uczynić?

— Nie, już bardzo dawno nie. Lecz aby nie dłużyła ci się ta droga, opowiem ci pewną historię o ludziach, którzy postanowili uszczknąć coś z potęgi Rzeki, a ponieważ myśli ich nie były niegodziwe, więc pozwalałem na to. —

Przerwał na chwilę pracę, głęboko odetchnął, po czym splunął w dłonie i znów chwycił za sznur. — Wielu ludzi chce poznać przyszłość. Jedni myślą tylko o sobie, drudzy natomiast, na swoje nieszczęście, opętani są chęcią zgłębienia tajemnic świata, pragną poznać wieczną zagadkę chwil, które mają dopiero nastąpić. Znałem jednego z nich.

Człowiek ten przywiódł ze sobą zastępy rycerstwa i tłumy niewolników niosących na grzbietach potężne karawele.

Tak, tak — westchnął — wielki to był pan, o królewskiej dumie i odwadze, lecz pychą przewyższał chyba samego diabła.,

— Wiem, o kim mówisz — przerwał Przewoźnikowi Gerrerri. — Na jego tarczy i puklerzu zawsze widniał czarny orzeł w koronie i z berłem.

— Tak — odparł Karrah. — Na żaglach karawel również wymalowany był ten znak.

— To Regald, hrabia Berdi . Wielki odkrywca. Podarował cesarzowi zdobyte przez siebie ziemie, położone daleko za morzami. Później wrócił do godzinnego zamku i nagle zniknął wraz z rycerstwem i niewolnikami. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. A więc przybył aż tutaj?

— Aż tutaj. Siódmego dnia kazał postawić żagle na statkach i popłynął gnany silnym wiatrem i nurtem. Mówił, że pragnie odnaleźć morze, do którego wpada ta ' rzeka — Karrah zamyślił się. — Może płynie jeszcze dotąd, a może dowiedział się już, jaka przyszłość czeka świat?

— Sam w to nie wierzysz. Wiesz przecież, że będzie płynął wiecznie. Tak długo, póki świat się nie skończy, gdyż w tej samej chwili rzeka znajdzie swe ujście w morzu. Karrah skinął głową.

— Bystry masz umysł, mój młody przyjacielu. Tak, tak, to prawda, co mówisz, ale chciałbym wierzyć, że karawele zatrzymały się gdzieś przy brzegu i hrabia rozpoczął nowe życie rezygnując z prób poznania Nieznanego.

~ Wątpię w to. Tacy jak on są niezmienni Opętani jedną myślą będą dążyli do jej urzeczywistnienia, choćby mieli zniszczyć i siebie samych, i świat.

— Nie lubiłeś go?

— Nie — rzucił porywczo poseł. — Nienawidziłem!

Należał do tych, którzy pozyskują miłość i wierność jednych ludzi równie silnie, jak nienawiść innych. Mógł być wielki, a był po prostu nikczemny. Cesarz wydał już na... — umilkł nagle. — Zresztą to nieważne.

— Mówił mi o tym — rzekł Karrah. — Wiedział, iż cesarz pragnie jego śmierci. ,

— Wiedział — powtórzył głucho Gerreri. — Teraz już rozumiem.

— Nic nie rozumiesz. On mógł zmiażdżyć twego

cesarza! Ale ziemską władza przestała mu wystarczać. .

Zapraagnął poznać to, co jest ukryte przed ludzkimi

oczyma. Dlatego twierdzę, iż jego pycha była iście

diabelska.

Poseł powiódł dłonią po czole.

— Zdziwiająca są koleje ludzkiego życia — szepnął raczej do siebie niż do Karraha.

—Nagle silny wstrząs szarpnął łodzią i zamyślony rycerz o mało nie wpadł do rzeki. Lecz Przewoźnik pociągnął linę i łódź znów zaczęła ślizgać się spokojnie po toni.

— Cóż to było? — spytał Gerreri lekko pobladły na myśl, iż mógł się znaleźć poza łodzią, na samym środku rzeki.

— Wir — odparł starzec — i to bardzo silny. Dawno już takiego nie widziałem. Ostatni raz było to wiele, wiele lat temu, kiedy wypadłem nie zdążywszy się uchwycić burty i wir wciągnął mnie na dno. Gdy po ciężkiej walce wypłynąłem na powierzchnię, ujrzałem, że zniknęły me siwe włosy i zmarszczki, ustąpiła słabość członków, znów stałem się młodym człowiekiem. Wtedy dopiero poznałem, iż wiry, które kręcą się ze wschodu na zachód,

odmładzają, a te, które kręcą się z zachodu na wschód, postarzają. Od tamtej pory nauczyłem się z nich korzystać.

— Więc w każdej chwili możesz być młody? — poseł spojrzał badawczo w twarz Przewoźnika.

— Tak.

— To dlaczego decydujesz się na słabość starości miast wybrać młodzieńczą siłę i sprawność? Karrah milczał przez chwilę.

— Czyżbyś nie pojmował tego? — spytał, Gerreri doznał olśnienia.

— Ależ tak! Rozumiem! Ten obraz w cesarskim pałacu, na nim wyglądasz tak jak w tej chwili. Pragnąłeś, bym cię rozpoznał? Teraz też pojmuję, czemu pozwoliłeś, aby Hakka obalił cię na ziemię!

Przewoźnik roześmiał się. •

— No, właśnie. Masz rację, rycerzu. Zawsze trzeba się przekonać, czy nie popełniło się błędu. W trakcie kłótni z twym towarzyszem uważnie badałem twe myśli i emocje. Okazało się, że dobrze wybrałem. Gerreri zmarszczył brwi.

— Czy robisz to i teraz? — spytał.

— O, nie — odparł Karrah. — **Z Mocy wolno** korzystać jedynie w wielkiej potrzebie.

Brzeg, w stronę którego płynęli, powoli ukazywał się w całej okazałości. Gdzieś daleko, już prawie całkowicie skryte w mroku, wyłaniały się zza krzewów maleńkie z tej odległości wieże zamku w Veppen.

— Wspomniałem ci o wirach — zagadnął nagle Karrah

— wirach, które odmładzają i postarzają. Pamiętam, że

nie tak dawno temu przybył tu dziwny człowiek. Cały

w czerni i diamentach. Nie ukazywał nawet skrawka

nagiego ciała, mimo iż panował straszliwy upał. Twarz

pokrywał mu gęsty woal, dłonie osłonięte były **czarnymi**

rękawicami.

Rycerz pokiwał w zamyśleniu głową.

— I tego człowieka znam. Zresztą, mówią o **nim, że to** nie człowiek. Już to, jak pospólstwo go nazywa, **budzi** strach w sercu.

— Trędowaty Władca Nocy, czyż nie tak? - — Właśnie tak.

— Przywiozła go w pewną ciemną bezksiężycową noc karetą zaprzęzoną w sześć'karych rumaków. Odjechał

następnego dnia, nim słońce zdołało wyrzeć zza wzgórz.

— Tak, to z pewnością on. Wiecznie nieszczęśliwy, na zawsze potępiony.

— Wywiózł ze sobą setki beczek napełnionych wodą z mej rzeki. Słyszałem, że gdzieś daleko w swej posiadłości, tam gdzie nie dociera blask słonecznych promieni, zbudował wielką fontannę napełnioną wodą z Czarnej Rzeki i każe tworzyć tam wiry, aby jego ciało stało się znów młode i zdrowe. Poseł uśmiechnął się w zamyśleniu. Karrah znów odsapnął, po czym na powrót chwycił sznur i z głuchym sieknięciem pociągnął łódź. Gerrerri spojrzał na niego z odrobiną współczucia.

— Tak, dziwny to był człowiek — stwierdził Przewoźnik.

— Jeden z tych, którzy dostrzegają tylko formę nie myśląc o treści, których pociąga sam skutek, a nie potrafią pojąć przyczyny

Usiadł na burcie i mocniej ścisnął linę w rękę, aby bystry nurt przy drugim brzegu nie porwał łodzi. Wolną ręką otarł

pot z czoła.

— Jeszcze'chwila i będziesz już w państwie Maggara.

— Jaki on jest, ten książę? — spytał poseł.

— Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Każdy, kto go widział, inaczej później o nim opowiada. Dla jednych jest starcem, dla innych młodzieńcem, jednym wydaje się dumny, gwałtowny, innym cichy i łagodny. Nikt nie zna jego prawdziwej postaci, a raczej każdy zna jedno z jego wielu wcieleń. Gerrerri pokręcił głową.

— Cóż, sam zobaczę.

— Poznasz też na dworze księcia człowieka, który ongiś postanowił zbudować na Czarnej Rzece olbrzymią tamę i most, chcąc, aby zachód i wschód mogły połączyć się nie łamiąc Praw Czasu. Był on słynnym budowniczym i w pełni zawierzył swej potędze. Ale pewnej nocy, gdy dzieło było prawie skończone, rzeka wystąpiła z brzegów, rozniosła wszystko, zabiła i porwała wielu ludzi...

— Jak go rozpoznam?

— Nie będziesz musiał rozpoznawać. **On** już od lat opowiada tylko o tej nocy.

Dno łodzi zgrzytnęło o piach. Karrah zrobił szybki ruch ręką i dziób łodzi zderzył się z jednym z pali. Mocno owiązawszy wokół niego linę, przewoźnik wyskoczył na brzeg. Gerreri poszedł w jego ślady i zauważył, że stając na brzegu odczuwa ogromną ulgę. Przytroczył pochwę z mieczem do pasa i wyciągnął dłoń w stronę starca.

— Żegnaj, Panie Czasu.

Karrah roześmiał się i mocno uściśnął dłoń rycerza.

— Raczej do zobaczenia, gdyż sądzę, że powrócisz, aby donieść swemu władcy o powodzeniu misji.

— O, z pewnością. Do zobaczenia i niech Bóg **ma cię w** swej opiece.

— I ciebie, rycerzu. Pamiętaj o naszej rozmowie. Wiedz, że pobyt u księcia może być próbą, więc myśl zawsze o treści, o istocie rzeczy, nie daj się zwieść formie. Nic nie znaczy człowiek wpatrzony w kształt i nie pojmujący tego, co z zewnątrz niewidoczne. Gerreri skłonił głowę-

— Będę uważny.

— Spotkasz tam wielu różnych ludzi, lecz nie sądz od . razu nikogo i spróbuj też czasem spojrzeć na siebie samego jak na obcego człowieka. — Karrah puścił dłoń

posła. — A teraz już idź. Warto, byś doszedł do Veppen

przed nocą. Mam nadzieję, że wrócisz jeszcze, choć

wielu woli pozostać na dworze Maggara.

— Ja muszę wrócić—odparł Gerreri. —Muszę wrócić

do cesarstwa — powtórzył.

Odwrócił się i poszedł równym mocnym krokiem

w stronę ledwo wyłaniających się z mroku wież Veppen?

a Przewoźnik długo jeszcze patrzył w ślad za jego wciąż

malejącą i oddalającą się postacią.

## Oczy Południa

Zostało ich dwóch. Tylko dwóch spośród piątki, która z nurtem Renersi wyruszyła w długich lekkich łodziach z Khomindonu — Górskiego Kraju i której drogi rozeszły się w Zatoce Węza. Arivald ze smutkiem patrzył na gwiazdy wtopione w pierścień, których blask gasł w chwili, gdy umierał kolejny z towarzyszy. Ptaki, które odwiedzają odległe krainy i których bystremu wzrokowi nie ujdzie nic, co się dzieje na powierzchni ziemi, doniosły o śmierci Seandola w czasie sztormu na burzliwym morzu Renibardu. Zwiedziony przez niegodziwych ludzi, zawsze poczciwy i łatwowierny Berton zapuścił się w poszukiwaniu Skarbu aż do jaskiń u podnóża Ghorlargu i tam wszelki słuch o nim zaginął.

Następna gwiazda zgasła w pierścieniu Arivalda. Dumny i porywczy Lakhis wmieszał się w walki pomiędzy ludźmi i zginął na murach Gardiiatu — Miasta Warty, broniąc twierdzy przed smagłokórnymi barbarzyńcami zza morza. Tak więc zostało ich już tylko dwóch i obaj w tym samym czasie poznali tajemnicę. Wtedy małomówny i zawsze skryty Dargin zdradził, wyrzekając się nauk Białej Magii i biorąc sobie na pomocników istoty nienawidzące światła dnia.

Teraz właśnie pod jego przewodem zmierzały one na południe, chcąc szybko przybyć do Iliten-osleth i wyprzedzić Arivalda. Lecz stary mag dobrnął do podnóża góry jeszcze przed świtem i wiedział, że ma blisko pół dnia, aby zrealizować swe plany.

Chwilę stał na rozdrożu dróg wpatrując się we wtopione w skały ruiny twierdzy oświetlone wychodzącym zza gór różowym słońcem.

Iliten-osleth — pomyślał. — Oczy Południa. Ostatni zamek Cesarstwa na dalekich rubieżach, gdzie dawno, dawno temu tętniło życie w gwarnych i bogatych osadach. Twierdza czuwała nad bezpieczeństwem ludu swej ziemi, ale kiedy przyszła Noc, a wraz z nią Śmierć i Groza, wieże Iliten-osleth runęły, a ostatni gharig południa wydał najeźdźcy bitwę, w której zginął on sam i jego rycerstwo. Od tej pory południe wyludniło się

i stało krainą, gdzie nawet najodważniejsi awanturnicy niechętnie kierują kroki.

Któż mógł przypuszczać, że Berthander ukryje Skarb właśnie tu, w ruinach Iliten-osleth? Długie wieki czekały Magiczne Przedmioty na tego, który je odnajdzie i przywróci do dawnej świetności. Arivald westchnął ciężko i nie zatrzymując się dłużej, z mozołem zaczął iść stromą kamienistą ścieżką biegnącą zygzakami wśród drzew, wciąż w górę i w górę. Raz tylko zatrzymał się i przysiadł na głazie wyjmując z podróżnej sakwy kawałek zeschniętego podpłomyka i gomółkę wędzonego sera. Popił posiłek wodą z bukłaka, zaniepokojony, iż zużył już ostatni jej zapas, po czym ruszył w dalszą drogę. Słońce z wolna kierowało swój bieg ku zachodowi, gdy na gałęzi drzewa przysiadł

smolistoczarny kruk i wpatrując się w maga błyszczącymi oczyma głośno zakrakał.

— Oni już są, Arivaldzie. Już są u podnóża góry. Mag otarł dłonią pot z czoła.

— Dzięki za ostrzeżenie, przyjacielu — rzekł. — Niech Ten, Który Czuwa Nad Nami wynagrodzi

twoją dobroć.

— Ty jesteś nasz, Arivaldzie — zakrakał znów ptak — jesteś nasz, nasz. Tam są złe istoty, złe. Wycinają i palą lasy, zabijają zwierzęta, palą, zabijają. Ich myśli są pełne nienawiści, złe istoty, złe myśli. Ty jesteś nasz. Ratuj, ratuj! —

Zatrzepotał skrzydłami i wzbił się ponad korony drzew. — Przylecę jeszcze, opowiem ci, opowiem, co się dzieje.

Mag spojrział w górę. Ruiny twierdzy były już blisko. Przed nocą powinien do nich dotrzeć i jak najprędzej odnaleźć Skarb. Wyteżając siły ruszył naprzód podpierając się sękatym kosturem. Pierwsze gwiazdy zaczynały już

prześwitywać przez zasłonę chmur, gdy Arivald dotarł do kręgu murów. Niegdyś wysokie na trzydzieści stóp, teraz popękały i skruszyły się, porosły mchem, a w szczeliny wniknęły pędy bujnie pieniających się ostrokrzewów. Ruszył

wzdłuż ruin i dotarł aż do kutej w żelazie bramy, która chociaż przeżarta rdzą mocno trzymała się w murze broniąc dostępu do twierdzy. Arivald zastanawiał się przez chwilę, czy nie próbować wspiąć się na mur, który choć znacznie niższy niż dawniej, pełen był pęknięć i szczelin. Groziły one śmiałkowi skruszeniem kamieni i upadkiem w przepaść.

Wrota nie chciały się odemknąć nawet wtedy, gdy

wypowiedział zaklęcie otwierające wszystko to, co zamknięte, i mag zrozumiał, że musi ich bronić nie tylko siła zamków i skobli. Przypominał sobie słowa i formuły, których zwykle używano do zabezpieczania wejść, stare słowa z dawnej Mowy Władców, ale czas nieubłaganie płynął, a drzwi pozostawały zamknięte. Usiadł przy murze i otulając się płaszczem, aby uchronić ciało od zimnych podmuchów wiatru, pogрузzył się w zadumie. Wreszcie wstał, wyciągnął zza pasa różdżkę i wypisał na żelazie imię „Berthander”. Litery zajaśniały zielonkawym blaskiem i drzwi przeraźliwie skrzypiąc wolno ustąpiły.

Gdy przekroczył progi Iliten-osleth, wrota zatrzasnęły się z donośnym hukiem, który rozbrzmiał echem po skalnych ostępach.

Arivald rozejrzał się i przez jego ciało przeszedł dreszcz. W bladym świetle księżyca ruiny twierdzy przedstawiały przerażający, ponury widok. Zwały kamieni na miejscu wież, bielejące wśród gruzów ludzkie kości, fragmenty

umocnień wznoszące się w mrok, oplecione kolczastymi gałęziami ostrokrzewów i pokryte zieloną pleśnią mchu. I cisza, straszna dzwoniąca w uszach cisza, przerywana tylko czasem jękiem wiatru przeciskającego się przez kamienne załomy.

Ruszył, ostrożnie stawiając stopy, wypróbując podłoże, aby nie stoczyć się nieszczęśliwie w głąb lochów przechodzących pod Iliten-osleth. Rozglądał się cały czas, chcąc odnaleźć wejście do ruin, gdyż Berthander z pewnością właśnie tam, gdzieś w niebezpiecznym wnętrzu zniszczonej twierdzy,

ukrył swój Skarb. Nagle kruk przysiadł na głazie nieopodal Arivalda.

— Idą, idą — wrzasnął. — Już są blisko, bardzo blisko.

Spiesz się, Arivaldzie, spiesz się. — Wzbił się

w powietrze, zakołował raz jeszcze nad głową maga

i umknął w mrok.

Starzec przecisnął się między dwiema kamiennymi

kolumnami, przeszedł pod zardzewiałymi zębami kraty

sterczącej z muru i błędząc wśród labiryntu gruzów

dotarł niespodziewanie nad schodzący pionowo w głąb

ziemi wykrot.

— Studnia — szepnął — ależ tak, na pewno studnia. — I nagle przypomniał sobie fragment starego wiersza, jednego z tych, których sens dawno zapomniano, a który jak wiele innych okazywał się nagle pomocny.

Spragniony — wody nie ujrzysz lśnienia, Lecz śmiało w głąb ziemi brnij Szybko, bez chwili wytchnienia. Woda spieczonych ust nie ochłodzi, Nie zaspokoisz pragnienia, Lecz w głębi być może coś zalśni:

Złoto wśród lochów cienia

— wymruczał z cicha i klękawszy spojrzął w głąb studni. Wyciągnął różdżkę, oświetlił jej blaskiem otchłań, po czym przez chwilę z przymkniętymi oczyma medytował. Wreszcie złożył dłonie na piersiach i wzywając Moc skoczył w przepaść.

Sfrunął na dół wolno jak zeschnięty liść. Rychło dotknął stopami miękkiego, mulistego podłoża. Osłabiony usiadł na ziemi, długą chwilę odzyskując siły, gdyż poczuł się nagle bardzo stary i słaby. Przywołanie Mocy kosztowało go zbyt wiele, aby mógł od razu kontynuować wędrówkę, więc przesiedział czas jakiś w sennym odrętwieniu, nim wreszcie podniósł się i pochylając wszedł w niski wilgotny korytarz. Było już późno, bardzo późno. Wyczuwał bliską obecność Dargina i towarzyszących mu istot, na wspomnienie których przeszywał go dreszcz odrazy. A oni nadchodzili coraz szybciej. Arivald czuł, że ktoś przyzywa Moc, i wiedział, że to Dargin biedzi się nad otwarciem wrót Iliten-osleth. A więc nie odgadł zamykającego drzwi magicznego hasła i musi korzystać z potęgi Mocy. To dobrze, być może dzięki temu Arivaldowi uda się zyskać jeszcze kilka chwil przewagi. Brnął w głąb korytarza szorując głową i karkiem po oślizłych kamieniach stropu, a niejasne uczucie, które kazało mu zejść w głąb studni, z wolna zmieniało się w pewność. Wyraźnie wyczuwał już Moc bijącą z Magicznych Przedmiotów. Był bardzo blisko celu. Odetchnął ciężko i przyspieszył kroku. Nagle korytarz skręcił i Arivald ujrzał nikłe światelko błyszczące w oddali.



Potęga Mocy była tu już tak wielka, że poczuł, jak serce zaczyna bić coraz szybszym rytmem, a w skroniach pulsuje krew. Jeszcze jeden zakręt i korytarz wbiegł wprost w drzwi ogromnej kamiennej sali oświetlonej płonącymi u stropu pochodniami. Na podeście w samym środku komnaty ujrzał przedmioty, na widok których zadrżało mu serce. Zbliżył się wolno, ze wzrokiem utkwionym w Skarb, po czym drżącymi dłońmi dotykał każdego z Magicznych

Przedmiotów błogosławiąc Tego, Który Czuwa Nad Nami za wyświadczoną łaskę. Unosił więc kolejno:

rynsztunek bojowy Berthandera — Kolczugę, której nie przebije żaden cios, Rękawice Siły i Czarny Miecz wykuty przez płatnerzy z Essvire. Miecz, którego ostrze pokonał o. Władcę Ciemności. Potem ostrożnie dotknął Różdżki Śmierci, uchwycił w dłoń skrzący się w świetle pochodni Pierścień Posłuszeństwa i zabrzączał złotymi ogniwami Łańcucha Przemian. Wtedy dostrzegł najcenniejszy Skarb — Kulę Gwiazd, pozwalającą na . obserwowanie

wszystkiego, co dzieje się na ziemi, oraz na sięgnięcie w głąb przeszłości i przyszłości. Jeszcze pozostała Lampa Złudy, i Arivald ją zapalił, oraz kasetka ze Złotym Pyłem, której nie zdążył nawet położyć z powrotem na podest, gdy dobiegł go od drzwi dźwięczny śmiech.

Obejrzał się gwałtownie i ujrzał stojącego w progu Dargina z różdżką w wyciągniętej dłoni. Za magiem kłębiły się istoty nienawidzące światła. Arivald poznał stwory z jaskiń Ghoriargu i mieszkańców moczarów Bardagalaru, gdzie promienie słońca nie mogą przedrzeć się przez wieczną kopułę listowia. Teraz zrozumiał swój wstręt i odrazę, przypomniał sobie poprzednie życie i walkę w podziemiach Ghoriargu, straszną niewolę

i okrutną śmierć.

Ale mag umiera tylko ciałem, jego duch czeka i choć zapomina o przeszłości, to czasem, w takiej właśnie chwili, jej widmo powraca w przerażających obrazach. Dargin przeciął różdżką powietrze.

— Dahn herrema gassen Mardhar — rzekł głośno —

dahn!

Ale Arivald stał w miejscu i wolno wyciągał zza pasa

różdżkę.

Dargin cofnął się o krok.

— Nie nazywam się teraz Mardhar — oznajmił Arivald.

— Jestem Gharig Allerbargen — Strażnik Magicznych Przedmiotów, a ty nie jesteś już Lingyandel... Dargin oparł się o ścianę wstrząśnięty i przerażony, że Arivald zna jego prawdziwe imię.

— ...jesteś Hardhur — Zły Cień. Takie jest od dziś twe

miano.

Przybysz skinął ręką, krzyknął: „han inzel”, i stwory czające się u wejścia ruszyły w stronę starego maga, ale ten wyciągnął nagle płonąca jasnym blaskiem Lampę Żłudy i istoty „ujrzawszy przed sobą dziesiątki rycerzy

w srebrzystych zbrojach, z ostrymi mieczami w dłoniach, runęły ze skowytem do ucieczki w ciemność. Arivald skinął

różdżką. Laska w dłoni Dargina złamała się, upadła na ziemię i tam spopieliła strawiona niewidzialnym płomieniem.

— Nie zabiję cię — powiedział mag — ale będziesz cierpieć za to, iż związałeś się z Ciemnością. Od tej pory, Zły Cieniu, stracisz swą cielesną postać i wychodzić będziesz jedynie nocą jako kłęb czarnego dymu wiecznie krzyczącego w przeraźliwym strachu. Niewidzialny płomień, który strawił twą różdżkę, trawić będzie teraz twą duszę, aż wypali z niej wszelkie zło. I to jest pokuta. Arivald powtórnie skinął różdżką i wtedy Dargin krzyknął, gdyż ciało jego zaczęło się rozpadać, aż wreszcie zmienione w tuman dymu wionęło w głąb korytarza. Tylko krzyk długo jeszcze rozbrzmiewał wśród kamiennych ścian.

Wtedy Arivald wsparł się o podest i odetchnął ciężko kilka razy, po czym objął wzrokiem Magiczne Przedmioty, wyobrażając sobie, jak uwozi je daleko **za** morze i przekazuje Mędrcom Harsanu, aby nigdy nie trafiły już do rąk ludzi, gdyż w ich świecie więcej dotąd uczyniły zła niż dobra.

Tak — pomyślał — żadna rzecz nie jest ani dobra, ani zła z samej swej istoty, a to, czy posłuży Ciemności, czy Światłu, zależy tylko od tego, w którym posiadaniu się znajdzie. Pod opieką Mędrców Harsanu Magiczne Przedmioty z pewnością nie posłużą krzywdzie i nieprawości.

Pomyślał jeszcze o drodze powrotnej, jaką miał przed sobą. Najpierw długi marsz do Zatoki Węża, aby wsiąść na jeden z kupieckich statków w Gard-neh-sii, potem uciążliwa podróż po burzliwym Renibardzie aż do czasu, gdy osiągnie się wybrzeża wyspy Allar. I wtedy pozostanie wędrówka w głąb wyspy, gdzie u podnóża niedostępnych gór wznosi się Agardom — twierdza i miasto rządzone przez Mędrców. Długa więc jeszcze droga czekała Arivalda, nim Magiczne Przedmioty spoczną bezpiecznie w skarbcu Władców Zachodu. Długa i ciężka droga, na której stanąć mogli liczni wrogowie żądni panowania nad Skarbem Berthandera. I wtem, gdy pogrążony był w myślach o drodze powrotnej, niespodzianie niepokój zagościł w jego sercu. Arivald wyczuł bliską obecność istoty władającej Mocą, a tak pełnej wyczuwalnego, wręcz namacalnego

zła, że chwyciły go zawroty głowy, poczuł nagłe mdłości i ból przeszywający ciało. Coś, co było niedaleko, emanowało nienawiścią i grozą. Stary mag, który przeżył wiele i wielokroć był ciężko doświadczony, poczuł, jak wzbiera w nim strach. Ale gdy spojrział na Magiczne Przedmioty, serce zwolniło swój szaleńczy rytm i Moc tkwiąca w Skarbie zaczęła mu dodawać nowych sił. Arivald pewien już był, iż czeka go próba, jakiej od czasów Berthandera nikt nie był poddany.

Wezwał więc Moc i choć kosztowało to wiele sił, z chwili na chwilę czuł się coraz potężniejszy i coraz lepiej przygotowany do walki z nowym przeciwnikiem.

Wtedy właśnie usłyszał kroki na korytarzu i w drzwiach pojawił się wysoki złotowłosy młodzieniec o łagodnej i pięknej twarzy. Blask pochodni odbijał się od jego srebrzystego pancerza, oświetlał blade oblicze o subtelnych rysach, migotał w ciemnych i smutnych oczach.

— Witaj, Arivaldzie — skłonił się przybysz, a głos jego rozbrzmiewał w komnacie niczym najcudowniejsza muzyka, tak pełen był harmonii i ciepła. — Jakże się cieszę, że spotykam najszlachetniejszego spośród Mędrców.

Mag uspokoił się i odetchnął z ulgą. Głos był tak pełen słodczy, że przykre uczucie spowodowane nadejściem przybysza zaczęło z wolna ustępować.

— Odkryłeś, widzę, Skarb Berthandera. Ileż trudów musiało to kosztować, jak wiele przeszkód zmuszony byłeś usunąć ze swej drogi, aby osiągnąć ten szczytny cel. Cieszę się, o dostojny, że będziemy mogli ponieść Magiczne Przedmioty w darze ludziom.

— Mylisz się — rzekł mag, a jego głos, gdy zabrzmiał po głosie przybysza, zdawał się być chropawy i przykry dla ucha. — Zawiozę Skarb Mędrcom Harsanu. Tam, w skarbcu agardomskim, będzie z pewnością bezpieczny, a Mędrcy wykorzystają go lepiej niż ludzie.

— Zdziwiasz mnie, Arivaldzie — w głosie młodzieńca

brzmiał smutek. — Czyżbyś nie chciał szczęścia ludzi,

czyżbyś pragnął magom z Allaru oddać władzę nad

światem? Pomyśl: wysłali ciebie na trudy i znoje długiej

wędrówki, a sami czekają, aż przywieziesz Skarb

i złożysz u ich stóp. Wtedy staniesz się już niepotrzebny,

oni zdobędą władzę, a plemię ludzi znów będzie żyło jak

dotąd w nieświadomości i nieszczęściu.

Mag zmrużył oczy. Słowa młodzieńca były tak

przekonujące, tak trafne. Zaczynał zapominać już o niedawnym strachu i odrazie wywołanymi jego przybyciem. A może Mędrcy naprawdę zapragnęli zdobyć rządy nad światem? Może byłoby lepiej oddać Skarb w ręce ludzi?

— Pomyśl — ciągnął dalej cudowny głos — ile dobra mógłby zdziałać oręż Berthandera w ręku prawego rycerza, jak wielu ludzi skupiłby wokół siebie mądry władca mający Pierścień Posłuszeństwa, ilu biednych, nieszczęśliwych i chorych pocieszyłoby się dzięki Lampie Złudy, jak można byłoby w sposób doskonały kierować światem posiadając Kulę Gwiazd, która pokazuje niebezpieczeństwa przyszłości, ile dobra przysporzyłby Złoty Pył, gdyby pozwolić czterem wiatrom świata na rozniesienie go w odległe krainy. Pomyśl o tym wszystkim, Arivaldzie, i pomyśl też o

pysze Mędrców, którzy najcudowniejsze skarby kryją w swej twierdzy, aby nikt nie mógł z nich korzystać. Młodzieniec przestał mówić i nastąpiła chwila ciszy, wręcz nieznośnej dla Arivalda, który pragnął teraz słuchać tego głosu w nieskończoność. Już chciał ustąpić i pozwolić przybyszowi na sięgnięcie po Magiczne Przedmioty, gdy nagle ujrzał, że Czarny Miecz wolno wysuwa się z pochwy i dźwięcząc o kamienie kieruje swe ostrze przeciw młodzieńcowi. Wtedy prysnął zły urok i stary mag uchwycił rękojeść broni. Miecz zawarczał w powietrzu i błysnął przed oczyma przybysza.

— To ostrze już raz posmakowało twej krwi. Ukaż swe prawdziwe oblicze, Sagralu! — Wolną od oręża dłonią mag wyszarpnął zza pasa różdżkę, machnął nią dwakroć w powietrzu, a ona rozbłysła seledynowym światłem.

— W imieniu Tego, Który Czuwa Nad Nami zaklinam .cię na Erhamid, Ergivol i Ernandol — Trzy" Klejnoty Cesarstwa, abyś ukazał swe oblicze. To rozkazuję ja, Gharig Al erbargen, nad którego imieniem nie masz władzy!

Twarz młodzieńca zmieniła się czerniejąc i zarastając sierścią, złote włosy spopielili się, ukazując łysą czaszkę, dłonie wyciągnęły w ośliżłe macki zakończone ostrymi pazurami, a cała postać skurczyła się i przygarbiła. Sagral zawarczał, jęknął przeraźliwie i przeobrażenie dobiegło końca, ukazując oczom Arivalda prawdziwe . oblicze Władcy Ciemności.

Mag cofnął się o krok opuszczając miecz i różdżkę, a wtedy Sagral wyciągnął szpony chcąc rozorac gardło Arivalda. Ale Czarny Miecz sam zerwał się i błysnął w powietrzu raniąc Władcę Ciemności. Parę kropel krwi potwora kapnęło na ziemię trawiąc kamienną posadzkę.

— Nie umkniesz — ryknął Sagral, a jego krzyk rozbrzmiał echem wśród ścian — nie umkniesz! — W jego dłoni pojawiła się nagle laska i Miecz Berthandera wyrwany z ręki Arivalda upadł z brzękiem pod ścianę. Czarny promień wystrzelił z laski SagraJa, ale spotkał się w połowie drogi z seledynowym światłem Arivalda. I przez długą chwilę trwała walka dwóch płomieni, aż wreszcie seledynowy przygasł i złamana na dwoje różdżka upadła Arivaldowi do stóp. Potwór ryknął triumfalnie i runął w stronę starego maga, ale ten zdążył porwać z podestu Różdżkę Śmierci i osłonił się nią. Władca Ciemności ustąpił o krok..

— Na co czekasz? — spytał chrapliwie. — **Zabij!** Użyj Śmierci!

Arivald stał w miejscu drżąc na całym ciele, aż wreszcie wolnym ruchem odsłonił się i zdecydowanie odrzucił

Różdżkę. Wtedy Władca Ciemności jęknął głucho i skulił się pod ścianą ciężko dysząc i rozorując pazurami kamienie posadzki.

Stary mag, zmęczony i wyczerpany, przysiadł na podeście i drżącymi dłońmi otarł pot z czoła. Zastanawiał się, jak długo będzie trwać osłabienie Sagrala, którego błyszczące ślepie wciąż były pożądliwie wbite w Magiczne Przedmioty. A Arivald nie miał już swej różdżki, stracił też Moc. Nic nie mogło mu pomóc w wydostaniu się z lochów Iliten-osleth. Pozostała tylko jedna droga. Mag, który zdecydowałby się poświęcić życie, mógł odebrać Moc Magicznym Przedmiotom. Arivald wypowiedział Słowo, które wolno wymówić tylko raz, a na ten dźwięk Sagral zadrżał

i skulił się w swym kącie.

Od tej chwili stary mag korzystał z ostatniego, co mu pozostało — z Mocy Życia. Dotknął Kuli Gwiazd wypowiadając zaklęcie, a ona rozpadła się na tysiąc kryształów. Osłabłe nogi nic utrzymały ciała i Arivald klęknął. Kolejno wznosił: Pierścień Posłuszeństwa, który rozpadł się w proch. Łańcuch Przemian, którego ogniwa pękły przezarte rdzą, i Lampę Złud, która rozsypała się na odłamy.

Sagrał tymczasem wolno podnosił się z kąta. Stary Mag dotknął jeszcze kasety ze Złotym Pyłem, który wzbił się w powietrze jako szarobrudny kurz. Nie zdołał już

dopełznąć do Czarnego Miecza i znieruchomiał nagle w połowie drogi. Zdążył jeszcze tylko unieść leżącą na posadzce Różdkę Śmierci, a ta spopieliała się trawiona wewnętrznym żarem. Arivald westchnął ciężko i opadł twarzą na kamienie, ale w tej samej chwili szczątki twierdzy Iliten-osleth runęły grzebiąc pod sobą to, co pozostało w lochach.

Ziemia długo drżała szarpana wewnętrznymi konwulsjami, aż wreszcie, gdy na szczycie góry nie pozostał nawet kamień na kamieniu, podziemne żywioły uspokoiły się, spadł rzęsyisty ciepły deszcz i padał długo.

Wszystkie twarze Szatana

*„Niech więc każdy strzeże się pokus i czuwa w modlitwie, aby nie wtargnął którydy wróg i nie usidlił go, nie śpi on bowiem, ale krąży szukając, kogo by pożreć”.*

*Tomasz a Kempis*

Gdy stanęli przy moim łóżku, nad miastem świeciło już słońce, Było ich trzech. Jak zwykle trzech i liczba ta miała jakąś tajemniczą moc zniewalającą umysły i ciała, tajemniczą moc, która zmuszała do

posłuszeństwa.

Nie musiałem wyglądać przez okno, aby przekonać się, że przy bramie czatuje jeszcze dwóch. Ich twarze były odlane z gipsu, z czarnymi szpilkami oczu po obu stronach niedużej wypukłości.

Byli obojętni, całkowicie zimni i nieczuli. Ukształtowane we wczesnym dzieciństwie skomplikowane mechanizmy odruchów i instynktów zachwycaly doskonałością i precyzją. Mechanizm uczuć z wolna zaniknął w całej

oszałamiającej wewnętrznej konstrukcji. Odmierzone, dokładne ruchy, przepuszczone przez filtry słowa. Znałem ich, znałem sposoby, jakich używali. Po co przyszli? Dlaczego? To było obojętne. Ważne było, że czyjaś ręka właśnie ich skierowała w moją stronę, wprawiając w ruch nowe i nieznane tryby, które zakreśliły całym moim życiem, Ich dłonie były stalowymi chwytnikami miażdżącymi moje miękkie ramiona, pięści — kamiennymi głazami uderzającymi w śliską powierzchnię twarzy. Nie było w nich nienawiści czy złości. Wszystko, co robili, okazywało się odruchem, reakcją na nakaz, którego wypełnienie było jedynym celem w ich życiu. Potrafili tylko to,

ale w tym właśnie fachu nie można było odmówić im geniuszu. Nie miałem do nich żalu nawet wtedy, gdy wypluwając krew z rozbitych ust ujrzałem w'lustrze swoje przeraźliwie umęczone ciało. Rozumiałem, iż istnieje Coś, co popchnęło ich na tę zamkniętą drogę, a raczej tor, którym zmuszeni byli biec przez całe życie. Wiedziałem, że parę słów, kilka odpowiednich wyrazów, podziałałoby jak magiczne zaklęcie. Otworzyłbym wtedy przed sobą drogę, która mimo pozornej łatwości najeżona byłaby

przeszkodami. Przeszkodami ustawionymi przez moje własne sumienie. Obok coraz wyraźniej rysowała się wąska leśna ścieżka

prowadząca od mojego lustra aż do krańców widnokregu.

Z ramionami wyciągniętymi w przód runąłem rozbijając szkło. Nade mną szumiał sosnowy las, a w dali mgliście rysowały się trzy gipsowe twarze, powoli niknąc, jakby spychane podmuchami wiatru. Znałem ich. Znałem sposoby, jakich używali, lecz oni nie znali siły, jaka nagle otoczyła mnie tworząc miriady niedostępnych zaułków. Właśnie tam mogłem schować

się, ukryć.

A potem znów pchnięty niewidzialnym ciosem toczyłem się wzdłuż splątanych dróg wpadając z jednej na drugą, z drugiej na trzecią, z trzeciej na czwartą... Ujrzałem przed sobą czoło pochodu sunącego wolno i ociężale. Czarne figurki, setki czarnych figurek z lśniącymi, białymi maskami twarzy. Wstałem i podbiegłem do nich, a wtedy korowód zatrzymał się.. Do przodu wystąpili ci, którzy nieśli trumnę. — Jeżeli przyszedłeś zobaczyć po raz ostatni swą ofiarę,

to pozwalamy ci. Lecz potem odpoczniesz z nią w jednym grobie — usłyszałem surowy głos człowieka w czarnym zawoju.

Cofnąłem się. Potem ruszyłem do przodu chcąc rozerwać otaczający krąg.

Wieko trumny uniosło się skrzypiąc i poczułem trupi odór dochodzący z wnętrza.

Nieboszczyk wychylił się, a jego na wpół zgniłe wargi przeżuwały jakieś słowa, być może przekleństwa. — Poznał

mordercę —dobiegly mnie szepty. Szepty przechodzące w ciche okrzyki, narastające do głośnego wycia.

Zasłoniłem uszy rękoma. Nadal jednak słyszałem te piski, jęki, wrzaski, otaczające mnie ze wszystkich stron, wchodzące w głąb mózgu, rozrywające tkankę.

— Panie Słońca i Księżycu, królu Wschodu i Zachodu,

Panie Nieba Północnego i... Emir el-Hebdi przerwał posłowi skinieniem ręki. — Mów, z czym przychodzisz.

Siwowłosy mężczyzna w czarnym zawoju, charakterystycznym dla kraju, z którego przybył, pochylił z uszanowaniem głowę. — Panie, racz sprawić, aby twe boskie uszy przyjęły słowa...

Lecz emir el-Hebdi nie słuchał dalszych słów posła.

Z przerażeniem w oczach obserwował trzy gipsowe

twarze, nasadzone na trzy czarne garnitury, które z wolna materializowały się przed tronem.

— Kto ich tu wpuścił? — krzyknął.

:— Życie twe jest igraszką w ręku **Losu** — mówił Starzec. — Jesteś łódką kołyszącą się na falach wzburzonego oceanu. Znam twoją przyszłość i przeszłość; Czekałem na ciebie wiele lat.

— Na mnie? — wyjąkałem. — Powiedz mi, kim ja jestem? Czy jestem aresztowanym bitym przez policję, czy

przechodniem, który napotkał straszliwy pogrzeb, czy emirem el-Hebdi, czy też jestem tym, który stoi przed tobą.

Starzec uśmiechnął się.

— Nie jesteś w pełni żadnym z nich i jesteś nimi wszystkimi. Znam drogi, którymi będziesz szedł, wiem, ile zaznasz goryczy, a ile rozkoszy. Wiem, ile razy będziesz gubił się w domysłach i podejrzeniach, lecz nigdy i w żaden sposób nie zrozumiesz tego, co cię otacza. To wszystko bowiem może zrozumieć tylko Kreator.

— Kim więc ty jesteś? — krzyknąłem.

Emir el-Hebdi nie siedział już na tronie w swym srebrno-złoto-diaamentowym pałacu. Leżał na garstce ' słomy w ciemnym, wilgotnym lochu. Na tronie Pana Słońca i Księżycy siedział teraz dowódca straży pałacowej, młody kajmakam, który samozwańczo obwołał się sułtanem. Dziedzictwo tronu, które dzierżyli przodkowie emira, upadło.

Razem z czekającym na wyrok niedawnym panem życia i śmierci leżał poseł w czarnym zawoju.

— Władza, emirze, to tylko złudzenie. Pomyśl, iż **przed** chwilą byłeś panem świata, a teraz nie jesteś już nawet panem samego siebie. Emir el-Hebdi westchnął:

— Tak chciał Al ach.

— Mylisz się, emirze. Allach to los, ślepy los, który ludzie wpierw nazwali, a potem pozwolili mu zapanować nad sobą.

Może nie była ci pisana władza, emirze^ Może powinieneś być zwykłym człowiekiem? Emir el-Hebdi wzruszył

ramionami i podszedł do niewielkiego zakratowanego okienka. Gdy dotknął dłonią prętów, te spadły wraz z ramą na drugą stronę.

— Tak chciał Al ach — rzekł wyczołgując się na zewnątrz.

Kiedy siedzieli już wśród krzewów pałacowego ogrodu, poseł uśmiechnął się.

— Los chciał, panie, abyś przeżył., Emir el-Hebdi uważnie przypatrywał się twarzy swego rozmówcy. Nagle jednym ruchem zerwał mu zawój , okalający połowę twarzy.

— Człowiek z pogrzebu! — krzyknął. Poseł roześmiał się cicho.

— Nie jestem ani wysłannikiem z dalekiego kraju, ani człowiekiem z pogrzebu. Jestem Spinger, szef tajnej ochrony —

- dodał twardym głosem. Emir el-Hebdi chciał sięgnąć po kindżał, ale dłoń zaplątała się tylko w materi płaszcza.

— W imieniu prawa aresztuję cię. Jesteś winien zabójstwa prezydenta — rzekł Spinger. Nagle w ogrodzie wszczął się tumult. Przez bramy w murach pałacowych wpadały na teren ogrodu grupy żołnierzy; Po chwili emir el-Hebdi otoczony -oddziałem wiernego szejka Al-Katariego wkraczał w bramy pałacu Pana Słońca i Księżycy.

— Kim jestem? To trudno powiedzieć; Jestem Obserwatorem. Nie mam wpływu na bieg zdarzeń, ale obserwuję je znając przyszłość i przeszłość. Czekałem na ciebie, bo właśnie ty możesz stać się Obserwatorem, ale tylko wtedy, jeżeli gdziekolwiek na świecie znajdziesz... Głos Starca ucichł, rozwiął się i zapanowała niczym nie zmacona już cisza. Było tak ciemno, że zbliżając dłonie do oczu nie byłem w stanie dostrzec ich kształtu. Brnąłem więc coraz dalej i dalej w niewiadome, gdy nagle po długiej wędrówce wyczułem palcami oparcie fotela. Zmęczony usiadłem i w tym momencie snop światła uderzył mnie w oczy. Metalowe klamry unieruchomiły ręce, nogi i kark. Przed oczyma tańczyła tylko kolorowa plama.

— A więc witam — usłyszałem głos Spingera. — Dobrze, że znów pana spotykam. Mam nadzieję, iż tym razem nikt nie przerwie nam miłej pogawędki. Zgasił reflektor, ale przed moimi oczyma ciągle wybuchały kolorowe petardy.

Wreszcie, gdy wzrok przyzwyczył się nieco do ciemności, ujrzałem wewnątrz maleńkiego pokoju, którego jedynymi meblami były biurko i fotel.

**Spinger siedział na biurku trzymając nogi na jednej z wysuniętych szuflad.**

— Spinger?



— Spinger? Niech mi pan wytłumaczy...

— Zabił pan prezydenta. Chcę wiedzieć, do jakiej należysz organizacji. Chcę znać nazwiska i adresy .-i będę je znał!

— Spinger! Ja nic nie wiem. Ja... to dziwne. Ja w ogóle nic nie wiem— rzekłem bezradnie.

Emir el-Hebdi, zmęczony straszliwymi przeżyciami, półleżąc na przysłoniętym baldachimem łożu oglądał taniec najpiękniejszej z hurys. W momencie gdy miał dać znak, aby wszyscy opuścili komnatę i zostawili go Z piękną tancerką, u wezłowania zjawił się nagle drobny, zasuszony człowieczek. Emir spojrzał na niego z lękiem, który już miał

zmienić się w gniew, gdy nagle jakby na przekór sobie dał znak dłonią — dworzanie wyszli . , zostawiając emira z przybyszem i piękną hurysą.

— Wybacz, panie. Przychodzę ofiarować ci pomoc. Jestem... zresztą, nieważne. Istotne jest tylko to, że mogę ci pomóc. Ja jeden znam kłopoty, które cię nękają.

— Kim jesteś? — spytał spokojnie emir. — W czym chcesz mi pomóc i czego żądasz w zamian?

— Nazywać mnie możesz, panie, mędrce... Emir skrzywił wargi.

— A ja będę nazywał cię .emirem, choć nim nie jesteś.

A raczej jesteś nim, lecz jedynie w drobnej części swej istoty.

Władca spojrzał uważnie **na** mędrca.

— Pomogę ci poznać, panie, tajemnice świata, w którym żyjesz. Jesteś ścigany przez wrogie siły-. W każdej sytuacji, emirze, w jakiej się znajdziesz, napotkasz Spingera i zawsze będziesz musiał go pokonywać. Dla ciebie bowiem, emirze, przygotowano życie pełne trudów, porażek i rozczarowań. Wiem, kim byłeś dawniej. Twoje terażniejsze cierpienia będą pokutą za winy poprzednich wcieleń. Ty, emirze, skazany jesteś na poszukiwanie świata, w którym znajdziesz nie zmacone niczym szczęście. Nie znam przyszłości, emirze. Zna ją tylko Obserwator, lecz wiem; że największym twym wrogiem jest Spinger. Póki istnieje, będziesz błądził.

— Kim on jest? — spytał zamyślony władca.

— Podejrzewa cię, emirze, o zabójstwo prezydenta

w jednym ze światów. Jest jedyną osobą, która zawsze i wszędzie rozpozna cię. Lecz strzeż się... — Mędrzec urwał.

— Wybacz, emirze. Wzywa mnie ktoś stokroć potężniejszy od nas obu. Ściany komnaty odbiły echem słowa. Przed emirem stał a już tylko półnaga hurysą.

— Strzeż się — raz jeszcze zagrzmiały ściany, po Czym emir zasunął firanki baldachimu ukrywając siebie i tancerkę przed ciekawymi oczyma. Niezbadane są wyroki Al acha, jak niezgłębione jest morze i niepoliczalne gwiazdy. Młody kajmakam wymknął się z głębokiego podziemnego lochu i wydostał poza tereny pałacu Pana Słońca i Księżyca.

Czekał nocy, aby uciec jak najdalej od Żelaznego Konia, maszyny, która miała rozedrzeć jego ciało. Młody kajmakam wierzył jednak w swe odważne serce i wiedział, że naj straszniejszy nawet Żelazny Koń nie strwoży jego duszy.

Poprzysiągł że powróci do pałacu, aby zasiąść na tronie Pana Panów.

— Posłuchaj, Kersen — rzekł Spinger — i tak powiesz

mi wszystko. Ja WIEM, że zabiłeś prezydenta, ale muszę to udowodnić.

Milczałem. Pewność Spingera była zbyt niezachwiana, bym próbował tłumaczyć się.

Widziałem, jak jego palec wciska klawisz w blacie biurka i w tym samym momencie do pokoju weszło dwóch muskularnych, potężnie zbudowanych mężczyzn.

Spinger opuścił stopy na ziemię i wyszedł.

— Nie lubię widoku krwi — powiedział zatrzasnąwszy drzwi.

Kim jestem? Czy to moje ciało jest katowane w małym ciemnym pokoju, palone kwasem i rozrywane gorącymi

szczypcami? Czy to moja krew tworzy na ścianie mozaikę rozbryzanych kropeł? Jestem gdzieś wyżej, nad tym. Na straszną kaźń patrzę obojętnymi oczyma widza. A może jestem emirem el-Hebdi, bogaczem, władcą trzymającym w swych objęciach najpiękniejszą z hurys? Lecz może jestem tym, który napotkał tłum pogrzebowych postaci? Tym, nad którym pochylają się wykrzywione złością i okrucieństwem twarze. Czy to mnie podnoszą setki kościstych rąk, czy mnie 'rzucają do jednej trumny z rozpadającym się ciałem

trupa, czy w moje nozdrza wpełza tchnienie śmierci, czy moją szyję oplatają zielonozgniłe ramiona, czy to z moją twarzą styka się ta przerażająca maska? Nie! Nie! Na litość Boską! Nie opuszczajcie wieka!

Wrzask baraszkujących małp wyrwał Harveya ze snu. Szybko podniósł się, splukał twarz wodą ze skórzanego bukłaka i otrząsnął się jak mokry pies. Strużki zimnej jeszcze wody ściekały po karku

wchodząc wąskimi

strumyczkami za koszulę — na piersi i plecy. Harvey ;

spojrzał na zegarek. Miał mało czasu. O godzinie dwunastej, dokładnie w południe, cień Wojownika pokaże drogę prowadzącą do Jaskini Śmierci. Harvey jeszcze raz przypomniał sobie o Paulu, który nie wrócił stamtąd. Z tym, iż Paul nie był sam. Wraz z nim sunęła nowocześnie wyekwipowana, prawie stuosobowa ekspedycja. Wróciło tylko paru Indian tragarzy. Żaden z nich do końca swego krótkiego życia nie powiedział ani słowa, a ich oczy (Harvey widział ich oczy!) były szkliste i nasączone tak przeraźliwą trwogą, iż trudno było spojrzeć w nie bez drżenia. Harvey był sam i liczyć mógł tylko na siebie. Rozwiązanie zagadki Jaskini Śmierci postawił sobie za cel życia. Opieki szukał w Bogu, bowiem już od lat poświęcił Mu się bez reszty rezygnując ze zwykłych ponęt życia.

Harvey ufał Bogu i wierzył w Jego istnienie nie tylko całym sercem. lecz i całym rozumem. Starał się pojąć Boga, choć wiedział, że w ten sposób grzeszy. W jego rozumieniu Stwórcy nie było jednak nic obraźliwego, nic mogącego podważyć dogmaty wiary. Harvey pragnął poprzeć swą wielką miłość do Boga rozumem. Chciał połączyć rozum i uczucie, a dopiero wtedy poznać bliskość Najwyższej Istoty. Łaknął złączenia się z Bogiem i liczył na Jego łaskę.

Jaskinia Śmierci miała stać się czynnikiem, dzięki któremu Harvey pozna Boga. Tam bowiem, według indiańskich legend, w niedostępnych głuszach, w miejscu otoczonym działaniem złych mocy, spoczywały księgi napisane przez Wiecznego Starca. Harvey w swych mistycznych widzeniach często spotykał tę postać, lecz nigdy nie zdołał zamienić z nią nawet słowa. Teraz miał szansę poznać spisane przez niego dzieła. Spisane po to, aby poznał je człowiek, którego niezłomna wiara pokona wszelkie przeszkody. Nie bał się złych mocy, które

otaczały Jaskinię Śmierci, mocy, które czuwały, aby człowiek sprawiedliwy nie dostał w swe ręce tajemnic świata.

Uzbrojony był w fanatyczną wiarę i w potęgę Krzyża z przygwożdżonym do niego Chrystusem Zbawicielem. Za Jego łaską — Tego, który umarł za ludzkość, Harvey chciał doprowadzić swe dzieło do końca. Czuł, że ma łaskę Boga, i modlił się, aby Bóg nie odstępował go przez cały czas trudnej misji. Po niej bowiem, Harvey to wiedział (miał

niezachwianą pewnością!), połączy się ze Stwórcą i stanie na najwyższym poziomie. Najwyższym poziomie, jakiego sięgnąć może człowiek, gdyż Pan zawsze będzie na niebotycznej górze zakrytej przed ludzkimi dążeniami.

— No i co powiesz, Kersen? — spytał pochylając się nade mną Spinger.

Spojrzałem na niego prawym okiem — jedynym, które mi zostało.

— Zabiję cię, Spinger. — Słowa z trudem przeciskały

się przez zmiażdżone wargi, opuchnięty język

z wysiłkiem poruszał się wewnątrz ust. — Zabiję cię —

powtórzyłem z nienawiścią.

Spinger jakby od niechcienia uderzył mnie otwartą dłonią

w ranę po lewym oku.

Emir el-Hebdi, przebierając palcami po **napelnionej'** daktylami złotej czarze, myślał nad znikomością swego istnienia wobec potężnego świata.

— Nie masz racji, emirze — rzekł Ktoś. — To ty» , właśnie ty jesteś przeznaczony do panowania nad światem.

Władca wolno odwrócił głowę i ujrzał siedzącą na dywanie dziwną postać. Twarz tego mężczyzny podlegała

nieustannym zmianom. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie młodej, ale po bliższym przyjrzeniu można było zauważyć rysy dojrzałego mężczyzny, a nawet starca.

— Ja? — emir splótł dłonie na piersiach. — Ja jestem jedynie pyłem u stóp Allacha. Nieznajomy lekko się uśmiechnął.

— Są pewne tajemnice, emirze, po poznaniu których staniesz się wielki, staniesz się panem całego świata, jedynym władcą wśród ludzi — dodał z naciskiem. Emir wolnym krokiem przechadzał się wzdłuż ścian komnaty.

Zainteresowany niby wyłącznie podziwianiem

różnobarwnych kilimów wyściełających ściany, pilnie słuchał słów przybysza.

— Nie pytam nawet — rzekł — skąd wzięłeś się w tej komnacie.

— To proste — odparł nieznajomy.

Zniknął sprzed oczu emira i zmaterializował się

w powietrzu mniej więcej w połowie drogi między

sufitem a podłogą.

Twarz władcy rozjaśniła się w uśmiechu.

.— To samo potrafi mój nadworny fakir.

— Panie, twój fakir jest jedynie nędznym wyrobnikiem, ja zaś jestem mistrzem. Potrafię zabijać i wskrzeszać myślą.

Umiem leczyć najcięższe choroby, być w tysiącach miejsc naraz, znam najbliższą przyszłość i całą przeszłość każdego z ludzi, czytam w myślach, nawet twoich, emirze. Potrafię stwarzać i burzyć jednym skinieniem całe miasta i kraje. Nie ma zarówno wśród ludzi, jak i wśród demonów kogoś, kto dorównałby mi umiejętnościami. Wymieniłem ci, emirze, władzę, którą mam nad niektórymi tylko rzeczami. Dziś jeszcze po prostu nie rozumiałbyś całej potęgi, jaką zdobyłem dzięki swej sztuce. I tę władzę chcę przekazać tobie, panie.

— Dlaczego? — spytał emir.

Varden pieczołowicie oparł nóżki cekaemu na rozmięklej górcie gliny. Jak okiem sięgnąć, Gliniane Pola pokryte były rowami okopów. Varden doskonale wiedział, iż jego armia nie ma żadnych szans. Pozostawało tylko zginąć, po prostu zginąć, aby zachować godność i honor.

— Nieprawda, Varden — rzekł Ktoś. Żołnierz błyskawicznie obrócił się w stronę nieznanego. Twarz tego

mężczyzny podlegała nieustannym zmianom. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie młodej, ale po bliższym przyjrzeniu można było zauważyć rysy dojrzałego mężczyzny, a nawet starca.

— Dużo rzeczy można jeszcze zmienić. Niekoniecznie trzeba ginąć.

Varden cofnął się o krok. „Czyżbym myślał na głos?” — rzekł do siebie.

— Nie, nie mówiłeś na głos. Po prostu wiem, o czym myślisz.

Żołnierz szybkim ruchem odpiął kaburę, ale zamiast rękojeści pistoletu palce jego zacisnęły się na zeschniętym patyku.

— Bądź rozsądny — rzekł z naganą w głosie przybysz.

— Chcę ci tylko pomóc. Varden wzruszył ramionami.

— Możesz uratować życie swoje i innych. Żołnierz obserwował go zimnym wzrokiem.

— Nic z tego, szpiegu. Lennik Jarvena nie dezertuje

— rzekł oschle. Nieznajomy roześmiał się.

— Czytam w twoich myślach. Nie zapominaj o tym. Varden raz jeszcze machinalnie sięgnął do kabury. W tym momencie nieprzyjacielska artyleria rozpoczęła ostrzał. Tysiące pocisków rozrywało się na pozycjach wojsk Jarvena.

Wybuchy stworzyły z ludzi, broni i gliny jednolitą masę, wciąż mieszaną nowymi eksplozjami. Na przygotowaną ostrzałem pozycję wysunęły się z mgły potężne Pancerne Słonie, których stalowe

cielska nieubłaganie podążały ku lini okopów. Varden nie zwracając uwagi na przybysza klapnął w zamuloną kałużę i chwycił za broń. Potężne ognistoczerwone słońce zachodziło oświetlając swym blaskiem sylwetki sunących kolosów. Varden spojrzął z naiwną nadzieją w słońce i przycisnął spust cekaemu.

Mimo iż z setek pozycji wojsk Jarvena prowadzono nieustanny ogień, ani jeden ze Słoni nie został jeszcze zatrzymany. Ich potężne pancerne nogi miesiły glinę i wyrzucając fontanny błota sunęły, aby ostatecznie zmiażdżyć wojska buntowników. Olbrzymie brunatne przestrzenie pokryte były tysiącami sunących kolosów. Varden przygryzając wargi odrzucał jedną taśmę po drugiej. Wreszcie ręka zawisła w powietrzu. Amunicja wyczerpała się. Żołnierz wyszarpnął z za pasa granat i przywarł do miękkiej ziemi. Już tylko kilkadziesiąt metrów dzieliło najbliższego ze Słoni od jego pozycji. Nagle pancerny pojazd znikł. Po prostu znikł. Jak królik w cylindrze magika. Później znikł następny ze Słoni i jeszcze jeden. Reszta jednak nieprzerwanie sunęła naprzód.

— Co ty na to, Varden? — odezwał się przybysz. Mimo huku wybuchów żołnierz wyraźnie usłyszał jego słowa.

Odwrócił twarz w stronę nieznanego, a ten pstryknął palcami. Następny Słoń rozwiązał się. Varden patrzył

oszołomiony.

— Zostało ich jeszcze dużo — mężczyzna nakreślił w powietrzu koło — ale mogę zniszczyć wszystkie. Dłonie żołnierza gorączkowo zwały się na rozgrzanej lufie cekaemu. Pilnie śledził zbliżające się pojazdy przeciwnika. Jeden z nich wszedł już w okop i uruchamiając miotacze płomieni zmienił w popiół pół plutonu Henricksa. Varden widział to i płakał z bezsilnej złości.

— Zrób coś! — ryknął w stronę obcego. Ten lekko się uśmiechnął.

— Obiecuj, że spełnisz każde moje życzenie. Wiem, że wierzysz w Boga, a więc przysięgnij na Niego. Varden milczał.

Tymczasem drugi ze Słoni pokonał zaporę ogniową i wdarł się w okop. Varden widział Oszalałe z bólu sylwetki płonących żołnierzy, biegnące wprost pod karabiny przeciwnika.

— Przysięgam na Boga, że spełnię każde twoje życzenie

— rzucił z wściekłą pasją.

W tym momencie stracił przytomność. Obudził się na

łóżku w lazarecie.

— Co ze mną jest? — spytał przechodzącą pielęgniarkę.

— Lekki szok. Niedaleko pana wybuchł pocisk, ale nie ma obrażeń wewnętrznych.

Varden przypomniał sobie rozmowę z nieznanym. Czyżby była majakiem?

— Czy... czy... — zająknął się — wygraliśmy?

— Tak, wszystkie Słonie stanęły w ogniu. Atakujemy. Varden opadł na poduszki. Nagle w jego świadomość wdarła się obca myśl. Czuł się nie tylko sobą, ale i wieloma innymi osobami. Dziwne uczucie, tak jakby naraz oglądał kilka filmów. Wreszcie zrozumiał! Pojął, kim jest i jaka jest jego rola. Nie sposób jednak nie dotrzymać obietnicy, którą dał nieznanemu. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z błędu, ale był to błąd nie do odwrócenia.

— Dlaczego znów pragniesz mnie widzieć? Czyż nie popełniłeś karygodnej nieostrożności? Naraziłeś się na przegraną, a tym samym zubożyłeś świat o jego ważną część.

— Nie wiedziałem — odparłem. — Dopiero po czasie zdałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem. Nadal nie wiem, nic nie wiem. Jestem otoczony wrogością. Prześladowają mnie siły wielokrotnie potężniejsze ode mnie. Nie dam rady. Chcę żyć spokojnie.

— **Czy jest spokojne życie? Czym w ogóle jest życie? Czy środkiem do osiągnięcia materialnego zadowolenia, czy też środkiem do zdobywania wyższych poziomów, wspinania się na szczyty wiedzy, miłości? Odpowiedz! Milczałem.**

— A więc nie umiesz mi odpowiedzieć.

— Nie! — krzyknąłem z nagłą złością. — Dlaczego wprowadzono mnie do tej maszyny, zaprogramowano, dlaczego pokierowaliście mną nie dając mi wyboru?

— Nieprawda, wprowadzony zostałeś dla spełnienia swej misji, lecz reszta zależy od ciebie.

— Kłamiesz! Znasz przecież przyszłość.

— Tak, lecz to, co wiem, nie jest pewnikiem. Potrafię przewidzieć, gdyż rozumiem świadomość, podświadomość i nadświadomość człowieka. Wyciągam wnioski, obserwuję jego postępowanie i przewiduję to, co się zdarzy — nigdy jednak nie można mieć pełnej pewności. Nikt nie zna przyszłości, gdyż ludzkość wprowadzona została w pewien stan, w którym istnieć musi sama, w którym sama decyduje.

— Bóg stworzył i odszedł pozostawiając nas na pastwę własnego losu.

— Nie — zaprzeczył. — Cały czas, w każdej sekundzie istnienia Wszechświata, trwa niezauważalna dla was walka Dobra ze Złem. Wy — ludzie, jesteście ciężarem, który może szalę zwycięstwa przechylić na jedną bądź drugą stronę. Przymknąłem oczy.

— Dlaczego właśnie ja? **Wciąż nie mogę tego zrozumieć.**

— Jesteś twardy — stwierdził Spinger — cholernie twardy; Nie widziałem jeszcze kogoś takiego jak

ty. Patrzyłem na niego półprzytomnie, modląc się, aby choć na chwilę zniknął przeraźliwy ból, który drażył całe moje ciało.

— Posłuchaj, twój opór nie ma sensu. Parę słów wyzwoli cię. Pójdiesz do szpitala, odpoczniesz.

— Zabiję cię, Spinger — wychrypiałem. Roześmiał się i wolnym krokiem podszedł do drzwi.

— Za chwilę przyjdę, Kersen — obiecał z uśmiechem — i zostanę tak długo, aż wydobędę z ciebie wszystko.

Wszystko — podkreślił z naciskiem. Huk zamykanych drzwi był wybawieniem. Jednakże nadal cały, do

najdrobniejszej komórki, przeżarty byłam potwornym bólem.

— Boże — wyjęczałem — pomóż mi. , Nagle przede mną wyrósł jak spod ziemi mężczyzna w piaskowym garniturze. Jego twarz podlegała nieustannym zmianom. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie młodej, ale po przyjrzeniu się można było zauważyć rysy dojrzałego mężczyzny, a nawet starca.

— Bóg ci nie pomoże, Kersen — rzekł z szyderstwem w głosie. — Patrzy na twoje cierpienie, ale nie wybawi cię. Wiedziałem, kim jest, ale strach i ból zdeterminowały

moje postępowanie.

— Pomóż mi. Roześmiał się.

— A więc jesteś rozsądny. Wiesz, że tylko ja mogę wyrwać cię z tej kaźni.

— Ratuj — szepnąłem.

Emir el-Hebdi spacerował zamyślony po ogrodzie. Władza, olbrzymia władza, jaka mogła przypaść mu w udziale, kusila i nęciła. Być panem materi . Stwarzać i niszczyć wedle własnego uznania. Mieć na swoje rozkazy wielkie i tajemnicze siły. Lecz emir wiedział, że za wszystko trzeba płacić. I tej właśnie zapłaty bał się najbardziej. Towar był

nęcący, ale cena musiała być bardzo wysoka. Zresztą, czy życie po zdobyciu tej olbrzymiej władzy można będzie nazwać szczęśliwym? Czy emira nie dręczyłyby wyrzuty sumienia, czy nie 'zżerały go przeraźliwy strach przed dniem, w którym przyjdzie zwrócić zaciągnięty dług? Władca upierścienionymi palcami delikatnie dotknął

kory cyprysu.

— Czyi nie lepiej być drzewem, bezrozumną rośliną —

spytał półgłosem sam siebie — nie mieć marzeń, dążeń,



aspiracji, a jednocześnie nie przeżywać klęsk

i rozczarowań?

Gałęzie cyprysu poruszyły się dotknięte powiewem

wiatru.

— Wiem, że chciałbyś odpowiedzieć mi, przyjacielu — rzekł emir z uśmiechem. — Gdybyś jednak umiał formować myśli i zamieniać je w słowa, zdałbyś sobie sprawę z własnej nicości. A wtedy nie odpowiedziałbyś **mi** na pytanie...

Varden leżał i miał róg prześcieradła w bezsilnej **złości**. Czekał na moment, w którym przyjdzie spłacić zaciągnięty dług, dotrzymać danej obietnicy. W każdej : chwili spodziewał się odwiedzin nieznanego, każde skrzypnięcie drzwi budziło w nim strach, każdy krok na korytarzu powodował dreszcz.

Z izby tortur zostałem wyniesiony jakby cudownym podmuchem. Lekko opadłem na zieloną trawę błyszczącą

kropelkami rosy. Stanąłem i rozejrzałem się wokół podziwiając wspaniały krajobraz. Nie mógł ocalić mnie Bóg, ocalił

więc Szatan. Przy Jego to pomocy uwolniłem się od strachu i męczarni, **od** ciągnącej się łańcuchem bólu kaźni.

Byłem obojętny Bogu, a więc On będzie obojętny mnie. Od teraz. Skazał mnie na cierpienie, pozwolił na to, mimo iż jest podobno tak dobrotliwy i miłosierny. Szatan jest zbuntowanym Aniołem, który wyrwał się spod tyranii Boga. To właśnie Szatan pomaga człowiekowi, ofiarowuje mu radość życia codziennego. Bóg natomiast mami, kusi i obiecuje, aby zamęczyć, zastraszyć...

— Grzeszysz — eksplodował mi w mózgu potężny głos. Trwałem zawieszony pośród Ciemności. Ogarnęło mnie

uczucie osamotnienia i żalu. Byłem sam jeden pośród bezdennej pustki.

— Nie jesteś sam — zabrzmiał głos, tym razem łagodny i dobrotliwy, tchnący miłością. — Ja jestem z tobą; Rozejrzałem się dokoła, ale wzrok nie przeniknął ciemności.

,— Mnie się nie widzi, lecz czuje sercem. Błogosławieni ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli. Zaufaj Mi, idź Moją drogą.

Tą drogą, którą szedłem, aby was wyzwolić. Ale to dzieło jest jeszcze nie zakończone: zdecydować musicie wy —

ludzie. Chcecie znaleźć wieczną radość w Bogu czy rozkosz doczesnego życia w Szatanie... Głos cichł powoli, rozwiewał się w pustce, aż wreszcie zamilkł.

Ruszyłem przed siebie. Szedłem może przez godzinę, "O może przez dzień; a może — pomyślałem — idę w stronę Wieczności.

Nagle zobaczyłem zbliżający się z dala ogień. Gdy byłem już blisko niego, płomień zapalniczki oświetlił twarz Spingera. Obok sunął nieznajomy. Twarze ich były ponure i zacięte.

— A więc jesteś, Kersen — rzekł Spinger. — Znowu wyrwałeś mi się i znów cię mam.

Chciał zacisnąć kajdanki na przegubach moich dłoni, ale nieznajomy odtrącił go na bok.

— Nie, Spinger — rzekł chrapliwym głosem. — Kersen ma prawo wyboru.

Spojrzałem w ich oczy rozmazujące się w wątlym świetle. Cienie, które kładły się na ich twarze, tworzyły groźny, lecz fascynujący widok.

— Wybieraj!

— Wybieraj!

Suche palce Spingera mocno objęły moje nadgarstki.

— Wybieraj! — zagrzmiął po raz trzeci głos

nieznajomego.

Milczałem. Cóż mogłem wybrać? Mękę na ziemi, a w zamian za to niepewne szczęście w niebie? Nie chciałem wracać do izby tortur, wiedziałem, że nie wytrzymam tam ani sekundy dłużej, że na sam widok plam po krwi, na zapach żrących kwasów zacznę krzyczeć i błagać o litość. Wiedziałem, że prędzej czy później sprzedam i siebie samego i swego Boga.

Spinger zatrzasnął kajdanki na przegubach moich rąk.

— Nie chcę — krzyknąłem — nie chcę tam wracać! Kajdanki zniknęły. Spinger rozwiął się w ciemności. Nieznajomy skrzywił usta w lekkim uśmiechu.

Olbrzymi cień Wojownika wydłużony w wąziutką igłę dotknął powierzchni skał. Harvey zapamiętał to miejsce i ruszył

biegiem. Po krótkiej chwili cień zniknął, ale Harvey już stał przy niewielkiej szczelinie. Wszedł w

nią z wielkim trudem i przez kilkanaście minut czołgał się wciąż opadającym tunelem.

W pewnym momencie usłyszał za sobą łoskot i poczuł pył sypiący się na twarz. Zrozumiał, że strop zawalił się zagradzając drogę wyjścia. Ale Harvey nie zwątpił. Przeciwnie. Teraz już był pewien, iż Bóg dobrze nim pokierował.

Tunel otwarł się wychodząc na długi, niezmiernie wysoki korytarz. Harvey spostrzegł, iż korytarz ledwo zauważalnie obniżał się. Zatopiony w modlitwie ruszył naprzód. Przed sobą ujrzał szeroką szczelinę, na dnie której szemrał

strumień. Wzrok pobiegł w kilkusetmetrową przepaść. Po chwili Harvey wstąpił w nią i w miejscu, gdzie powinien osunąć się w dół, poczuł twardy grunt. Przepaść zniknęła. Harvey

wiedział, że korytarzem należy iść prosto, zawsze prosto, obojętnie co widziałoby się obok. Przed Harveyem stanęła kobieta ubrana w półprzeźroczysty, doskonale opinający ciało kostium. Mężczyzna widział jej smukłe nogi, nieduże piersi ze sztywniejącymi wypukłościami sutek. Poczuł, iż kobieta pożąda go! Opadł kostium i naga piękność zagroziła mu drogę. Harvey z przerażeniem zaczął dotykać swego ubrania, które powoli rozwiewało się

pozostawiając go-nagiego. Jej blond włosy rozsypały się jakby złotą mgłą na ramiona. Ręce oplotły jego szyję, piersi przywarły do piersi, uda do jego ud.

Ale Harvey wyciągnął ręce i odepchnął kusicielkę. Nie znał dotąd kobiety, gdyż wszystko poświęcił Bogu. Nagle poczuł, że nie może wykonać najmniejszego nawet ruchu. Mięśnie nie poddawały się woli mózgu. Kobieta znów zbliżyła się. Jej delikatne palce pieściły mężczyznę, język łagodnie dotykał kurczowo zaciśniętych warg. Po raz pierwszy w życiu Harvey poczuł chęć poddania się pulsującemu rytmowi rozkoszy. Kobieta przyklękała. Harvey nie mógł opuścić oczu, ale poczuł, co robi. Sprawiało mu to przyjemność. Zapragnął objąć ją ramieniem, przygarnąć, a potem zdobyć i kochać się z nią bez końca. Odrętwienie ustało i Harvey już chciał schylić się, aby położyć kobietę na ziemi i ulec jej przemożnemu urokowi, gdy nagle przypomniał sobie o misji. Ale podniecenie zwyciężyło, przyklęknął.

Kobieta ulegle położyła się przygarniając Harvey a rękoma. Spojrzał w jej oczy. Nie ujrzał w nich własnego odbicia, lecz tylko bezdenną pustkę.

Emir el-Hebdi spacerował nadal po ogrodzie nie wiedząc, że młody kajmakam opuściwszy granice państwa wraca na czele armii ościennego kraju. Żaden z poddanych nie ośmielił się niepokoić tą wieścią boskiego majestatu. Dopiero bieganina i jakieś przeraźliwe krzyki sług wyrwały władcę z zadumy. Rozżalony spojrzał w kierunku, skąd dochodził

zgiełk, i podnosząc ze ścieżki na pół zwiędły liść palmy skierował się w stronę wejścia do pałacu.

Znów stanąłem na łące pełnej kwiatów, rozbrzmiewającej tysiącami śpiewnych odgłosów. Odurzający zapach w połączeniu z jaskrawymi barwami kwiatów, z brzękiem tysięcy wirujących owadów

zniewalał i usypiał. Rany na moim ciele zasklepiły się, a każdy powiew wonnego wiatru przynosił dodatkową ulgę i rozkosz. Wyciągnąłem się na miękkim kobiercu roślin. Więc tak wygląda piekło — pomyślałem — czy też męczarnią w piekle mam za to zapłacić? Było mi dobrze, wreszcie bez niepokoju, bez bólu, bez strachu. Chociaż w mój mózg wdarł się rozrywający spokój ostry kolec. Ledwo uchwytna myśl, drażąca aż do bólu jaźń. Przymknąłem oczy. Nie było sprawy, dla której warto by było niszczyć urok tej łąki.

Varden nadal czekał. Słyszał o zwycięstwach wojsk swego generała, o nowych klęskach wroga, ale wiedział, kto za to wszystko zapłaci. Nie spał już od paru dni, a myśli tańczyły bezładnie tworząc setki koszmarów i majaków. Może zresztą usypiał na moment, ale tylko po to, aby ujrzeć wyciągającą się dłoń nieznanego. Nazywał go nieznanym, gdyż bał się nawet w myślach wypowiedzieć jego prawdziwe imię. Imię, które od tysiący lat zniewalało i niszczyło silniejszych od Vardena. A Varden bał się i był słaby. Był niczym w porównaniu z potęgą, której chciał stawić czoło.

Harvey z całej siły odepchnął kobietę. Ta czern,  
strasliwa pustka, jaką zobaczył w jej oczach, ugodziła  
go i otrzeźwiła. Wstał. Odszedł mimo nękażącej go, wciąż  
pokusy, nie malejącego podniecenia.

Kobieta rozwiała się.

Ominął pierwszą przeszkodę i dziękował za to Panu, lecz  
już kiełkowało w nim dziwne ziarno. Poznał, choć nie do  
końca, rozkosz, jaką może dać kobieta, uzmysłowił  
sobie, ile stracił ofiarowując wszystko Bogu...

Z trudem opanował te myśli. Spróbował uspokoić się.

Przypominał sobie słowa modlitw, zatapiał się  
we wspomnieniach o życiu pełnym Bożego słowa,  
o godzinach spędzonych na czuwaniu i umartwieniach.

Ale ten obraz stawał się coi-az dalszy, coraz mniejszy,  
coraz mniej ważny. Na jego miejscu rósł rozświetlony  
zamek zabaw, miłości i rozkoszy.

Tyle było doznań, o jakich Harvey nie miał jeszcze

pojęcia. Jego ciało i dusza były dotąd nieskazitelnie

czyste, dziewicze. Teraz pod wpływem setek myśli

zastanawiał się nad celowością swego dotychczasowego

życia.

I Harvey stracił łaskę, jaką dała mu nieświadomość. Czy leżę w trumnie koło trupa, czy też właśnie ja nim jestem?

Przeraźliwy odór uderza w moje nozdrza. Czy to śmierdzi moje ciało? Wyciągam ręce tak daleko, jak tylko można, aż końce palców zderzają się z szorstką powierzchnią drewna. Wieko unosi się! Wychylam głowę i na włosy spływają mi krople wody. Wokoło szarość, tylko jednostajny, miarowy chłopot deszczu przerywa ciszę. Długi rząd wysokich, smukłych topoli po obu stronach alei przesłania widnokrąg. Wydaje się, jakby wierzchołki drzew stykały się ze sobą tworząc olbrzymi i długi korytarz. Wychodzę z trumny. Jeszcze raz ostatnim spojrzeniem ogarniam jej wnętrze. Nie ma nikogo. Sunę naprzód, bezwiednie, pchany jakby niewidzialną, siłą. Obok mnie dżentelmen w cylindrze, gruba fajka w zębach, orzeźwiający zapach dymu.

— How do you do, sir. I'm very glad to see **you**. Czeka na odpowiedź.

— I'm very glad to see **you** — głos **ostry, wręcz** napastliwy.

Milczę. Język drga wewnątrz ust, ale wargi nie chcą się poruszyć. Cofam się. Krok drugi, trzeci. Zaczynam uciekać.

Nogi są jakieś ciężkie, jakieś miękkie. Nie mogę biec! Z każdą minutą przesuвам się zaledwie o parę cali. Mężczyzna z fajką idzie tuż koło mnie. Jego dłoń zaciska się na moim ramieniu. Odwracam się. Nie! To twarz Spingera.

Harvey płakał przytulony do szorstkiej ściany skalnego

korytarza. Łzy spływały mu po policzkach i po

zaciśniętych na twarzy palcach. Bał się iść dalej. Zasnął z

twarzą mokrą od łez, przytulony do zimnej skały. Po raz

pierwszy nie myślał przed snem o Bogu.

Po paru godzinach obudził się, zmęczony i wyczerpany.

Śnił o pięknej kobiecie, kobiecie, którą posiadał. Palcami

delikatnie dotknął skóry podbrzusza i poczuł pod

opuszkami lepką ciecz.

Uklęknął i modlił się do Boga. Długo i żarliwie.

Przed Yardenem stanął nieznajomy. Tym razem ubrany w nienagannie skrojony garnitur o lekko błękitnawym

odcieniu.

— Spełniłem twą prośbę. Nawet z nawiązką. Teraz kolej na ciebie.

Varden błyskawicznym ruchem wyrwał spod poduszki pistolet. Suchy huk wystrzałów rozbrzmiał dwa razy.

Nieznajomy zniknął. Varden oszołomiony schował broń.

— Boże, czyżby to było takie łatwe? — wyszeptał do

siebie.

Wstał z łóżka i otworzył drzwi chcąc wyrzeć na korytarz

i przekonać się, jakie wrażenie uczyniły strzały. Wychylił

głowę i cofnął się z grymasem przerażenia. Jego pokój

unosił się na wodzie pchany nagłymi ruchami fal.

Szejk Al-Katari, otoczony kilkoma żołnierzami w białych zawojach, podbiegł do emira.

—Panie! Kajmakam doszedł pod mury pałacu. Stoi na

czele tysięcy żołnierzy.

Emir el-Hebdi złożył dłonie na piersiach.

— Al ach daje temu, kto spełnia Jego nakazy, i zabiera temu, kto przeciw Niemu zgrzeszył. Al-Katari ukląkł na ścieżce.

— Panie! Uciekaj, ratuj swą dynastię. Ratuj kraj. My

polegniemy za ciebie, lecz ty ratuj się. Błagam cię,

panie!

Emir wyciągnął zza pasa zdobiony brylantami kindżał.

— Czym jest to ostrze w obliczu potęgi Allacha? —

spytał.

Do stojącej grupy podbiegł goniec. Padając na twarz

krzyknął:

— Panie, wróg wdarł się do pałacu. — Chciał podnieść

się, ale bezsilne ramiona nie utrzymały ciała. Krew

rzuciła mu się ustami, znieruchomiał.

Al-Katari spojrzał raz jeszcze w stronę emira, po czym

skinął na żołnierzy. Wraz z nimi popędził ku tajnemu

wyjsciu z ogrodu.

Emir przez chwilę stał zadumany.

— Jesteś mi potrzebny — rzekł w końcu — wzywam cię. Ledwo skończył mówić, stanął przed nim nieznajomy.

— Skończ z tym wszystkim — rozkazał władca — pragnę spokoju.

Mężczyzna pochylił głowę.

— Stanie się wedle twojej woli, emirze.

Tkwiłem zawieszony gdzieś pod gwiazdami, ale

w nieprzeniknionej ciemności. Na próżno dobywałem

z piersi krzyku wzywając Obserwatora.

Dlaczego to robiłem? Przecież On wiedział o wszystkim w każdej nieskończonej nawet krótkiej chwili.

— Wysłucham cię raz jeszcze — usłyszałem grmiący głos. — Czego ode mnie chcesz?

— Wybacz mi — poprosiłem. — Jestem tylko człowiekiem.

— Zniszczyłeś i zaprzepaściłeś wielką część naszej pracy. Po co przychodzisz do mnie? Czego jeszcze chcesz? Czy pamiętasz, komu się sprzedałeś?

— Jestem słaby — powiedziałem.

— Wiem — zagrzmiało znowu — i dlatego masz jeszcze szansę. Pomóc ci może jeden człowiek, który zmierza teraz, aby poznać tajemnice Wszechświata. Jeśli uda mu się wykorzystać je, będziesz uratowany. Jeśli nie, zostaniesz zgubiony. Zresztą, nie cała twoja jaźń zaprzedała się Złu. Jeszcze nie cały utonąłeś w tym przeraźliwym bagnie.

Strzeż się! .

Varden nic nie jadł i nie pił. Spalone gorączką usta próbował moczyć w morskiej wodzie, ale po początkowej uldze przynosiło mu to tylko cierpienie. Upał, suchość powietrza nie poruszanego najmniejszym podmuchem wiatru niszczyły ciało Vardena.

Błagał o zmiłowanie Boga, ale rozumiał, że nie znajduje się już w Jego władzy. Złamał daną przysięgę. Gdyby ją spełnił, również byłby zgubiony. Wciśnięty w kąt pokoju bił głową o ścianę tak długo, aż ciemna zasłona krwi zalała mu oczy.

Biegłem wzdłuż zwartego szpaleru drzew podcinany podmuchami wichru. Krople deszczu gwałtownie uderzały w twarz. Biegłem przez godziny, a może tylko minuty, wciąż ponaglany sapiącym oddechem Spingera za plecami.

Droga dłużyła się w nieskończoność. Dopiero po chwili, długiej chwili, zobaczyłem, iż biegnę po olbrzymim ogrodzonym drzewami kole. Wciąż słyszałem oddech Spingera, teraz już przy uchu. Ale wiedziałem, iż mnie nie złapie. Mieliśmy tak biec do momentu, aż jakaś potężna siła nie rozerwie łączącego nas łańcucha. Łańcucha, który wiązał ofiarę i oprawcę, ściganego i ścigającego. Obaj musieliśmy zapłacić za nasze winy, dla nas obu nie było już innego miejsca na świecie.

*„Od ciebie wymaga się wiary*

*i uczciwego życia, nie wyżyn intelektu*

*ani zgłębienia Bożych tajemnic”.*

*Tomasz a Kempis*

Harvey skończył modlitwę i pełen nowych sił ruszył naprzód. Znowu prowadziła go łaska Pana i Harvey znowu wierzył w swe posłannictwo. Zamknięty był już na wszelkie pokusy. Pełen pokory mijał kuszące go kobiety, Modlił się, gdy widział bogactwa, po które wystarczyło sięgnąć ręką. Mijał otaczające go złudy. Ręką odpychał atakujące potwory.

Wiedział, że póki w jego sercu nie będzie strachu, zła siła nie ma dostępu. Przechodził przez złudne przepaście i płonące lasy, odważnie wkraczał pod zsuwające się skały, nie zwracając uwagi na sunące obok wygodne ścieżki.

Usłyszał krzyk i wołanie o pomoc. Ujrzał kobietę, nad którą znęcały się potwory. Zobaczył wyciągnięte ku sobie błagalnie dłonie katowanej. Już chciał rzucić się na ratunek unosząc w górę krzyż, ale w ostatniej chwili postąpił krok do przodu i złuda zniknęła. Harvey dziękował Bogu, gdyż wiedział, że to za Jego łaską odnajdzie Jaskinię Śmierci. Na samym początku przeszedł najgorszą próbę, w której zaatakowano jego wiarę, zasiano w duszy wątpliwość. Kobieta była tylko czysto



fizycznym bodźcem dla spotęgowania działalności sił, które panowały się w jego umyśle. Przeszedł tę próbę zwycięsko i inne pokusy nie zdołały go omamić. Przeczuwał, że to właśnie siła, która spłynęła na niego w czasie modlitwy, spowodowała bezsilność złych mocy. To właśnie przez nią ich działanie było tak słabe i ograniczone.

Harvey był święty! Za nim była moc Boga, Jego łaska i miłość.

Wszedł do olbrzymiej ciemnej komnaty wykutej w skale. Mrok rozdarł mały płomyczek, który zbliżał się do Harveya, rozjaśniał ciemności. I nagle Harvey zrozumiał. Zrozumiał wszystko, cały Wszechświat, istotę Boga i istotę Szatana, pojął, co jest dobrem, a co złem. Wiedział wszystko i czuł zjednoczenie swego ja z całym potężnym, ogarniającym go Wszechświatem. Czuł się pyłkiem płynącym gdzieś w Kosmosie, a jednocześnie był Kosmosem. Był słaby i był

potężny, zdolny poznawać największe tajemnice. Zjednoczył się z Bogiem, zrozumiał Go i sięgnął w głąb Niego.

Z przeraźliwym krzykiem pobiegł przed siebie uderzając o skały. Upadł na ziemię, a lecący z góry pył nakrywał jego ciało jakby całunem, aż w końcu rozległ się huk i ciało Harveya pokryły tysiące ton skalnych odłamów.

*„Ci zaś, którzy nie oparli się pokusom, odpadli i zginęli”.*

*Tomasz a Kempis*

Przeraźliwe koło. Twarze wciąż nowe i nowe. Zamyślane

oblicze emira el-Hebdi, skatowana twarz Kersena,

wyglądająca z trumny moja twarz, okrwawiony

i zabłocony Varden.

Krążą wokół mnie z przeraźliwym krzykiem, krążą aleją

porosłą topolami. Wycie, ogłuszające wycie, rozwarte

usta. Jedna twarz przechodzi w drugą, a wszystkie krążą

w rytm piekielnej muzyki. Topole wyrastają z twarzy

Spingera. Uśmiechnięty, zadowolony. Emir el-Hebdi,

Varden, Kersen, ja — lecimy w dół. W dół, ku

niezgłębionym czeluściom, gdzie tkwi ciało Harveya.

Twarze przechodzą jedna w drugą, druga w trzecią, ale wszystkie podlegają nieustannym zmianom. Na pierwszy rzut oka sprawiają wrażenie młodych, ale po bliższym przyjrzeniu się można zauważyć rysy dojrzałych mężczyzn,

a nawet starców. To twarze Szatana!

Lecz nigdy nie widziałem twarzy Boga. Czyżby była to jedna i ta sama twarz?

Czy Bóg i Szatan to dwie nierozdzielne części jednej wielkiej Istoty?

Wszystko zginęło w opętańczym wirze.